

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok II • Nr 3 (6)

2016

- | | |
|----------------------|-----------------------------|
| R. Andrić | A. Lizakowski |
| J. Andrzejczak | G. Łatuszyński |
| Z. Beszczyńska | J. Marciniak |
| K. Beśka | P. Mitzner |
| J. Binkowski | P. Müldner-Nieckowski |
| T. Bołdak-Janowska | A. Nowaczewski |
| K. Boruń-Jagodzińska | W. Oramus |
| K. Choiński | J. Osewska |
| R. Częstochowski | J. Pankiewicz |
| D. Ćirić-Straszyńska | A. Patey-Grabowska |
| P. Dakowicz | M. Pawlikowska-Jasnorzewska |
| K. Derdowski | M. Piasecka |
| D. Dragojlović | M.K. Piekarska |
| J. Durski | M. Piekarski |
| D. Dziurzyński | B. Rosiek |
| D. Gałęcka-Krajewska | K. Rudziński |
| W. Gawłowski | K.S. Schreyer |
| S. Gibaszek | J. Sikora |
| W. Iwaniuk | R. Sługocki |
| J. Jakubowski | A. Stabro |
| F. Jaszuński | S. Sterna-Wachowiak |
| M. Jentys-Borełowska | J. Stojčinović Nikolić |
| W. Kass | J. Strękowski |
| A.T. Kijowski | D. Suwalska |
| J.A. Kobierski | M. Szyszko-Kondej |
| K. Kuczkowski | J. Śleszyński |
| W. Kudyba | S. Tontić |
| G. Kurylewicz | J. Vukanović |



Jerzy Górzański



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok II Nr 3 (6) 2016

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

(*poezja, dramat*)

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)

Maciej Parowski (*proza, esej*)

Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Korekta Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład Piotr Müldner-Nieckowski

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Numer szósty, czyli wszystko

kojarzy mi się z jednym.....3

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Pożegnanie Jerzego Górzeńskiego..5

Danuta Gałęcka-Krajewska

Na tyle (Pamięci J. Górzeńskiego) ..7

Daniel Bargiełowski nie żyje8

Piotr Müldner-Nieckowski

Do Daniela B. [argielowskiego] ...9

Tamara Bołdak-Janowska

IX Zjazd do Naraju 2016.....10

Andrzej Tadeusz Kijowski

Zakopiańska „Astoria” i literatura .14

FELIETON

Jan Strękowski

Czasie naprzód!18

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Zofia Bieszczńska

Drzewo i Wiatr.....22

Małgorzata Szyszko-Kondej

Co to jest...25

KRYTYKA

Krzysztof Derdowski

O przemijaniu i śmierci (Ryszard

Częstochowski)32

Sylvia Gibaszek

Poliptyk (Dariusz Dziurzyński) ...35

Sylvia Gibaszek

Symbole według Marii Piaseckiej ..40

Janusz A. Kobierski

Ogród wyobraźni.....44

Jerzy Sikora

Oswoić, odczuć, pokochać

(Janina Osewska)49

Agnieszka Stabro

O liryce tatrzańskiej Marii

Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.52

M. Pawlikowska-Jasnorzewska

Zabity w górach, Góry.....53

POEZJA

Zofia Bieszczńska

Wiersze o nietoperzach54

Jerzy Binkowski Tryptyk maryjny: Wielobarwna, Twoje imię, Rany boskie.....56	Franciszek Jaszuński Dawno 114
Katarzyna Boruń-Jagodzińska Będę grać 59	Maria Jentys-Borełowska Dziennik Aleksandry..... 117
Dariusz Dziurzyński Charakteryzacja, W sprawie rodowodu, Przed egzekucją 64	Piotr Mitzner Sąsiad 123
Danuta Gałęcka-Krajewska Fauna, W drodze, Oferta, Wyznanie, Pozorny spokój frazy 67	Piotr Müldner-Nieckowski Kabina..... 126
Sylvia Gibaszek Adriatyk, Adria Beach, Stary bar .. 71	Wiesława Oramus Szyfry..... 134
Andrzej Tadeusz Kijowski Masyw Centralny, Pat – Agonia, krajanie .. 73	Jacek Pankiewicz Próby podmiotu. Historia niealternatywna..... 139
Gabriela Kurylewicz Góra Witkacego..... 76	Małgorzata Karolina Piekarska, Maciej Piekarski Z szuflady ojca, Strach przed utratą domu..... 147
Adam Lizakowski Nocne rozmowy emigrantów albo trzy wiersze dla W. Iwaniuka .. 77	Krzysztof Rudziński Zasnuć kłęby robacji..... 153
Jerzy Marciniak Warkocze – Wiersz Bez Liter 81	Ryszard Sługocki Tropem Alta 157
Barbara Rosiek ***, ***. Do Przyjaciół..... 83	Jan Strękowski Miasto ze sklejk, metalu, trocin... 163
Krzysztof Rudziński Lubię te świąty, Ravello, Pejzaż wewnętrzny..... 84	Dorota Suwalska Mała pani detektyw 167
Krzysztof Saturnin Schreyer Dług, Magnolia, Zespół wypalenia..... 86	PRZEKŁADY
Jerzy Śleszyński Starożytne ruiny, Europa..... 89	Katarzyna Boruń-Jagodzińska Karel Hlaváček..... 170
MYŚLI I AFORYZMY	Danuta Ćirić-Straszyńska Stevan Tontić 171
Jacek Durski Myśli 91	Najmniejsza apokryficzna ewangelia 178
SATYRY	Serbska „Biblioteka Polska Literatura” 180
Alicja Patey-Grabowska Pchła, Motyl, Indyk, Krowa nieświęta, Życiorys, Szczur 93	Grzegorza Łatuszyńskiego wybór i przekłady z Radomira Andrić 181
PROZA	Grzegorz Łatuszyński Jovanka Stojčinović Nikolić 182
Janusz Andrzejczak Ciii... Szaaa..... 95	Grzegorz Łatuszyński Dragan Dragojlović 185
Krzysztof Beśka Amber-Gold..... 99	Grzegorz Łatuszyński Jovanka Vukanović 188
Krzysztof Choiński Wizyta 109	
	Na okładce: Jerzy Górzeński na Zamku Świętego Anioła w Rzymie, <i>fot. Janusz Drzewucki (fragment)</i>

Numer szósty, czyli wszystko kojarzy mi się z jednym...

Szósty numer *Podglądu*? Patrząc na tę cyfrę i oczom nie wierzę, a jednak! Szóstka jak byk. Kiedy byłam dzieckiem, mój Ojciec mawiał, że chłopak jak szóstka to skarb, a ja dopytywałam się, o co chodzi z tą szóstką. „Dorośniesz, to zrozumiesz” – odparł. Rzeczywiście, gdy stałam się nastoletnią panią, w odpowiedzi na zadane przeze mnie po raz enty pytanie, o co chodzi z chłopakiem jak szóstką, narysował mi cyfrę sześć i mrugając porozumiewawczo okiem, posłał szelmowski uśmiech! Oj zrozumiałam! Zarumieniłam się rzecz jasna! Dziś mam jednak nadzieję, że ten numer *Podglądu* jest, jak ten chłopak, jak szóstką! Skarbem dla czytelników.

To osobisty wstępniak, bo tym razem przy pracy nad numerem bez przerwy myślałam o moim Ojcu. Nie tylko dlatego, że prezentujemy tu fragment książki, którą napisałam do spółki z nim. Przypominają mi go też niemal wszystkie teksty z numeru!

Oto Jan Strękowski napisał o czasie i... przypomniał Michała Witwickiego, którego książki o polskiej architekturze dostałam od ojca, ale też przypomniał w tym tekście PRL-owską godzinę trzynastą, od której sprzedawano alkohol. Oto ponad trzydzieści lat temu ta trzynasta sprawiła, że mój ojciec, gdy byliśmy na wczasach na Węgrzech, siedział pod sklepem z siatką w rękę i grzecznie czekał, by punktualnie o trzynastej wejść do środka i kupić mamie tokaj. Na pięciu mijających go polskich wczasowiczów, zadających pytanie „co pan tu robi”, dopiero szósty, słysząc odpowiedź, zwrócił uwagę, że na Węgrzech można kupić tokaj i o siódmej rano. Ten felieton Jana Strękowskiego przypomniał też ojcowski dowcip, który brzmiał: „Ciężkie czasy – powiedział żołnierz radziecki, zdejmując zegar z wieży mariackiej”.

Wspomnienia o Jerzym Górzńskim i jego wiersze przypomniały mi z kolei opowieści tego poety o Stanisławie Grochowiaku, a to znów sprawiło,

że myśli poszybowwały w kierunku ojca i... domu, w którym mieszkał i on, i Grochowiak. Był to łamany blok Sadyby Oficerskiej stojący i przy ulicy Morszyńskiej i Okrężnej. Ojciec i Grochowiak w jednym stali bloku. Ale nie jak Paweł i Gaweł jeden na górze, a drugi na dole, ale w klatkach obok i to na tym samym piętrze i w takich samych mieszkaniach. To sprawiało, że średnio raz w tygodniu goście Grochowiaka pukali do drzwi dziadków, co ojciec wspominał z rozbawieniem. A ja opowiadałam to kiedyś Jerzemu Górzeńskiemu, gdy on wspominał Grochowiaka.

Zapraszam do lektury. Jest co czytać. Szóstka to skarb!

Małgorzata Karolina Piekarska

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Pożegnanie Jerzego Górzeńskiego (1938-2016)*

Poeta, prozaik, felietonista, autor słuchowisk radiowych, humorysta. Kilkanaście tomów wierszy, osiem tomów prozy, kilkadziesiąt słuchowisk, setki felietonów, grotesek i drobnych utworów satyrycznych. Nagroda PEN Clubu imienia Roberta Gravesa za poezję (1976), nagroda „Pierścienia” za całokształt twórczości (1983), nagroda miesięcznika „Poezja” za całokształt twórczości (1990), nagroda Warszawskiej Premiery Literackiej za tom



Jerzy Górzeński. Fot. Piotr Müldner-Nieckowski, 2007

Debiut z aniołem (1997), Honorowy Wielki Splendor Teatru Polskiego Radia za całokształt twórczości radiowej (2006), nagroda im. Cypriana Kamila Norwida za tom *Festyn* (2013), brązowy Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2016). Debiut na łamach „Współczesności”, związki z Orientacją Poetycką „Hybrydy”, konteksty literatury klasycznej i współczesnej, polskiej i powszechnej, dwudziesto- i już dwudziestopierwszowiecznej. Jerzy Górzeński uczynił wiele, by wyrwać się z trywialnej pisarskiej biografii, wybić się ponad czy poza porządek kolejnych dzieł i nagród, uwolnić się z okowów procesu historycznoliterackiego. Był, jest pisarzem niepowtarzalnym, osobnym, radykalnie pojedynczym. Wybitnym, czyli także autentycznym. Fascynuje, czasami bawi, czasami poraża siła przeobrażania się jego poezji z wiersza na wiersz i poety, który z każdym wierszem jawi się innym, a pozostaje kimś jednym, tym samym.

Spróbowałem kiedyś nazwać to „jedno” twórczości Jerzego Górzeńskiego i wspomniałem o paradoksalnym, mądrym, coraz mądrzejszym zgłębianiu rzeczywistości ludzkiej jako fenomenu tyle egzystencjalnego, ile surrealistycznego; tyle śmiertelnie poważnego, ile groteskowego, nawet absurdalnego. Poeta uśmiechnął się lekko. Miał dystans do podobnych formuł, nie mądrość

uznawał za powołanie sztuki. Mądrość, bywa, patrzy i ocenia z wysoka, a Górzeński przyglądał się człowiekowi i jego światu z ich własnego poziomu, a nawet, rzadziej, z niska, z naszego „poniżej”. Nie mądrość, raczej miłość, miłość coraz miłośniejsza stanowi powołanie autentycznej sztuki. Może dlatego autor *Świętego brudu* stronił od ocen, konkluzji, morałów i puent, jak też – poeta kultury, nie natury – od formy. W *Wyznaniu trochę niegramatycznym*, położonym na początku przedostatniego tomu *Wszystko jest we wszystkim*, czytamy: „Mowa niewyraźna – przez zmysły: / Jak się mówi, / To się nie wie. // A potem – / Rozproszenie i kawalkowanie składni / Przez rozum. // Z ustami pełnymi / Krwi niegramatycznej”. I w kolejnym wierszu, *Mowie dziecięcej*: „Potok słów, / Który przepływa / Przez zęby wilcze dziecka. // Jest jeszcze czysty”. Te dwa nurty mowy, dorosłej, jakby wygnanej z Raju i jeszcze rajskiej, dziecięcej, konfrontowane, lecz częściej paradoksalnie współpracujące – naznaczyły długi, wybitny okres twórczości Górzeńskiego, rozpoczęty w 1997 roku tomem *Debiut z aniołem* i kulminujący w tomie ostatnim, *Koń Rimbanda zgubił podkowę*, tegorocznym.

Żegnamy dziś pisarza, który zostawia nam, swoim czytelnikom, lecz także innym pisarzom, niesłychanie wiele. Skarb poezji świętej pamięci Jerzego Górzeńskiego, niezwykle inspirujący, wydaje się niewyczerpany, lecz także nie do końca jeszcze uświadomiony. Smutek dzisiejszej uroczystości miesza się z wdzięcznością. Jeśli dzieło niezgłębione, niemożliwe do wyczerpania zwiemy księgą, to zdumiewająco wiele wierszy poety, którego śmierć, ale i osobowość, człowieczeństwo, talent nas tutaj przyprowadziły, jest księgami. Wiem, że radowałoby go, gdybyśmy jego wierszy niemożliwych do wyczerpania, „wierszy nigdy się nie kończących”, wierszy-ksiąg nie odłożyli na półkę.

To był, to jest poeta, który odkrył rzeczywistość ludzką przenikających się ze sobą trudnego języka, fizykalnego świata i otwartej wyobraźni. Rzeczywistością tą jest poezja.

Z głębokim żalem i wdzięcznością, której dalem tu niewielki tylko wyraz, żegnam świętej pamięci Jerzego Górzeńskiego w imieniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W wierszu *Pochówek niedzielny* drogi zmarły mówi: „Kto wie, czy nie należę do ostatniego już pokolenia traktującego śmierć na równi z tajemnicą”. Skoro jest tajemnica, istnieje również nadzieja.

Sergiusz Sterna-Wachowiak

* Słowo prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na uroczystości pogrzebowej Jerzego Górzeńskiego, Warszawa, Cmentarz Północny na Wólce Węglowej, 1 września 2016 roku

Danuta Gałęcka-Krajewska

Pamięci Jerzego Górzńskiego

Na tyle

Dwudziestego piątego sierpnia Roku Pańskiego
poezja zapłakała rozbitą frazą
– około piątej rano
wyrwali jej kawał duszy
Litery zaczęły wirować
znaki przestankowe rozsypały się
w zaszyfrowane wzory
a słabnący oddech wiersza
stał w bezsennej kolejce
miłośników zwątpienia
czekając bez początku ni końca
na to co nie miało więcej nastąpić
I wtedy kował wyszedł do tłumu
adeptów 'zaburzeń genetycznych'
ze słowami domniemanego pocieszenia
– Tej podkowy nie da się naprawić
(przykro mi panie Rimbaud)
Nie da się jej także odnaleźć
Lecz iluzji trzeba w sobie szukać nadal
bo to remedium na wszelkie depresje
w dobie przewagi zjelczalego słowa
nad dobrodziejstwem nośników
camera obscura
rodem z Małpich Zamków niecodzienności

Daniel Bargiełowski nie żyje



Daniel Bargiełowski
w *Wyzwoleniu*, 3 lutego
1958 r. Teatr Narodowy
w Warszawie.
Fot. Franciszek Myszkowski

Dwudziestego trzeciego lipca 2016 r. zmarł Daniel Bargiełowski, nasz świetny Kolega, członek Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Urodził się w 1932 r. w Starachowicach. Brat aktora Marka Bargielowskiego i mąż pisarki Krystyny Berwińskiej. Był absolwentem Wydziału Aktorskiego PWST w Warszawie (1957), aktorem teatrów warszawskich – Teatru Narodowego (1957-1960) i Teatru Ziemi Mazowieckiej (1960-1962). Jako reżyser współpracował z Teatrem Ziemi Mazowieckiej oraz z wieloma innymi teatrami – Bałtyckim Teatrem Dramatycznym im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie (1976, 1978), Teatrem Dramatycznym w Gdyni (1981), Teatrem Powszechnym w Łodzi (1982, 1984, 1986, 1988), Teatrem im. Wojciecha Bogusławskiego

w Kaliszu (1986), Teatrem Polskim w Szczecinie (1988), jak również z Teatrem POSK w Londynie (1989).

W latach 1982-1987 założyciel, a następnie redaktor naczelny, autor tekstów niezależnego periodyku polityczno-kulturalnego „Szpargał”.

Publikował także w innych podziemnych czasopismach. Działal w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych. W latach 1985-1989 współpracował z Duszpasterstwem Ludzi Pracy w Koninie. Prowadził wykłady dla środowisk niezależnych. Scenarzysta i reżyser programu w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej „Hejże na Soplęcę”. Założyciel jednego z Teatrów Domowych, który w całym kraju dał kilkadziesiąt spektakli (prezentował programy – montaż patriotyczne). W teatrze Daniela Bargiełowskiego występowali m.in. Irena i Tadeusz Byrscy, Maria Chwalibóg, Joanna Szczepkowska, Mirosław Konarowski. W czasie stanu



wojennego w warszawskim Duszpasterstwie Środowisk Twórczych na Przyryнку był również organizatorem pomocy charytatywnej.

Opublikował powieści *Tropem krętym, fałszywym* (1976), *Szczęrze, bez obciachu* (1979), *Relikwiarz z pleksiglasu* (1983), *Jak topór drwała* (1986) oraz biografie *Konterfekt renegata* (1996 – o Zygmuncie Berlingu) i *Po trzykroć pierwszy, Michał Tokarzewski-Karaszewicz – generał broni, teozof, wolnomularz, kapłan Kościoła liberalnokatolickiego* (trzy tomy, wyd. 2000-2002).

Spoczął na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

(kbj, pmn)

Piotr Müldner-Nieckowski

Do Daniela B. [argielowskiego]

Daniel, nic już nie musisz.
Lecz przyznaj, Tam
cała pamięć się podniosła, ciągi barier
znikły, odsłaniając wszystko
od początku, ta pamięć ze Starachowic
i ze szkoły, cała do dni ostatnich
z czasu rumoru i samotności,
kiedy ci się wydało, że pięść wali w Polskę
bez ustanku, aż łupie w głowie przez sen,
że wszyscyśmy przegrali.
Masz to przed sobą. Zerkaj.
Jakże ciekawe są śmieszne radości,
które nas tak zawiodły.

Nie martw się tam, ja też się dowiem,
o co tu chodzi, co to za melanz,
nie musisz dawać żadnych znaków,
są gdzieś, rozglądam się po sobie.
Tamci powinni bać się już teraz,
ponieważ ty wiesz, inni też wiedzą,
wszyscy będą na pewno wiedzieli,
nikt nie będzie miał prawa
powtarzać, że nie wie

23.07.2016

Tamara Bołdak-Janowska

Drobny i pięknie spluty

IX Zajazd do Naraju 2016

Życie. Już dziewiąty Zajazd! To narajskie literacko-muzyczno-teatralne widowisko w bezludnej przygranicznej (granica UE) wiosce Narejki przedłuża życie mojej książki *Rzecz y uprzyjemniające. Utopia* i przywraca wiosce życie, no i daje nam, uczestnikom, chwilę utopijnej szczęśliwości. Opisywałam to wielokrotnie w esejach, które można przeczytać na internetowych stronach „Czasopisu”, więc tylko krótko wspomnę, że stałam się reżyserką corocznych narajskich improwizacji. Zajazdy oparte są na improwizacjach gości, którzy na ten czas stają się pokojowym i wynalazczym plemieniem Narajów z mojej książki-utopii, i dzielą się refleksją, scenką teatralną czy wierszem z pozostałymi. Tu nie istnieje podział na my – wy, tj. nie ma tradycyjnie sztywnej sytuacji, kiedy mamy tu tablo/nadajnik, a tam znudzoną publiczność. Tablo/nadajnik zazwyczaj mówi mętnie, śmiertelnie poważnie, unika odpowiedzi na pytania publiczności, i właściwie nie jest nimi zainteresowany. Nie jest zainteresowany ani stanem publiczności, męczącej się nasiadową, ani myślami publiczności, ani jej problemami, ani jej uczuciami, ani stanem świata, ani tzw. bolesnymi problemami. Ma się odbyć robienie trumny na zadany temat, i koniec. Zadanie: przy pomocy zmasowanej reklamy zwabić tłum. Odbębnić. Wykonać trumnę tematu. Wziąć honoraria. I to wszystko. Potem nie ma dyskusji. Potem nie rodzi się z tego żaden poważny fakt w realu, choćby typu: przeżyć to jeszcze raz.

Nie udało mi się porozumieć z Trialogiem w Krynkach, aby nam się nie pokrywały terminy, albo żeby chociaż poinformowano mnie w porę o terminie Trialogu. Villa Sokrates i jej prezes Leon Tarasewicz zbyli moje prośby milczeniem. Jak w ubiegłym roku, tak i w tym, to nie była gra fair play ze strony Prezesa, zwłaszcza że ponownie pozbawiono mnie możliwości promocji naszego zjawiskowego Naraju. Nawet Wrota Podlasia zrezygnowały z informacji o IX Zajeździe. Tym razem miałam totalną blokadę.

Lubię luz i szczęśliwość. Gdzie to znaleźć poza Narajem?

Tak żyje i tak umiera moja książka-utopia. Każdy uczestnik Naraju starzeje się o rok, i ten młody, i ten stary. Dla młodych to rok życia na jeszcze długiej

drodze. Dla starych to chwila szczęścia, czasem ostatnia. Dla mojej utopii to co roku cdn. i nowi bohaterowie. I, że się tak wyrażę: nowe siwe pasma w jej włosach. Tak jest. Książki też siwieją.



Fot. Piotr Müldner-Nieckowski

Motyl. Naraj 2016 zaczął się w przeddzień. Pierwszy gość przyleciał na własnych skrzydłach, a był to pawik. Sto lat nie widziałam tego motyla. W Olsztynie latają po parku same seledynowe i drobne, najzwyklejsze. Pawiki są bajecznie kolorowe, okazale, królewskie, arlekinowe. To składał, to rozkładał skrzydła, siadając to tu, to tam po parapetach werandy, a wreszcie osiadł na stole, na serwetce i spijał z niej coś. Chyba resztki wina. Polyskiwał amarantem. Trzepotał po poręczach. Odleciał. Przyleciał. Znowu ssal wino z rowków w serwetce (to plecionka). Pomyślałam, że zwiastuje narajskie szczęście. Druga myśl była rozpaczliwa: będziemy jutro w Naraju tak trzepotać naszym pięknem, jak ten samotny motyl. Balam się, że w związku ze zmasowaną reklamą Trialogu i blokadą informacji o Naraju skurczy mi się liczba Narajów do zera.

Drugi drogi gość Naraju. Tolo przywiózł nam z dworca w sobotę, czyli w dzień Naraju, Katarzynę Boruń-Jagodzińską. Jak dobrze. Katarzyna z kamerą.

Ma rękę do robienia małych filmów. Świetnie montuje materiał. Równie świetnie dobiera muzykę, kiedy coś filmuje dzień po Naraju. Dwa filmiki z któregoś z poprzednich Narajów zmontowała tak perfekcyjnie, że poeta z Niemiec (w tym roku nieobecny) stwierdził w mejlu do mnie: Cudo! Mistrzostwo świata! Nie widziałem lepszych w całym Internecie!

Jak dobrze, że mieliśmy tę warszawską Narajkę 2016.

Natychmiast sfilmowała motyla, ssącego wino z serwetki.

Potem. Potem Katarzyna przeczyta fragmenty ze swojej książki *Pożar w operze*, pięknie wydanej przez „Miniaturę”. Utkwiły mi frazy o kobiecie:

*Śmieszne. Tu palce mi zgrubiwały, a ręce wciąż bolały
od krów dojenia, od noszenia broni, bez żartów,
wcale nie od rozmów.*

*„Ona taka wrażliwa” mówiliście o mnie
Bo tylko Oni mają tę wrażliwość.
I jeszcze ta wcześniejsza fraza:
Wiem to dopiero dzisiaj.
I to, że w melodii skwierczą płonące stosy.*

Powitanie. Przybył minibus z gośćmi z Gródka. Była to grupa literacka Kłosy. Wraz z nią przybyła Mira Łuksza (poetka z Białoruskiego Literackiego Stowarzyszenia Białowieża), pisząca po białorusku i polsku, współpracująca z Niwą), no i nasza stała orkiestra – kapela Chutar Haradok. Miałam wycofać się w głąb werandy, następnie podejść i zatrzymać się na schodkach, bo Chutar przygotował całą ceremonię stopniowego witania mojej osoby. Zagrali mi marsza, wręczyli kwiaty i prezenty, recytowali okolicznościowe wierszyki. Zaśpiewali „Mnohaja leto” (wschodni odpowiednik „Stu lat”). Motywem Naraju 2016 była moja okrągła rocznica urodzin: 70. Temat: Urodziny! Urodziny!

Potem. Mira potem przeczyta swoje wiersze o drzewach. Utkwił mi w pamięci ten o jesionie. Z jesionu przed wiekami Słowianie wykonywali broń, ale – jak mówi Mira: *ważniejsze były łyżki i miski / i dla dziątek jesionowe kołyski.*



Narcjki. Tu odbywają się słynne „Zajazdy do Naraju” Tamary B.J. Fot. Piotr Müldner-Nieckowski

Joanna Troc. Naraj 2016 został uświetniony przez jednoosobowy teatr „Czrewo” Joanny Troc. Cały Naraj czekał, aż się ściemni, bo tylko wtedy mógł się odbyć spektakl, w którym ważne są światła i światelka. Joanna zagrała mój monodram o św. Kseni, a zrobiła to fenomenalnie, na luzie i w narajskiej szczęśliwości – w pełnej symbiozie z widzami w kocach i kurtkach. Poruszyła ich. Teatr długo montował się na końcu podwórza. Joanna z mężem przywieźli elementy scenografii, ale potrzebne były przedłużacze, świece, świeczki. Znalazłam w szufladach starych kredensów w chacie.

Monodram o św. Kseni napisałam na prośbę Joanny dla jej teatru i na jej prośbę przetłumaczyłam na język prosty. Ten język to ukochana przeze mnie ludowa wersja języka białoruskiego; także: język domowy litewskich Polaków; i przypomnę: to był urzędowy język Wielkiego Księstwa Litewskiego. Premiera odbyła się w Operze Podlaskiej na II Festiwalu Teatralnym ODE, organizowanym przez Joannę. Osoby, zainteresowane treścią spektaklu i historią św. Kseni, odsyłam do pełnej wersji monodramu w języku polskim: jest opublikowany na filozoficznym portalu Sofijon pod tytułem: Ksienia Andrej Fiodorowicz Pietrow. Rzecz dzieje się w XVIII wieku w Petersburgu, do którego w tamtym czasie masowo przybywali Polacy, inżynierowie i artyści. W pierwotnej wersji z Sofijonu są obecne elementy polskości. Sofijon należy do Elżbiety Binswanger-Stefańskiej, kobiety myślącej.

Teatrowi i widzom przyświecał Wielki Wóz i inne wzory nieba nad nami. Gwiazdy były także naszymi widzami. Zdaje się, że przybliżyły się do ziemi i wpatrywały się w nas – jednookie, ale dobrze widzące. Omal nie powpadały nam za kołnierze. Źle mówię. One miękko i świetliście osiadały nam na czołach, tworząc dodatkową scenografię. Nadal źle mówię. One, te oczy gwiazd, przybliżyły się do nas na sukienkach z linijek światła jak na pojazdach z kierunkiem: w dół.

Spektaklem zakończył się nasz dzień narajski.

Tolo. A w tej chacie naprzeciwnie jakieś kobiety komentowały spektakl. Jedna mówi: A potem biały obrus jak wystrzelił do góry! Wysoko!

Ten „biały obrus” był elementem scenografii i treści: Joanna wystrzeliła z teatralnej racy stado polyskliwych motyli.

Kończę miniaturą Tola (z cyklu *Pocałunek oka*):

*Pod foremną gwiazdą
jestem drobny i spluty.*

Tamara Bołdak-Janowska

Andrzej Tadeusz Kijowski

Zakopiańska „Astoria” i literatura

Na początku (moim) było... Zakopane. Od stu lat Zakopane nie jest dla Krakusów miejscem wakacji. Raczej wytchnienia. Podróżować można do Włoch, na wakacje jechać, choćby nad morze. Do Zakopanego się nie podróżuje, tu się wpada: odpocząć, przed czymś uciec, spotkać znajomych. Na Krupówkach będzie ich więcej niż na linii AB w Krakowie czy w warszawskich Łazienkach. „Wyjechałem do Zakopanego, idę Krupówkami, zastanawiam się jaki by pensjonacik niedrogi wytrzasnąć i spotykam Fuksa, ryża morda wyblakła blond, wylupiasta, spojrzenie wysmarowane apatią, ale ucieszył się, i ja się ucieszyłem, jak się masz, co tu robisz, szukam pokoju, ja także, mam adres – powiedział – dworku, gdzie i taniej, bo daleko, prawie już na gołej wsi”¹.

No, ale to jednak co innego. Warszawa daleko. Czteryście kilometrów przez Polskę. Okrężne pociągi i samochody utykające przed wzniesieniem Obidowej od stu lat wytrwale broniącej dostępu do gór. Z Warszawy to już podróż. Z perspektywy krakowskiej – wyskok: pociągiem do Chabówki, a dalej albo przez Nowy Targ i Poronin czy też omijając Gorce przez Czarny Dunajec i Kościeliską – furmankami, fiakrem, automobilem wreszcie dowiozą.

A tak... Podwodą! Bo kiedy tę kopę lat temu mnie (w Zakopanem!) projektowano, świat lokomocji trwał w kształcie faktycznie od końca I wojny światowej niezmienionym.

Tak więc panna Symson, okupacyjna partyzantka, cudem w 1946 roku ocalona z sowieckiego więzienia, krążąca już szósty rok po okupowanej przez Sowieców i ich kolaborantów Polsce od Zagórza, poprzez Piłę, Kielce, czy Warszawę (byłe najdalej od rodzinnego pełnego zdolnych ją rozpoznać UB-eków Krakowa) w weekend 1 Majowy postanowiła zakopać się w Zakopanem. W przekształconym w FWP pensjonacie Orla przy Kościeliskiej spotkała młodzieńca. Uciekinier z krakowskiego pochodzenia 1 Majowego zapisał: „gdy ją zobaczyłem, tańczącą w jadalni na «Orlej» [...] wzięła mnie uczesaniem,

1. Witold Gombrowicz, *Kosmos*, Instytut Literacki, Paryż 1967, s. 2.

gestem, papierosem, sportowym strojem, rytuałem, szyfrem...”

Potem były już tylko listy, listy, listy! – wreszcie czerwona skrzynka pocztowa, tuż za ówczesnym domem kultury w parku przy Grunwaldzkiej. Ślub potajemny niemal, gdzieś na warszawskim Żoliborzu. Minęło lat – może cztery.

– Widzisz, Jędrusiu, tę czerwoną skrzynkę, mówił ojciec w parku ozdobionym popiersiem króla

Jagielly, który musiał ustąpić na jakiś czas miejsca sowieckiej „wyzwoleńczej” armacie zastępującej pomnik na placu przed restauracją „Jędrus”: – to jest nasza rzeka Rubikon. Był taki cesarz, nazywał się Juliusz Cezar, który ruszając na germańskie ziemie przekroczywszy wodę powiedział sobie po łacinie *alea iacta est*. Tak i ja, napisawszy list z oświadczeniami do Twojej mamy, sobie powiedziałem: zaczyna się gra, to znaczy po polsku: kości są rzucone.

PRL pelen był nuworyszy i bezetów. Nikt nie miał domu. Rodziny rozbito. Pamięć zmarłych, rozwodów, jakichś niełojalności w obliczu tak niedawnej wojennej zagłady, a nade wszystko brak przestronnych miejsc – nie sprzyjały zjazdom rodzinnym. Tłum przesiedleńców błąkał się po kraju. Socjalizacja. Fundusze Wczasów Pracowniczych, intendenci i instruktorzy kulturalno-oświatowi starający się ożywić turnusy w domach odebranych właścicielom.

Myśmy jednak mieli nasz, chociaż nie własny, przecież dom w Zakopanem. Swoją adres na Drodze do Białego 12. Pensjonat, któremu na imię było „Astoria” i siostrzaną „Halamę” z „Orlikiem” – niby młodszym bratem. Te hoteliki nazwano domami pracy twórczej. „Astorią” zawiadywał Związek Literatów Polskich, „Halama” i „Orlik” zostały oddane Zaikowski.

Jednak w „Halamie” czy w „Orliku”, choć w tym ostatnim tolerowano dzieci, dla nas było zbyt elegancko. Po prostu zbyt drogo. Rodzice przyzwyczaili się do „Astorii”, z jej dobrym duchem w roli ochmistrzyni, hrabiną Marią (Mulą) Krasicką (z domu Zdziechowska h. Rawicz, 1915-1989; jej mąż Władysław hr. Krasicki z Siecina h. Rogala, 1910-1942, zginął w czasie wojny). Intendentką panią Żelechowską, z paniami sprzątającymi: Rózią, Kazią. Z kucharką Helą. Z salonem z „kanaponem”, czarnym kredensem i zapachem nart, latem i zimą zawałających przedsiónek.



Zakopane, Droga do Białego 12. Dom Pracy Twórczej im. Stefana Żeromskiego „Astoria”, 2013 r. Fot. Podgląd, archiwum

Do domu zjeżdżaliśmy końmi. Najczęściej to były dorożki. (Taksówki jeszcze na przelomie lat 50.-60. to była kosztowna fanaberia). Tata, potomek starej krakowskiej powoźniczej rodziny starannie dobierał bryczkę, zwracając uwagę, czy koła ma na obręczach, czy też ogumione. A potem. „Z dziecięcą radością pociągam za sznurek”: sprawdzam, co tam w salonie, biegnę do kuchni, przywitanie z Józefem i Rózią. No i... Czy będzie Halny?

Najczęściej był i śniegu na lekarstwo. Latem natomiast – lato. Szczerze mówiąc, jak na kurort to marne to Zakopane. I nawet się trudno dziwić internacjonalistycznej zbieraninie krążącej dziś między Wiejską w Warszawie, a brukselską centralą, że używając życia gdzieś między Chamonix, Davos, a Cortina d'Ampezzo, nie bardzo się przejmują losem kilku linowych kolejek, splachetka Kasprowego Wierchu czy Gubałówki. Tego maleńkiego skrawka Karpat, którego nie da się bez naruszenia elementarnych reguł ekologii przekształcić w alpejski kurort. Nie te rozmiary by doprowadzać asfalt do Pięciu Stawów i kolejkami wywozić ceprów na Świnicę.

Zakopane nie jest na wczasy. Ono zrodziło się dla polskich serc i z patriotycznego ducha. Tu, pod najmniej represyjnym austriackim zaborem zbierali się filozofowie i rewolucjoniści, pisarze i medycy, awanturnicy i amanci. Tu urządzono największe w Polsce obchody 500-lecia bitwy pod Grunwaldem. Zbudowano pomnik Jagielly, wytyczono ulicę Grunwaldzką. Do Zakopanego ściągali literaci i o nim też książek przybywa. Tak, Zakopane ze swoim halnym, śniegiem topniejącym zimą i deszczami tnącymi na wysokości gardła od wiosny do jesieni tak naprawdę nie jest kurortem – jest Literaturą.

„– Piąty dzień leje, a tom się wybrał. Pojutrze muszę jechać. Nawet Giewontu nie widziałem na oczy! – Barometr się podnosi. W sierpniu bywają najpiękniejsze pogody.

– No trudno, deszcz musi się wypadać, cała klęska polega na tym, że nie ma tu co robić z niepogodą. Gdzie się, człowieku, schowasz? Żeby tu jakiś kurhauz, rozrywki...”². Kurhauzów ci dzisiaj dostatek. Nawet panienka z dobrego (choć artystycznego) domu Młynarskich – Paulina wespół z zakopiańską arystokratką – potomkinią rodu bazarzy Beatą Sabalą-Zielińską w rozdziale „Nierząd pod Tatrami” będącej fragmentem napisanego „Zakopanego odkopanego” zainspirowane sarkazmem Witkiewicza [który w liście z 1937 roku przyznał, że romansów i miłości ma już dosyć, ale w związku z tym zamierza „przejsć na dziwki”: „Kurwa co tydzień jak Flaubert. Kurważ musi być zwiększony, jak woltaż, litraż i kilometraż (i metrampaż!)], wymieniają

2. Andrzej Strug, *Zakopanoptikon czyli kronika 49 dni deszczowych w Zakopanem*, Kraków 1989, s. 11.

ze swadą i bez zahamowań miejsca intymnej uciechy, stwierdzając w swoim „Zakopane odkopane”: „Możliwe nawet, że sam Witkacy przeraziłby się, widząc, jak bardzo sprawdzilo się tutaj postulowane przez niego «zwiększanie kurważu»” (...)

Nic dodać: takie to już nowe czasy. Trzecie tysiąclecie, XXI wiek. Kope lat temu, dłużej, jeszcze chyba w czasie wybuchu Solidarności w Sierpniu roku 1980 (którą także w „Astorii” przyjdzie mi przeżywać) w kulturze i w obyczaju trwał jeszcze wiek XIX. Czas telefonu i kolei żelaznej, elektryczności i maszyny do pisania. Ich łomot kołysał do snu w domu pracy twórczej literatów. Od początku Zakopanego niewiele się zmieniło. Kiedyś Stanisław Witkiewicz, Orkan, Tetmajer czy mieszkający przy ulicy imienia autora „Na Skalnym Podhalu” Kornel Makuszyński. Teraz, czyli około 1960 roku w „Astorii”: Sławomir Mrozek tłukł w maszynę scenę swojej nowej sztuki, ciszej szemrała elektryczna maszyna Stanisława Lema, snującego „Bajki Robotów”, otoczony dwójką pacholąt (Agnieszką i Marcinem) Edmund Niziurski wymyśla „Sposób na Alcybiadesa”, Wiktor Woroszyński układa dla Natalki i Felka antologię „Nastolatki nie lubią wierszy”. Maciej Słomczyński jako Joe Alex pisze kryminał. Pod pachą targa ciężkie pudło, chwając się (a wszyscy mają go za mitomana), że to uznany za absolutnie nieprzetłumaczalny „Ulis-es” Jamesa Joyce’a.

Księżyc przedziera się przez chmury nad Regłami. Pod „Pana Tadeusza”, mieszczący się u samych wrót Doliny Białego pensjonat dla partyjnych urzędników z KC PZPR zajeżdża czarna, osobowa „taksówka” z warszawskimi prominentami. Pod nasz dom doczłapała się, klekocząc obręczami, stara, nawet nieogumiona konna bryczka ze stacji. Pani Krasicka zostawia trójkę swych dzieci (Szymka, Maćka i Hanię), z którymi mieszka w jednym pokoju nr 4 przy salonie. Schodzi do kuchni witać wieczornych gości.

Andrzej Tadeusz Kijowski

Jan Strękowski

Czasie naprzód!

Czas w życiu człowieka odgrywa podstawową rolę, nie dziwnego, człowiek istota czasowa (ja nie jestem dziś czasowa, jak mawiały niektóre panie w PRL). Wystarczy przypomnieć sobie tytuł podstawowej dla zrozumienia tej ludzkiej przypadłości książki *Sein und Zeit* (Bycie i czas), którą pewien polski wesolek przerobił kiedyś na *Ich habe Zeit* (Mam czas), choć inny wesolek podawał to w wątpliwość, przypominając, gdy zbliżała się magiczna godzina trzynasta, kiedy to otwierał się przed Polakami – pijakami monopolowy raj: „Cza sie coś napić”. Czasie naprzód! Tak wołano przed laty. Nic dziwnego, że w najwyższej cenie były wtedy urządzenia do jego pomiaru. Tam szczególnie, gdzie ten czas poganiano najmocniej.

Witold Szolginia, jeden z kronikarzy polskiego Lwowa, przypominając w książce *Pudelko lwowskich wspomnień pełne* 22 września 1939 roku, dzień kapitulacji Lwowa przed towarzyszami ze Wschodu, opisał nie tylko widok najeźdźców ubranych w zlachmanione szynele, niemilosiernie wydeptane i koślawe buty oraz dziwaczne czapki, które lyczakowskie batiary z miejsca nazwały *cyckami*, ale także to, co towarzyszyło wkroczeniu Czerwonej Armii. Plakaty, które pojawiły się na ulicach. Jeden z nich przedstawiał sowiecki czołg ze zwycięskim tankistą otoczonym przez gromadkę szczęśliwych, trzymających snopy zboża wieśniaków w wyszywanych ukraińskich *sorocz-kach* (koszulach) oraz łapciach na nogach. Jeszcze ciekawszy był drugi plakat przedstawiający nie szeregowego soldata, ale samego dowódcę zwycięskiej armii, Siemiona Timoszenkę, przede wszystkim z uwagi na akcesoria, którymi przyozdobił się zdobywca Zachodniej Ukrainy. A których wydawałoby się było... ciut za dużo! Otóż, jak zapisał Szolginia, Timoszenko w uniesionych rękach trzymał lornetę, co da się zrozumieć, wypatrywał przez nią pewnie sojuszników spod znaku swastyki, którzy byli pod Lwowem, ale odstąpili go przyjaciółom spod znaku sierpa i młota. Jednak lorneta to nie wszystko, bo oprócz niej na przegubach jego uniesionych rąk widniało... kilka zegarków i tyleż kompasów. Wzbudziło to zrozumiałą wesołość lwowskiej ulicy, która nie wiedziała jeszcze, jakie znaczenie dla sowieckiego człowieka

ma czas, a raczej czasy... bo tak w języku rosyjskim nazywa się urządzenie, którym wszyscy posługujemy się na co dzień.

Lata 1980-1981, określane jako Karnawał Solidarności, stały pod znakiem pytania „wejdą nie wejdą?”. Chodziło oczywiście o tzw. bratnią pomoc ze Wschodu, której doświadczyła w 1968 roku Czechosłowacja, w 1956 – Węgry, a my m.in. w pamiętnym roku 1939. Podczas Karnawału Solidarności właśnie w działającym poza cenzurą Niezależnym Instytucie Wydawniczym ukazała się (wydana w 1957 r. na emigracji w Londynie) powieść Sergiusza Piaseckiego *Zapiski oficera Armii Czerwonej*. Pisarza popularnego w okresie międzywojennym, asa wywiadu, przemytnika, więźnia, nawet bandyty, który zasłynął opowieściami z pogranicza polsko-sowieckiego. W PRL zakazanego. Między innymi z uwagi na przedstawiany przez niego obraz „wyzwolicie-li” polskiego proletariatu gnębiętego przez polskich panów. Jednym z tych „wyzwolicie-li” był młodszy lejtnant Michail Zubow, który wkrótce po zajęciu Wilna przez Armię Czerwoną, okazał się wielkim znawcą i kolekcjonerem zegarków (jego koledzy palali zresztą podobną pasją).

Oto fragment jego zapisków:

8 października, 1939 roku. Wilnius.

(...) Dzisiaj rano wstąpiłem ja do zegarmistrza. Blisko mnie mieszka. W oknie u niego duży zegar jest, więc zawsze, gdy chciałem wiedzieć która jest godzina, na dół schodziłem popatrzeć. W bardzo wygodnym punkcie mieszkanie otrzymałem i dlatego cenilem je nadzwyczajnie. Otóż wstępuje ja do zegarmistrza i pytam, czy nie ma czasem zegarka na sprzedaż:

– Jaki chcecie? – spytał on mnie.

– Najlepszy jaki może być. Wiele by taki kosztował?

– Mam ja – powiada – doskonały zegarek słynnej firmy „Omega”. Ale cena duża. Nie wiem, czy kupicie.

– Ile?

– 120 rubli.

– Pokaż.

Rzeczywiście zegarek piękny, ale czy dobry czort go wie. Może chce oszukać pacholek imperialistyczny. Wtedy ja mu powiadam doręczennie:

– Twoja „Omega” bardzo mi podejrzaną wydaje się. O, żebyś miał „Kirowski” zegarek, to bym chętnie kupił. To naszą sowiecką firmą i oszustwa żadnego nie może być.

A on zaraz szufladkę u stolika otworzył i „Kirowski” zegarek wyjął. U naszego dowódcy pułku widziałem taki. Wszyscy oficerowie zegarka mu zazdrościli. A on go otrzymał od rządu, jako „praktyczną nagrodę” za wyróżniającą się służbę.

– Sprzedajesz? – pytam.

– Naturalnie. Z tego żyję.

– Wiele kosztuje?

– 30 rubli.

(..)

– Ale czemu taka różnica: burżujska „Omega” 120 rubli, a nasz sowiecki zegarek 30 rubli.

– Taka już – powiedział on – i różnica. Trudno mi wam to wytłumaczyć.

Pomyślałem ja sobie: co tu robić? Różnica w cenie wielka. Ale „Kirowski” zegarek jest kieszonkowy. Na rękę, żeby ludzie widzieli, podziwiali i zazdrościli, nie włożysz. A w kieszeni nosić też niezbyt wygodnie. Duży drań i ciężki. No i na łańcuszku musiałbym go uwiązać, aby któregoś z kolegów nie skradł. Pomyślałem ja sobie: „Ech, było nie było, kupię „Omegę”. U nas w Związku pewnie 50 razy tyle otrzymam, jeśli zechcę sprzedać. No i kupilem. Włożyłem go na rękę i poszedłem na spacer. Rękaw wysoko w górę podciągnąłem, żeby ludzie widzieli, iż jestem przy zegarku. Przyjemne takie samopoczucie. Chcę wiedzieć, która godzina, tylko rękę w górę podniosę, spojrzę i już wiem. Tak samo zapyta ktoś o godzinę, to mu zaraz odpowiem: „Proszę bardzo, trzecia dziesiąta. Dokładny czas. Możecie być pewni, bo zegarek mój najlepszej światowej firmy. „Omega” się nazywa.” Tak, przyjemnie bardzo. A wszystko to zawdzięczam ja naszej radzieckiej władzy i WIELKIEMU Stalinowi.

Tego wyobrazonego tryumfu było bohaterowi powieści jednak mało, bo w kilka dni później, wraz z pięcioma kolegami udał się do fotografa:

Fotograf pokazał nam różne zdjęcia, żeby wybraliśmy sobie pozę. Potem lejtnant Dubin pierwszy usiadł w fotelu. Daliśmy jemu wszystkie nasze medale. Razem było ich dwanaście. No i zegarki, dla uwidocznienia ich na zdjęciu, pożyczycyli. Okazało się, że już wszyscy zegarki posiadamy, zawdzięczając władzy radzieckiej. A kapitan Jegorow nawet dwa sobie zdobył.

Pięknie!

Za dwa dni zdjęcia ja zabrałem. Trudno było uwierzyć własnym oczom. Medali pełna pierś. Z lewej kieszeni gimnastorki łańcuszek od zegarka widać wyraźnie. Z kieszonki u spodni tak samo dewizka wisi zachwycająco. A na rękach po dwa zegarki... Kazałem ja fotografowi jeszcze tużin tych portretów mi wykonać. Ważna będzie to pamiątka i dokument historyczny wielkiej wagi.

To odległa, wydawałoby się historia, która nas – Polaków nie dotyczy. Jednak Polacy nie gesi, swoich wielbicieli zegarków też mają. Jednego z nich, Sławomira Nowaka, posiadacza markowego zegarka Ulysse Nardin oraz ponoć pięciu innych (jak szacowali niektórzy – wartości ok. 70 tys. zł), ta miłość do markowych czasomierzy kosztowała nawet karierę, stracił bowiem przez nie posadę ministra transportu oraz wygodny fotel w ławach pewnej partii,

ba, został nawet skazany na grzywnę i ostracyzm środowiska. Na szczęście dla byłego ministra miłość do zegarków na wschód od rzeki Bug nie rdzewieje. Dziwili się jej, bywało, polscy politycy, gdy musieli skonfrontować swoje czasomierze rodem z bazaru z tym, co nosili na rękach ich wschodni koledzy. Choćby taki Putin, którego kolekcja zegarków jest ponoć warta pół miliona euro.

Teraz mamy jednak szansę odkuć się, a na pewno taką szansę dostał były minister, któremu władze ukraińskie zaproponowały posadę budowniczego autostrad w tym kraju. Nie przeszkadza im jego słabość do efektywnych czasomierzy. Ba, może je założyć nawet wszystkie naraz. A jak zbuduje im autostrady, może zostanie odznaczony... zegarem ściennym?

Nie, to wcale nie żart. Przenieśmy się znów na chwilę do zajętego przez Sowieców Lwowa. Polacy tamtejsi otrzymali wówczas niepowtarzalną „szansę” udziału w wyborach do najwyższych władz Ojczyzny Światowego Proletariatu. Wybory nie przypominały praktykowanych przez cywilizowanego człowieka, ale kampania wyborcza – tak. Świadczy o tym poniższy fragment wspomnień Michała Witwickiego, stryjecznego brata Janusza, twórcy Panoramy Plastycznej Dawnego Lwowa *Wybory po sowiecku. Lwów 1940*:

Ktoregoś dnia wybrałem się odwiedzić mojego przyjaciela Leona Brattla. Nie pomnę już ulicy, ale pamiętam niedużą willę za ogrodzeniem z drewnianą furtką. Na niej zawieszono kartkę z życiorysem kandydata, którym był lejtnant Krasnoj Armii. Nie wiem, co mnie tknęło, ale przystanąłem na chwilę, czytając:

Kandydat urodzony „z siemia raboczego” (jasne!) przeszedł szkołę (...) i został przyjęty do „akademii” wojskowej, którą pomyślnie ukończył. Wszedłszy następnie do czynnej służby wojskowej, wyróżnił się nadzwyczajnie, i został odpowiednio uhonorowany.

Ze zdumieniem przeczytałem dwa zdania, które zapamiętałem dokładnie. Kandydat napisał: „W 1939 roku zostałem odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy. W roku 1940 zostałem odznaczony zegarem ściennym”.

Zofia Beszczyńska

Drzewo i Wiatr

(fragmenty)

*

Było raz Drzewo tak małe, że nawet nie miało cienia. I był Wiatr tak mały, że wcale nie wiedział, iż jest wiatrem.

Drzewo szybowало na niebie, a Wiatr spał pod kamykiem: nie mogli się spotkać.

Aż kiedyś gałąź Drzewa potraćila chmurę, chmura zaczęła płakać, a deszcz spadł na kamyk i obudził Wiatr. Wtedy właśnie się spotkali, między niebem a ziemią; wtedy spostrzegli, że oboje nie mają cieni. Postanowili więc, że raz Wiatr będzie cieniem Drzewa, a raz Drzewo cieniem Wiatru.

I tak zostało.

*

Drzewo zatrzymało się naprzeciw Wiatru.

Podniosło ku niemu swoje małe twarze.

Lecz Wiatr je przełożył jak talię kart i Drzewo, wzdychając, musiało zawrócić.

*

Ledwie Wiatr wyklul się z jajka, natychmiast wypuścił korzenie.

O, przepraszam, powiedziało Drzewo, to ja jestem drzewem.

Nie szkodzi, odparł Wiatr i zaraz zaczął tak szumieć, tak szumieć, tak szumieć coraz ogromniejszymi gałęziami, że Drzewo ze wstydem musiało odlecieć i dotychczas nie zdołało się nigdzie zatrzymać.

I do tej pory nie wiadomo, czyj szum słyszymy: Drzewa czy Wiatru.

*

Wiatr chciał iść na spacer.

Popilnuj mojego miejsca, poprosił Drzewa.

Lecz gdy tylko odszedł, ono natychmiast zajęło jego teren i Wiatr nie miał dokąd wrócić.

Nikt go nie chciał: ani kamień, ani ptak, ani ziemia, ani niebo.
Umieścił się więc między nimi i od tej pory już nigdy stamtąd nie odchodzi.

*

Mam dla ciebie prezent, powiedział Wiatr do Drzewa.
Był to mały dzwonek.
Ile razy będziesz mnie potrzebować, potrząśnij nim, a zaraz przylecę.
Ale jak ja będę mógł nim potrząsnąć, skoro ciebie tu nie będzie? spytało Drzewo.
Wiatr zmartwił się: Drzewo miało rację.
Najlepiej zamieszkaj we mnie, powiedział dzwonek i otworzył przed Wiatrem serce.
I tak się stało, i wszyscy są zadowoleni.

*

Drzewo chciało zamieszkać w kropli deszczu. Zmniejszało się, zmniejszało, aż w końcu mogło się w niej zmieścić całe, od korzeni po ostatni najbardziej spiczasty liść.
A ja? zawołał Wiatr, który siedział w gałęziach.
No tak, dla Wiatru nie było już tam miejsca.
Obraził się i odleciał.
A kropla deszczu i tak pękła, rozprysła się na milion milionów kawałków.

*

Wiatr oznajmił Drzewu:
Nie będę już więcej przychodził. Zakochałem się.
I co z tego? spytało Drzewo.
Nic, odparł i odleciał. Złożył dom pod chmurą.
A Drzewo patrzyło w niebo, przyglądało się; czekało.

*

Raz Drzewo spotkało Czarodzieja i wyraziło życzenie, by móc chodzić.
Chodziło, chodziło, aż rozboleły je nogi. Ale stać już też nie mogło, skoro było drzewem chodzącym.
W rozpaczy zawołało, że woli latać.
I wzbilo się w niebo, i lata – pewnie do tej pory.

*

Wiatr mieszkał na Księżycu, miał tam wszystko. Wystygłe kratery, suche oceany, mróz nocą i skwar za dnia. Mógł się przechadzać, biegać, wiać ile mu się chciało, nie nękanym przez nikogo. Mógł budować, co chciał, z piasku.

Aż zbudował sobie Ziemię.

I tam się przeprowadził.

*

Wiatr zadzwonił, Drzewo zapytało: Kto tam?

Każdy jego liść śmiał się jak opętany.

Nie otwieraj, nie otwieraj drzwi, ten, kto chce wejść, ukrył się w piasku.

Zofia Beszczyńska

Małgorzata Szyszko-Kondej

Co to jest...

Marzenie?

Myślałem, że Marzenie ma skrzydła i fruwa. Trochę jest jak mewa, a może jak bańka mydlana? Chciałem je schwycić albo przynajmniej dotknąć. Wspiąłem się na palce, wyciągnąłem rękę wysoko, jeszcze wyżej...

– Mam! – wrzasnąłem z całej siły. W rękę ściskałem ogon.

I to wcale nie cały. Zaledwie koniuszek, drobne piórko Marzenia. Trzymałem je mocno. I poczułem jak unoszę się w górę.

Miłość?

Powiedz, jak poznać Miłość?

Nie przegapisz jej nawet w tłumie, na skrzyżowaniu ulic. Od razu poznasz, że to ona. Bo twoja Miłość jest jedna. Jedyna.

Może mieć pryszcz na brodzie, nie wymawiać „r” i pachnieć szczypior-kiem. Ale tylko ona tak śmiesznie marszczy nos, kiedy się dziwi!

Miłość widzi, choć ma zamknięte oczy. Słyszy w najgrubszych nauszni-kach. Mówisz „nie”, a ona i tak wie, że to „tak”.

Miłość czuje. Ma wielkie, dobre, otwarte serce.

Nieśmiałość?

Czy można polknąć motyla?

Jasne, że tak!

Wtedy trzepoczą ręce, laskocze w brzuchu, a na twarz wypływają ru-mieńce.

To właśnie jest Nieśmiałość.

Motyl zwykle kręci się koło ciebie, kiedy musisz powiedzieć wiersz przed publicznością albo zapytać nieznajomego, czy ... No właśnie!

Co zrobić z motylem?

Kup pelargonie. Postaw na parapecie, a przekonasz się, że woli kwiatek od ciebie. Jeśli na to za późno, odetchnij głęboko. Trzy razy. Zakładamy się, że wyfrunie?

... O co?

Choćby o to, że jak przegrasz, śmiało zaprosisz mnie do walca, lekkiego jak taniec motyla.

Nuda?

Nuda się nuuuuudzi. Ciągnie się jak guma do żucia. Jak długi makaron. Nie śpiewa. Nie biega z psem. Nie siedzi przed komputerem.

Nudzi się.

– Chodź na rower! Poczytaj książkę! A może zjesz lody?

Nuda ma minę znudzoną.

– Spójrz, w jajku są dwa żółtka! Kot pana Jacka umie podawać łapę! A ten chudy Wojtek z II piętra...

Nuda ziewa.

– Rusz się, zajmij się czymś!

A może Nudzie wcale nie nudzi się nudzić?

Odwaga?

W odwagę możesz się ubrać. I wcale niepotrzebna ci zbroja ani twarde helm. Wystarczy czapka **niewidka**. Tylko załóż ją po kryjomu, kiedy będziesz sam w pokoju.

Tak... Trochę bardziej na lewe oko...

Pasuje?

I już nie boisz się zastrzyków ani Adriana, który straszy cię pajakiem. Możesz bez tremy złożyć imieninowe życzenia cioci. Przy wszystkich. Bo masz czapkę-niewidkę, która dodaje ci odwagi. A że inni jej nie widzą?

I właśnie o to chodzi!

Piękno?

– Ach, jaka piękna kałuża! – zachwyca się Ania.

– Ach, jakie piękne morze! – wykrzykuje Ewa.
Co jest piękne naprawdę? Kałuża czy morze?
Jeśli powiesz „ach!” –
(a nie „och” czy „ojcie”)
Jeśli to „ach!” poczujesz na skórze –
(albo gdzieś w środku, w sercu)
Jeśli to „ach” zastąpi słowa
(i myśli)
Nie ma znaczenia czy to kałuża czy morze.
Liczy się tylko to „ACH!”.

Płacz?

Ile łez potrzeba na Płacz?
Jedna to za mało. A siedem?
Liczyłam na pinezkach. I ukląmłam się w palec. Wtedy naprawdę się rozpłakałam.
– Osiem, dziewięć, trzynaście, piętnaście... – łzy płynęły mi po policzkach.
– I tak za mało, żeby posolić zupę! – weszła Iza i zrobiła głupią minę.
Roześmiałam się. I teraz śmiech płynął mi po policzkach.
Płacz i śmiech. Śmiech i płacz. To chyba są bracia!

Przyjaźń?

Chciałem zaprzyjaźnić się z jeżem. Ale mnie zranił.
Chciałem zaprzyjaźnić się z królikiem. Ale trzeba było go wciąż głaskać.
Chciałem zaprzyjaźnić się z rakiem. Ale szedł w innym kierunku.
I przybiegł pies. Spojrzał mi w oczy i został. Na dobre. Na złe. I na byle jak.

Pycha?

Do Pychy wchodzi się po schodach.
– Puk, puk... To ja...
Pychy nie ma. Stoi na dziesiątym piętrze i pokazuje wachlarze dyplomów.

Wspinam się wyżej.

– Puk, puk... To ja...

Pychy nie ma. Stoї na poddaszu i pokazuje sznury medali.

Wspinam się wyżej.

– Puk, puk...

Pychy nie ma. Siedzi na kominie. I za moment stuknie nosem w chmurę.

Bo Pycha się rozpiera, panoszy, unosi nad innymi. Jest jak zarozumiała kura, która wciąż wskakuje na wyższą grzędę.

Radość?

Radość nie może ustać w miejscu. Podskakuje, wiruje jak szalona, tańczy. Śmieje się dzwoneczkami, perlistym fortepianem, energią bębenków. Wszędzie jej pełno. W majowym deszczu i w wąsach sprzedawcy gazet. W lampie na suficie i w zielonej salacie. W tobie.

– Podziel się ze mną Radością. Daj chociaż pół albo trzy szklanki.

– Po co?

– Wrzucę ją do skrzynki pocztowej i niech leci w świat.

Rozpacz?

Rozpacz jest czarna jak twój kot, który wpadł pod samochód. Przychodzi bez uprzedzenia. Nikt jej nie zaprasza. A przecież panoszy się w całym domu. W fotelu, na którym spał Mruczuś, w jego miseczce na mleko, w pileczce, którą tak bardzo lubił... I boli. Czasami w ogóle nie chce się odczepić.

Dlatego nie próbuj jej oswajać. Ani się z nią zaprzyjaźniać. Od razu napisz kartkę i wywieś na drzwiach: „Rozpacz dziękujemy”. Niech sobie mieszka na chmurze, czarnej jak ona sama.

Sen?

Latam. Unoszę się w powietrzu. Piękniej niż latawiec. Szybciej niż ptak. Poruszam rękami i...

Jakie to proste!

Bardzo chciałam zobaczyć ten Sen. Przylapać go jak przychodzi. Czy ma warkocze do kolan? Harfę do kołysanek? Super glue do sklejania powiek?

Zamknęłam oczy i czekałam. Ale przychodziły inne sny. Brzydkie i straszne.

Obudziłam się. I teraz śnię mój Sen z otwartymi oczami.

Smutek?

– Namalujmy Smutek! – prosi Kasia.

– Dobrze.

Maluję szaroburą chmurę na granatowym niebie.

Kasia wybiera kredkę czerwoną i niebieską. W skupieniu wystawia czubek języka. Drapie się po głowie.

– Gotowe! – pokazuje mi swój rysunek.

Kartka jest czerwona w niebieskie kropki. Cała. Od góry do dołu. Od boku do boku.

– No... wiesz! – jąkam ze zdziwienia.

– Mój Smutek jest czerwony w niebieskie kropki – tłumaczy spokojnie Kasia. – Taki, jak mamy sukienka, kiedy odprowadzała mnie do szpitala.

Starość?

Starość podobna jest do zimy. Nadciąga powoli. Szroni włosy, mrozi nogi. W tańcu i w biegu do tramwaju. Człap, człap...

Dlatego siedzi. Ogląda świat przez zamieć, która śnieży w oczach. Uśmiecha się. Do ogrodu dzieciństwa. I do piłki, którą kopie daleko, hen, w młodość.

Strach?

– Boisz się?

Brrrr! Jak ciemno! Wiatr porusza frankami. Cienie chodzą po kątach. Tyka zegar. Leżysz w łóżku z gęsią skórą na ciele. Wsluchujesz się w ciszę. Coś szeleści, skrzypi, zawodzi...

– Buuum!!!

Z szafy wyskakuje Strach. Błady, ze zjeżoną czupryną. Szczeka zębami, trzęsie się, dygocze. Łapie lizaka, którego ukryłaś pod poduszką. Chrupie.

Strach ma wielkie oczy.

– Auuuuu! Auuul – wyje.

Strach przestraszył się ciebie, bo ty piszczysz jeszcze głośniej.

Ze zdławionym gardłem zapalasz światło.... Gdzie on się podział?
I gdzie jest lizak?

Strach lubi straszyć. A ty lubisz się bać.

Szczerość?

Jeśli powiesz mi, że jestem najpiękniejsza, najmądrzejsza, najzgrabniejsza, po prostu Miss Urody...

I jeśli ja powiem ci, że jesteś najbrzydsza, najgłupsza, najgrubsza, po prostu Miss Potworów...

To to jest Szczerość.

Czy to jest Szczerość?

Szczęście?

– Jasiu, gdzie idziesz?

– Szukać szczęścia – odpowiedział.

I poszedł. Do lasu, bo może szczęście rośnie jak grzyby po deszczu. Do sklepu, bo może leży na półce z balonikami. Na autostradę, bo może pędzi autem w stronę słońca.

A szczęście nie ukrywało się wcale. Pachniało zupą pomidorową. Merdało ogonem. I puszczało oko do tych, którzy go nie szukają.

Tęsknota?

Przypływa po cichutku. I rozlewa się od czubków włosów do małego palca u nogi. Trochę piecze, trochę ściska w środku.

Może jest fotografią dziadka, który pozwalał taplać się w kałuży? Muszelką znad morza, znalezioną po wielkim deszczu, tuż obok granatowej skały?

A może Tęsknota jest tęczą? Zachwycą przez chwilę. Później łagodnie znika, pozostawiając po sobie żal i wspomnienie?

Wyobraźnia?

A może chcesz być ptakiem? A może samochodem? Zimę zamienić w lato? Wejść na szczyt po przygodę?

W podróżach z Wyobraźnią możesz wszystko. Być kim chcesz. I mieszkać tam, gdzie zamarzysz. Ona jest potężniejsza od królowej, bogatsza od najslawniejszego milionera.

Kiedy jest ci szaro, zawołaj ją! Przypłynie natychmiast.

Z motylami we włosach albo w czarnych kaloszach, albo...

Podaruje ci klucz do świata fantazji. Od ciebie zależy, co z nim zrobisz. Bo to jest Twoja Wyobraźnia.

Najpiękniejszy prezent, jaki dostałeś od życia.

Zazdrość?

Piotrek powiedział, że zazdrość ma kolor żółty. Dlatego szukałem jej w kaczeńcach na łące.

Ale on był szybszy. Schylił się i od razu wypatrzył żabę.

– Super! – gwizdnął z zachwytu i odsunął mnie na bok. – A tobie nic do tego! – oznajmił z wyższością, kiedy brał ją do ręki.

Poczułem lekkie ukłucie, gdzieś w środku.

Chyba zrozumiałem. Jego jest żaba, a moja zazdrość.

Małgorzata Szysko-Kondej

Krzysztof Derdowski

O przemijaniu i śmierci

„Martwa natura z łapką na osy” to już czternasty tomik poezji Ryszarda Chęstochowskiego. I tym razem, tak jak w kilku poprzednich tomikach, przedmiotem refleksji, dominującej w całej książeczce, jest śmierć. We wczesnych tomikach była to śmierć gwałtowna, czasem wprost nazwana – śmierć narkomana. Była to zaiste śmierć dziwna i trochę pokoleniowa – oczekiwana, wywoływana, prowokowana. Zresztą także inne motywy, na przykład miłosno-erotyczne, były w tej poezji aktami desperacji i rozpacz.

Tym razem, w najnowszym tomiku Chęstochowskiego, mamy raczej do czynienia ze swoistym studium śmierci, a może nawet bardziej procesu umierania i zanikania. Nie przypadkiem, jak sędzę, poeta odwołuje się nie tylko w tytułowym wierszu „Martwa natura z łapką”, ale na przykład także w wierszu „Rozsypane truskawki” do tradycji malarstwa niderlandzkiego, owych studiów martwych, martwiejących natur.

Chęstochowski dostrzega w świecie przede wszystkim totalność władztwa śmierci. Słowem – nic nie ocaleje, wszystko kiedyś zniknie, przepadnie. I poeta stwierdza z pewną irytacją:

*nie lubię życia z powodu śmierci
jak można tak ciągle zabijać
osy muchy komary*

(„Martwa natura z łapką na osy”)

Śmierć własna i świata dookoła! Poeta zdaje się nią porażony. I powiada:

*dajcie mi trochę samotności
czuję się otoczony
przez życie
które nieustannie umiera*

(„Martwa natura z łapką na osy”)

W przypadku tej poezji sprawdza się i to, że człowiek młody chętniej i w sposób bardziej desperacki obcuje ze śmiercią niż człowiek dojrzały i dorosły, kiedy

realna śmierć jest bliżej i jakby nieuchronniej. Częstochoński, młodzieńcem już nie jest, zbliża się do sześćdziesiątki i może dlatego powiada tak:

*od młodości trenowałem umieranie
przecinając żyły aplikując heroinę
i inne toksyczne substancje na spirytusie
głęboko szukałem swojej duszy
drugiej strony życia*

*teraz życie stało się nalogiem
i nie chcę iść na odnyk*

(„Jestem nie gotowy...”)

Życie jako nalog i przyzwyczajenie; powtarzalne rytuały; powielane błędy. Jest w tym coraz starszym życiu także cierpienie z powodu przemijania. I co może szczególnie ciekawe, że autor próbuje złapać na gorącym uczynku biologiczną wręcz podstawę przemijania. Zdaje się, że chciałby złapać na przemijaniu molekuły i komórki swego ciała. Ciekawość sąsiaduje tu z obawą, a może nawet z Heideggerowską trwogą.

*przychodziła refleksja że ciało w którym
przyszło ludziom żyć
dostarcza z wiekiem coraz mniej
rozkoszy a
coraz więcej cierpienia*

(„Metafizyka wygodnego ubrania”)

Częstochoński niewątpliwie przebył drogę od refleksji na temat śmierci, że tak powiem, popkulturowej, hippisowskiej, narkomańskiej do znacznie dojrzałej i po ludzku mądrzejszej refleksji człowieka dorosłego. Już nie igra ze śmiercią, lecz ją przeżywa. Pozwala działać śmierci samej. Życie takie, jakie jest, tu się samo z siebie staje, a nie jest mrzonką, złudzeniem, powiedzmy – zaćpanego podmiotu lirycznego.

Poeta nie pozostawia ani sobie, ani nam, swoim czytelnikom złudzeń, co do naszego dalszego trwania po śmierci, co do jakichkolwiek formuł wiecznego życia. Wiecznego życia, jak wyraźnie sprawę stawia Częstochoński – nie będzie. Nie ludzi się i radzi się nie ludzi. A jednak o pewnych formułach wieczności w dwóch wierszach wspomina. I powiada tak:

odchodzisz w muzykę od której

*wszystko się zaczęło
pójdź do lasu podnieś ślimaka z nim
na spacerze najlepiej na polanie
zwanej wiecznością*

(„Ślimak JJ Rousseau”)

Jest więc możliwy jakiś powrót do zaczątków istnienia, jakaś wspólna żyjącym i nieżyjącym „wieczna polana”. Głęboka refleksja i skupienie mogą człowieka do owej „wiecznej polany” przybliżyć. Otwarte pozostaje dla tego świata poetyckiego pytanie o możliwość owej wieczności. Na ile jest człowiekowi dostępna? Czy idzie tu bardziej o wspólnotę przemijających pokoleń? O ów wieczny powrót Nietzscheański? Częstochoowski pozostawia tę kwestię otwartą; raczej nie twierdzi, ale sugeruje pewną możliwość poetyckiej interpretacji i ekspansji.

W innym miejscu dość tajemniczo powiada:

*Celebracja jest nieśmiertelna
niżym pył kosmosu
czcij popioły wieczne pozostań*

(„Uczta gasnącego ognia”)

Nieśmiertelna jest celebra, a nie jej uczestnicy. Bliższy ocalenia zdaje się w tej poezji rytuał niż ten, co go sprawuje.

Nie pozostawia poeta natomiast złudzeń co do Boga. Otóż Boga, w tej poezji – albo nie ma, albo jest zupełnie nieobecny. I Częstochoowski powie tak:

*bóg nigdy nie przyszedł do mnie nawet
gdy płakałem w bólu chorobie samotności*

(„Bóg w nas”)

Mamy tu do czynienia z oczekiwaniem transcendencji i nadzieją na istnienie Boga. Oczekiwaniem i nadzieją – daremnymi.

No, cóż, mamy kolejny udany tomik Częstochoowskiego, a że starcem nie jest, więc wypada czekać na następne.

Krzysztof Derdowski

Ryszard Częstochoowski, *Martwa natura z łapką na osy*, Wydawnictwo Mamiko, 2016

Sylvia Gibaszek

Poliptyk

Notatki z nowego tomu poezji

Dariusza Dziurzyńskiego

Poliptyk to piąta już książka w dorobku Dariusza Dziurzyńskiego – poety, wydawcy Instytutu Polonistyki Stosowanej, a także tłumacza poezji Borisa Viana. Tom ukazał się w lipcu 2016 nakładem wydawnictwa Anagram.

Poezja Dziurzyńskiego od samego początku – od zbioru *Epitafia* – urzekła pedanterią kompozycji, reporterską precyzją i realnością w obrazowaniu codziennego świata.

W *Poliptyku* te cechy uzyskują swoje apogeum. Tom jest niezwykle przemyślaną, skomponowaną z matematyczną precyzją książką, przez co – w moim odczuciu – czasem ginie poetyckość rozumiana jako tajemnica.

Autor kreśli portret współczesnej rzeczywistości, jakby posługiwał się chirurgicznymi narzędziami. Robi to z ogromną jednoznacznością i oszczędnie w środkach wyrazu. Wzbudza w ten sposób bardzo silne emocje u odbiorcy. Oczywiście dotyczy to nie tylko *Wiadomości dnia*, znacznie więcej wierszy jest na „nutę Różewiczowską”.

Myślę o tekstach *Epifania*, *Zachody realiów*, *Obrazy wojenne*, *Przyczynek do tematu rewolucji*. Czytając te utwory miałam wrażenie, że „dosłownie słowa przecinają mi skórę”:

*Nauczycielka
umierająca na raka
przygotowuje uczniów
na swoje odejście.*

Wymyśliła że zrobią trumnę.

Sugestywność i prostota wyrazu to atut tych tekstów:

*Dwa miesiące temu rozbił się samolot:
politycy sportowcy kwiat biznesu.*

*Przed miesiącem ewakuowano Śródmieście
(fałszywy zamach bombowy).*

*Wczoraj nadeszła powódź
a za miesiąc – będzie się działo – kolejne
wybory.*

Moim zdaniem do najbardziej oryginalnych, wyróżniających się doskonałym warsztatem utworów w tej książce należą wiersze: *Gościnność*, *Wiolonczela*, *Na przyłot Madonny* i oczywiście *Notatka Profana*. Ten ostatni stanowi niezwykle ważny głos w dyskusji o ponadczasowości sztuki. Autor sugeruje, że jedną z najistotniejszych cech dzieła jest jego unikalność i niepowtarzalność. W momencie kiedy dany obraz, wiersz czy rzeźba stają się powszechne, multiplikowane, obwieszczane niczym reklamy na billboardach, przestają poruszać. Tracą duchową moc. Wzbudzają nieautentyczny zachwyt masowego odbiorcy, bo nie wypada przecież być ignorantem. Gdzie tu jednak zupełnie świeże spojrzenie i empatia oraz uważne obcowanie z dziełem? Gdzie pierwotny, prawdziwy odbiór sztuk – takie pytania nasuwają się przy lekturze odważnej *Notatki Profana*:

Arydzięło.

*Jakoś nie porusza
choć powinno.*

*Nawet biorąc pod uwagę wielkość epoki
przełomowe znaczenie w historii sztuki
wiedząc że wzorzec (...)*

*Wszyscy wokół doznają zachwytu
podobna pielgrzymka marzeniem duchownych
a jednak nie porusza
choć powinno (...)*

*Niezbýt urodziwa
langustodłonia
trochę pyzata
kuloodporna
Włoszka*

Wspaniale, gdy „poeta ironiczny staje się profanem”.

Notatki Profana mają kluczowe znaczenie. W tym tekście jest zapowiedź czegoś zupełnie świeżego, jeśli chodzi o rozumienie i odbiór nie tylko sztuki, ale rzeczywistości w ogóle.

Natomiast najmniej odkrywczym cyklem wierszy w nowym tomie Dziurzyńskiego jest według mnie tytułowy *Poliptyk*.

Piszę te słowa z pełną świadomością, że ów cykl stanowi kwintesencję tego, co w twórczości autora obiektywnie najlepsze, z pamięcią słów Janusza Pasternaka:

Poliptyczność w wierszach Dariusza Dziurzyńskiego ma również swoje wykładniki genealogiczne. Poeta z uprawą posługuje się różnymi konwencjami, gatunkami, wykorzystuje walory stylizacji, potrafi być ironiczny (mistrzowie hebla/wróćcie z Albionu). Jego liryczna postawa jest stonowana, dyskretna, częściej sugestywna niż dosłowna. Cechuje ją erudycyjność, głębokie osadzenie kulturowe (szczególnie frankofońskie i antyczne), wrażliwość estetyczna, etyczne zaangażowanie.

Przyznaję, że – z atencją i szacunkiem dla wspomnianej już erudycji autora, jego taktu poetyckiego, kultury intelektualnej, a także świadomości historycznej – najmniej silne wrażenie robi na mnie *Poliptyk*. Nie przekonuje mnie, gdy poeta pisze:

Coraz mniejsza ciekawość świata, coraz mniejsze pragnienie bliskości, coraz mniejsza potrzeba prawdy maleje libido sciendi miłość również maleje wszystko się zmniejsza prócz ja.

Nie przekonuje, chociaż czuję się urzeczona słowami:

To jest Wiara a to Nadzieja. To jest Miłość a oto Pewność. Każda osobno (choć rodzeństwo). Jeśli się zrosną będzie cudownie.

Wyjaśniam, skąd mój sceptycyzm. Brakuje mi w *Poliptyku* nowej, metafizycznej rzeczywistości, która nie będzie poetycką ucieczką od świata. Każdy świadomy twórca wierszy zwykle nie myli się w diagnozie: „człowieczeństwo karłowacieje”. Sama jednak diagnoza nie wystarczy. Za dużo też – w moim odczuciu – analizy.

Najcenniejszy i najbogatszy w znaczenia jest dla mnie cykl *Felinostychy* oraz genialny, a jednocześnie arcyprosty wiersz *Klinika* – tu pojawia się pierwotna baśniowość, duchowe życie rzeczy. Rzadko dziś myślimy, że rzeczy mają swoją duchowość. Tworzy się je w innym celu, odzierając ze wszelkich możliwych przejawów życia i natury. Parafrazując Kotarbińskiego można by rzec: mamy dziś do czynienia z „reizmem syntetycznym”.

Nowa metafizyczna rzeczywistość, która nie jest jednocześnie poetycką ucieczką od świata, pojawiła się w *Felinostychach*. Tu nie ma diagnozy, analizy,

jest obserwacja, czyste duchowe doświadczanie, przeżywanie. Oczywiście nadal autor urzeka wirtuozerią kompozycji poetyckiej.

Felinostychy bardzo wyróżniają się w nowej książce. Znajdziemy w nich konkretną realną propozycję myśłacej, empatycznej i twórczej obecności w świecie, będącej alternatywą dla duchowej erozji. Alternatywą tą jest czuła obecność i zapatrzenie się na istoty intelektualnie niezaprogramowane, żyjące w cieniu cywilizacji, pozbawione uwarunkowań i tresury, przez co bardzo tajemnicze: koty.

Owe zwierzęta były już doceniane jako nadprzyrodzone i niezwykle oraz inspirujące dla literatury. Są obecne chociażby w poezji Wisławy Szymborskiej, Szekspira czy Eliota, nie wspominając już zacnych autorów prozy fantastycznej, takich jak Ursula le Guin, Andrzej Sapkowski czy Jacek Dukaj.

Współlistnienie z kotem uczy prostego, a zarazem niezapóźnionego przeżywania.

Kot pokazuje człowiekowi, jak tworzyć więzi emocjonalne. On także staje się orędownikiem wolności, przedmiotem „metafizycznego zdziwienia”, które według znakomitej artystki i performerki Meredith Monk jest koniecznym warunkiem prawdziwego istnienia i tworzenia sztuki. Kot nie tylko „zadziwia metafizycznie”, paradoksalnie staje się bardziej ludzki niż sam człowiek, bo potrafi kochać w sposób pierwotny, niczym niezaburzony. We współczesnej rzeczywistości, która atakuje nas apokaliptycznymi wizjami terroryzmu, katastrof i wojen, gdzie „człowiek człowiekowi wilkiem” „kot człowiekowi bratem”, przy którym można żyć bez lęku. W *Felinostychach* nie ma abstrakcyjnej idei zwrotu ku naturze. Jest ucząca obserwacja naszych „braci mniejszych”, bez patosu, zbędnych upiększeń czy tandetnej tkliwości.

Ponadto kot równie cicho i niespektakularnie cierpi niczym człowiek. Tak jak on niepostrzeżenie, w ciszy odchodzi z tego świata:

Moja kotka umiera na raka.

Został jej tydzień najwyżej

dwa.

Cierpi tak samo

jak każdy człowiek.

Na przykład:

święty Augustyn konający w gorące.

Dusza zaczyna podchodzić do gardła.

Czeka ją wieczność.

Horyzontalna

Po lekturze *Felinostychów* nasuwa się pytanie: co dzieje się z ludźmi, że zwierzęta uczą nas, czym jest człowieczeństwo? Co spowodowało, że zawędrowaliśmy w ślepą uliczkę? A może wcześniej myśleliśmy zbyt stereotypowo, bo niby dlaczego człowiek ma być ukoronowaniem stworzenia? Siłą wierszy o kotach Dariusza Dziurzyńskiego jest burzenie utartych przesądów o ludziach, sprzeciw wobec ich bałwochwalstwa.

Zwieńczeniem cyklu o kotach, a jednocześnie ukoronowaniem prostoty oraz manifestem ufności autora stają się słowa:

*Dopóki przychodzą do mnie zwierzęta
chcą zamieszkać w delcie dłoni*

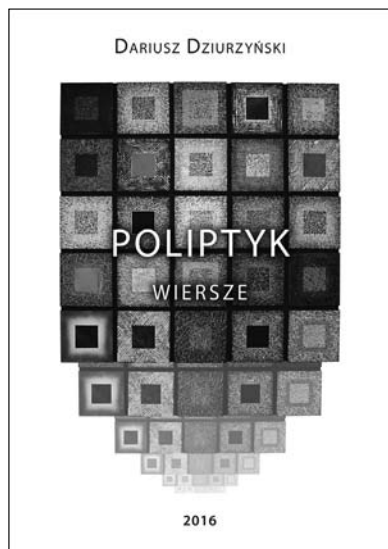
*nie obawiam się ciemności
w sobie i poza
mną.*

Dopóki bronimy swojego człowieczeństwa, a tym samym wszystkich istot obdarzonych prawem do życia, możemy tworzyć i odkrywać, istnieć bez winy, wstydu i lęku.

Najnowszy tom wierszy Dariusza Dziurzyńskiego stanowi zbiór bogatych refleksji na temat szeroko pojmowanej kultury i natury człowieka. Zawiera też pewne drogowskazy etyczne, dyskretnie wytyczone.

Poliptyk to książka będąca specyficznym, osobnym zjawiskiem poetyckim.

Sylvia Gibaszek



Dariusz Dziurzyński, *Poliptyk. Wiersze*
Anagram, Warszawa 2016

Symbole według Marii Piaseckiej

Symbol jest nośnikiem nieskończenie bogatych treści. Stanowi podstawowy element bardzo wielu kultur. Dzięki niemu docieramy do tego, co wspólne we wszystkich społecznościach ludzkich na Ziemi.

Maria Piasecka zgłębia symbole jako historyk literatury, czego wyrazem była jej rozprawa doktorska pt. *Mistrzowie snu. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński* (wydana w formie książki przez Ossolineum).

Jako poetka i performerka próbuje pokazać relację symboli poetyckich z dźwiękami instrumentów muzycznych. Wyrazem tego jest jej najnowszy tom *W g-moll*, opublikowany w maju 2016 przez Dom Wydawniczy Tchu. W tej książce autorka dokonuje przekładu symboli muzycznych, obecnych w wielkich dziełach kanonu światowej muzyki klasycznej, takich jak między innymi *Kunst der Fuge*, *Das Wohltemperierte Klavier* Jana Sebastiana Bacha, *Madrygały* Claudio Monteverdiego czy utwory na violę da gamba Marina Marais na język poezji. Podczas *performance* w czerwcu 2016 w warszawskim Klubie Tarabuk, Maria Piasecka pokazała, że dokonując przekładu symboli muzycznych na słowa poezji, tworzymy nowe jakości i kolejne symbole. Ten proces przekładu nie ma końca. Jest jednocześnie pionierską wyprawą w nieznaną, improwizacją, niekończącą się opowieścią. Ma ona szczególne znaczenie gdyż bez niej nie ma możliwości rozumienia i przeżywania symbolu w codziennym życiu.

Tej sprawie poświęciła Maria Piasecka osobną książkę, wydaną w bibliotece Gnosis, jednocześnie z tomem *W g-moll* pt. *Przyprawienie z Ziemi Run*. Autorka przybliży czytelnikowi symbole runiczne – jak sama pisze – powiązanie z rozterkami człowieka, próbami losu, wyborami adekwatnych postaw. Źródłem inspiracji do napisania *Przyprawienia* była *Edda poetycka*, jej przestrzeń mityczna, w której Odyn otrzymuje „bardzo wielkie runy” by rosnąć i mężnieć”.

Mircea Eliade w swoich książkach: *Aspekty mitu* i *Obrazy i symbole*, dokonuje dogłębnej analizy symboli związanych z dziejami ludzkości, obecnymi w opowieściach mitycznych różnych kultur.

Maria Piasecka przekłada zaś literę alfabetu, konkretną runę – na historię, opowieść. Tworzy na bazie znaków mitologię Run. Każdą z tych historii wyposaża w jak więcej znaczeń. Ta destylacja symboli runicznych owocuje

barwnymi, baśniowymi opowieściami, nie pozbawionymi też poetyckiego charakteru.

Przypowieści Marii Piaseckiej otwierają ludzką świadomość. Dodają do niej treści, które pozwalają na nowo zobaczyć określone życiowe sytuacje. Bowiern tylko dzięki świadomości, pogłębionemu przeżyciu i wieloaspektowemu postrzeganiu danego zdarzenia możliwa jest przemiana ludzkiej psychiki, a co za tym idzie, trwała zmiana zachowań.

W psychologii procesu baśnie, mity, wykorzystywane są w procesie psychoterapii.

Osoba poddana tej praktyce wciela się w rolę danej postaci z opowieści żeby przeżyć pewne zdarzenia, analogiczne do jej życiowej sytuacji, zobaczyć je w nowym świetle, zgłębić ponownie.

Przypowieści Marii Piaseckiej również można by wykorzystać w tym celu. Samo ich czytanie dostarcza bardzo bogatej gamy doznań i emocji. Może aktywizować w człowieku proces *catharsis*. Runiczne mity są bowiem nie tylko przemyślanym zabiegiem koncepcyjnym przekładu znaków-symboli na język literacki, ale przede wszystkim, świadectwem dojmujących doświadczeń i przeżyć, doznawania przeróżnych aspektów życia.

Dla mnie istotny jest poprzedzony poetyckim mottem tekst *O znaczeniu runy Gebo*:

*odrębni w zjednoczeniu
podarowani sobie
pozwólcie wiatrom niebios
tańczyć między nami*

Ta przypowieść jest w widocznej opozycji wobec dostępnych nam realiów. Dotyczy ona trzech aspektów istnienia: panowania nad czasem, zależności człowieka od czynników zewnętrznych, bliskości a jednocześnie zachowania własnej niezależności w relacjach z drugim człowiekiem.

Otoczająca nas rzeczywistość ma formę sieci, w którą nieuchronnie zaplątujemy się, nie mogąc się z niej często wydostać. Jesteśmy zaplątani w pełne samochodów miejskie arterie. Płaczymy się w medialnych szumach i – jak mawiał Wojciech Kuczok – w „fonicznych śmieciach”. Demagodzy od reklamy, mistrzowie technik wywierania wpływu z Robertem Caldinim na czele próbują wmówić, że czegoś nam ciągle brak. Natomiast w *Przypowieści o znaczeniu Runy Gebo* autorka oznajmia, że aby być prawdziwie wolnym, niezbędne jest poczucie pełni i samowystarczalności. W *Ziemi run*, by wzbudzić w człowieku ten stan, przynosi się dary.

To także w odbiorze powszechnym dość kontrowersyjna teoria. Dary według autorki mają podkreślić kompletność, całkowitość i niezależność obdarowanego, uświadomić, że ma w sobie wszystko, by pięknie, satysfakcjonująco żyć. Każdy człowiek stanowi sam absolutną pełnię. Nie tworzymy więc sztucznych potrzeb i łańcuchów zależności. Tylko w tym stanie umysłu możliwa jest świadoma egzystencja i bliskość z drugim człowiekiem, która nie krępuje zobowiązaniami, cyrografami, tylko łączy aktem woli oraz siłą i mocą podziwu dla drugiej osoby właśnie taką, jaka jest. Maria Piasecka w swojej przypowieści dotyka też problemu gospodarowania czasem na Ziemi; mamy go coraz mniej. Jednak to także nasz wybór. Przecież sami decydujemy, czy chcemy trwonić czas w centrach rozrywki, ulicznych korkach, przyswajaniu jałowych przekazów medialnych.

Wspólnym mianownikiem *Przypowieści z Ziemi Run* jest dążenie do wolności duchowej, intelektualnej, wolności rozumianej jako pełnia świadomości. Nie można nikomu pomóc ani dać siebie, jeśli nie jest się całkowicie niezależnym:

Aby mądrze opiekować się współplemieńcami, należy być człowiekiem wolnym, samodzielnym i pewnym swoich decyzji.

Aby uzyskać tę świadomość i wolność, należy spełnić jeden warunek: posiadać określony system wartości. Wartości bowiem konstytuują człowieczeństwo. Odkrywamy je samodzielnie. Człowiek, który żyje świadomie, bierze lekcje od życia, nie wspólnie z innymi, lecz poznaje siebie i świat własnymi oczami, rękami i duszą.

Można by zarzucić autorce, że w ten sposób dojdziemy do moralnego relatywizmu, bowiem każdy odrębnie pojmuje sferę wartości. Wydaje się, że Maria Piasecka nie podziela tego przekonania. W każdej jej opowieści człowiek odkrywa wartości, które są – jak mawiał – Henryk Elzenberg transcendentalnie przynależne człowieczeństwu. Są to „wartości perfekcyjne”, mające bardziej doniosłe znaczenie niż „wartości użyteczne”. Mamy – mówiąc w języku Platona – ideę człowieczeństwa i przypisane jej wartości. Ludzkim zadaniem jest tylko do nich dotrzeć, zauważyć je i kierować się nimi w swoim postępowaniu. Jest to długotrwały proces, niemalże inicjacyjny – jak pokazuje *Przypowieść o znaczeniu Runy Kenaz*. Tam odnajdziemy przekonanie, że

życie to nie wyobrażenie o życiu, a mądrość i poczucie bezpieczeństwa nie rodzą się w ścisłej zależności od drugiej osoby, choćby to był najdoskonalszy i najbardziej godny podziwu nauczyciel.

Zatem podobnie jak głosi pierwszy punkt Buddyjskiego Dekalogu Zen, nie przywiązujemy się do żadnej doktryny, systemu filozoficznego czy dzieła

literackiego, bowiem wszystkie one są tylko drogowskazami. Stanowią jeden z wielu punktów widzenia.

Na zakończenie dodam, że *Przypowieści z Ziemi Run* łączą w sobie dość odrębne obszary takie jak: ezoteryka, filozofia, poezja, świat baśni i psychologia. Maria Piasecka dokonała zjednoczenia tych dziedzin w prosty, taktowny, bezpretensjonalny sposób. Udało jej się uniknąć moralizatorskiego tonu, to ogromny atut jej książki. Dzięki temu runiczne mity brzmią autentycznie; każdy z bohaterów opowieści w skupieniu, ciszy i ogromnej pokorze zgłębia cenną wiedzę o człowieczym losie. Powoli w odosobnieniu zdobywa życiową mądrość.

Sylvia Gibaszek

Maria Piasecka, *Przypowieści z Ziemi Run*, doM wydawniczy tChu, Warszawa 2016

Janusz A. Kobierski

Ogród wyobraźni

Jest ich ośmiu z różnych stron Polski. Można domniemywać, że jakoś ich zebrał wokół pisma sam Krzysztof Kuczkowski, który w niniejszej antologii rozpoczyna prezentację swego świata poetyckiego, a całość książki tworzy różnorodny, ale wspólny świat poetów skupionych wokół dwumiesięcznika „Topos” i stanowiących Konfraternię Poetycką „TOPOI”. Oto oni alfabetycznie: Przemysław Dakowicz, Wojciech Gawłowski, Adrian Gleń, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kass, Krzysztof Kuczkowski, Wojciech Kudyba, Artur Nowaczewski.

Antologia została zredagowana w sposób przemyślany, staranny. Włożona w elegancką okładkę, według pomysłu Krzysztofa Kuczkowskiego. Książka ma objętość – dwieście dwadzieścia trzy strony. Wybór i układ treści Przemysław Dakowicz i Wojciech Kudyba. Zamieszczono po piętnastu-dwadzieścia utworów każdego poety. Przy każdym z nich nota biograficzna i fotografia na całą stronę.

Posłowie napisał literaturoznawca **prof. dr hab. Jarosław Ławski**. Jego treść to nie tylko wprowadzenie informacyjne w książkę, ale na czułych strunach poetyckich wygrany kolejny poemat. Przyznam szczerze, że ze wzruszeniem czytam teksty krytyczno-literackie tego autora, bowiem nie tylko w nich pokazuje analizę omawianych utworów, ale ozdabia ją aurą empatii... finezyjnym przedstawianiem ich światów. Kilku bogatych światów (osobnych planet) w poetyckim kosmosie.

Ks. Jan Twardowski ongiś w rozmowie ze mną wyznał, iż z naukowca nie będzie dobrego poety. Oslupiałem na takie *dictum*, ale nie protestowałem wtedy, bo nie miałem pewności, czy ma rację. W niedługim czasie zrozumiałem, że był nieco rozżalony za niezbyt przychylną opinię pewnego księdza piszącego wiersze, początkującego badacza literatury. Ale nie chodzi tu wcale o ks. Janusza St. Pasierba, który jest przykładem na nietrafność owej konkluzji ks. Jana. Był przecież świetnym znawcą kultury, literatury, a przy tym bardzo interesującym poetą. A naukowcy z konstelacji „Toposu” też zasługują na pochwałę. Śmiem powiedzieć, że są szczęściarzami, bo znaleźć się w grupie podobnych sobie pasjonatów, mających pismo, by w nim prezentować swój dorobek to wielka rzecz. Jaka będzie ich droga twórcza, ile światła

zostawią po sobie – czas pokaże. Ale start mają ułatwiony. Właściwie to już coś więcej niż start, bowiem każdy z nich ma wydanych po kilka tomików wierszy, a rozpiętość ich wieku jest spora. Daty ich urodzenia mieszczą się w przedziale lat 1953-1978.

Prawie wszyscy oni są już cenionymi naukowcami w dziedzinie literatury. A to pomaga w pisaniu wierszy, czy nie? Popatrzmy. Może pojawi się odpowiedź.

Krzysztof Kuczkowski to poeta z misją. Tak to wyraża w puencie wiersza *Kładka*, s. 28.

*Chcę być kładką, po której przejdzie Syn cieśli.
Muszę zdażyć przed zachodem słońca, zanim ciemność
mojego serca powiększy się o ciemność
nieba i ziemi.*

To prawda, że każdy poeta powinien czuć się zobowiązanym do spełnienia misji. Bez niej wszelka twórczość nie ma sensu. I chociaż w kolejnym modelitewnym wierszu, zamykającym swój cykl, wyznaje tylko tęsknotę do Bożej miłości, to i tak w swoich poetyckich wypowiedziach stara się odpowiadać na trudne egzystencjalne pytania. I jednak w słowach ludzkich również szuka pocieszenia. Ponadto jest twórcą i dotąd redaktorem naczelnym znaczącego periodyku literackiego oraz inicjatorem różnych wydarzeń kulturotwórczych w środowisku, które wokół „Toposu” zgromadził. Oto wspomniany utwór:

*Spraw, Panie, bym nie musiał / w słowach szukać pocieszenia // ani w żadnej innej
rzeczy / która dzieli świat na części. // Spraw, byśmy ulecieli jak parasole / dmuchawca,
i żeby nikt z nas nie pytał // dokąd i po co niesie nas wiatr / Twojej miłości. (Spraw,
Panie... s. 30).*

Piękny wiersz, który daje przedsmak tej liryki, zaś almanach jest oczywiście zachętą, by sięgać po nią w pełnym wymiarze.

Kolejny autor omawianej książki **Adrian Gleń** to teoretyk literatury Uniwersytetu Opolskiego. Pracuje w słowie i zmagania ze słowami umie wyrażać zaskakująco, nawet aforystycznie:

* * *

*Wyjść z języka można
tylko
przez siebie*

albo: *język (mi) się / zdradza*

albo: *pozostawiam // siebie samemu sobie* (s. 33)

W tej twórczości znaleźć można ponadto ślady pracy nad twórczością poetów – nad Mickiewiczem, Różewiczem, Białoszewskim, Kornhauserem. Wiersze o nich lub im dedykowane o tym świadczą.

Wojciech Kass zaskakuje tematyką wierszy. W opisywanych sytuacjach lirycznych zwraca uwagę na tę ich stronę, którą inni autorzy chyba pominęliby. To jest jego pewna oryginalność. Poezja niespokojna, nawet pełna lęku, a przy tym prowokująca. Oto na przykład znajdujemy w niej nawet wulgaryzmy (zob. wiersz *Z dziennika snów* (8)). Moim zdaniem tutaj zamieszczone teksty nie są dla autora reprezentatywne, w osobnych jego tomikach można znaleźć utwory dużo ciekawsze.

Najstarszy z grupy poeta **Wojciech Gawłowski** przedstawia lirykę, która ma tonację dostojną, wręcz klasycystyczną. Od pierwszego wersu wzbudza zaufanie. To się czuje w trakcie lektury, że autor wie, co ma do powiedzenia, a ma wiele. Wcale się nie dziwię, że za swoją twórczość został obdarowany nagrodami i odznaczeniami.

Oto krótki liryk pokazujący maestrię poety (*Boże Narodzenie 1998*, dedykowany Helenie):

*Rodzice zaglądają
do nas
przez szybę.*

*Patrzą, patrzą
i wracają do nieba.*

*Cztery gołębie
w siviźnie błękitu.* (s. 96)

Artur Nowaczewski – najmłodszy autor, a już adiunkt w Katedrze Teorii Literatury i Krytyki Artystycznej Uniwersytetu Gdańskiego. Tym bardziej poeta ma świadomość odpowiedzialności za treści, które wypełniają jego utwory. Wie, iż

nie wypada pisać o wszystkim i o niczym, / ale ja jeszcze nie piszę – dodaje – ja mówię na początku / były słowa, których nikt nie układał, jestem, / przecież tylko małym puzłem i dopiero / potem ułożę się w siebie, takim jakim/mnie znacie. (s. 111)

Niesie w sobie los, który będzie rozpisывał na epizody. A one ułożą się w historię jego życia.

(...) ...*historia, którą niosę w sobie,
jest melodramatyczna, kupuję bilet w jedną stronę,
bo nie ma powrotu, każda rzeka jest inna. skrzydła
jeszcze się tlą, spalona ziemia ścieli się do stóp.* (s. 126)

Jarosław Jakubowski – wszechstronny literacko, chociaż studiował budownictwo lądowe i politologię. Wiersze pokazują spory potencjał liryczny. Jako również dziennikarz na dookolną rzeczywistość patrzy problemowo, szczegółowo.

Temat w wierszu to konkretna sytuacja (np. *Chłopakom* z „*Kurska*”) pokazana w atmosferze kontrolowanej emocji, napięcia.

*Drzewa w szronie podobne są
do księżycowych skrzydeł.
Nieruchome, pną się do nieba.
Jaz im przysługuje, szumi,
lamentuje.* (s. 140)

Przemysław Dakowicz – historyk literatury; adiunkt w Katedrze Literatury i Tradycji Romantyzmu Uniwersytetu Łódzkiego. Poeta, o którym głośno od kilku lat. A jego tom poetycki *Łączka* wzbudził wręcz podziw i wzruszenie; zaś wcześniej *Teoria wiersza polskiego* uznana została za najlepszy tom roku 2013 i nagrodzona Orfeuszem – Nagrodą im. K.I. Gałczyńskiego. Poezja intelektualna, kontakt z nią sprawia satysfakcję. Nic dziwnego, że ta twórczość ciekawi. To poeta uważny. Wie, jakie najdonioślejsze tematy chwycić za rogi.

Wojciech Kudyba – też historyk literatury, profesor nadzwyczajny w Katedrze Literatury Współczesnej Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, wykładowca Studium Literacko-Artystycznego UJ. Już od dawna zwraca uwagę oryginalnym stylem poetyckim. Treść wiersza potrafi obudować swoistą metaforą z gór, lasów, łąk i pól. To tworzy urzekający liryzm utworów. Zebrał pochwały od licznych krytyków. Tej twórczości nie sposób już teraz pominąć. To poeta znaczący.

Poetycka antologia topoiów jest ciekawą prezentacją. Oczywiście, że większość twórców z zewnątrz nie lubi zamkniętych „grup”. Bo one rzeczywiście są środowiskami przecież jakoś zamkniętymi (odgrodzonymi,

oddzielnymi). Nie sposób dołączyć do nich. Ale to ma i swoje złe strony dla samych członków takiej „grupy”. Trzeba bowiem ogromnej dyscypliny i samokrytyki, by nie popaść w samoakceptację i nie ześlizgnąć się w powtarzalność.

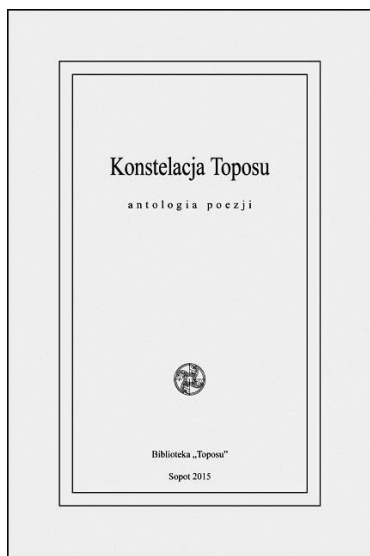
Ten zespół autorów trzeba traktować raczej jako swoiście pojmowane środowisko poetów i krytyków skupionych wokół „Toposu”. Słowo „grupa” bardziej pasuje dla młodzieniaszków, którzy lubią się zrzeszać.

Co łączy topoitów? Z wypowiedzi Wojciecha Kudyby, zamieszczonej na samym początku książki i wyrażonej jako manifest, program... czytamy, że łączy ich rozmowa w drodze. Ponadto każdemu z nich przytrafiła się przygoda *przekroczenia* – siebie, języka (?):

W rozmowie, w otwarciu języka wydarza się świat, Ten pomiędzy nimi. Rozdarty. Bliski i zarazem inny. Droga jest zawsze wędrówką w stronę innego. Można być sobą tylko w utracie siebie. Dopóki idą, rozmowa jest dla nich czymś w rodzaju wspólnego miejsca, wspólnego świata. (s. 5)

Gdy szwadron specjalistów od historii literatury, teorii poezji i krytyki bierze się za metaforę, cóż można z tym zrobić, jeśli nie pochwalić? Raczej myślę po lekturze o wartości przyjaźni niż o różnych poetykach. Tak, czynnikiem łączącym różne sposoby mówienia poetyckiego jest przyjaźń. Tylko i aż!

Janusz A. Kobierski



Konstelacja Toposu. Antologia poezji. Posłowie: Jarosław Ławski. Wybór i układ treści: Przemysław Dakowicz, Wojciech Kudyba. Biblioteka „Toposu”, Sopot 2015, ss. 223

Jerzy Sikora

Oswoić, odczuć, pokochać

Poetka Janina Osewska jest też fotograficzką. Nie dziwi więc, że i w jej wierszach zauważamy patrzeć na świat okiem obiektywu, kamery. Kilka lat temu opublikowała album *Okruchy* ze swoimi fotografiami tajemniczego świata natury. I ów album, i zbiorek wierszy *Tamto* obfitują w niedopowiedzenia. Wynikające z czego? Z poczucia braku? Niekoniecznie. Może nawet częściej z poczucia nadmiaru. Następuje eksploracja świata, powolne, cierpliwe oswojanie miejsc.

W tomiku najpierw natrafiamy na wiersze przywołujące dzieciństwo:

Zabawa w pitoki i inne gry podwórkowe, Zabawa w teatr, Sabat na Łysej Górze, Chłopcy z IV b.

Sielskość i tajemniczość dawnej topografii, miejsc zapamiętanych z dzieciństwa zostaje zderzona z bezduszną, a nawet brutalną współczesnością:

Teraz stoją tam sklepy wielkich korporacji / z głębami wygłodniałych koszy (Gaj).

Niekwestionowanym patronem tego tomiku jawi się Zbigniew Herbert. Kiedy Osewska pisze: *Dotykam warstw katedry Santa Maria del Fiore (Florence)* czy *Dotykam starych kamieni katedry Duomo. Stopniuję ich szorstkość / i gładkość marmurów. Tak ćwiczę pamięć dłoni. Dostrzegam detale (Siena)*, nie sposób nie przywołać bardzo sensualnych esejów poświęconych sztuce romańskiej z tomu *Barbarzyńca w ogrodzie* Zbigniewa Herberta. Mamy *Rozmowę z Katarzyną Herbert* oraz wiersz *Droga powrotna* dedykowany żonie Herberta. Natomiast utwór *Szafa* przypomina Herbertowską *Elegię na odejście pióra, atramentu, lampy*:

*Nauczysz się żyć bez mnie wypełniona szafa
nim zastygnie i skamienieje powietrze w tobie.*

A w dodatku motyw „skamieniałego powietrza” może być modyfikacją frazy wziętej z *Napisu* Herberta: *gdy skamienieje wiatr, będziemy wzruszać powietrze*. Podobny elegijny, pożegnalny wydźwięk znajdujemy w innym wierszu Osewskiej zatytułowanym *Fotel*. Oto jego pierwsze wersy:

*Nauczysz się żyć bez mnie skórzany fotelu
z oparciami służącymi myśleniu
z podglówkiem zbratanym z utrudzeniem.*

U autorki, niestojącej jeszcze u kresu życia, trochę mogą dziwić pojawiające się wyraźnie w jej tomiku motywy śmierci i żegnania się ze światem. Chociaż to żegnanie nie jest katastroficzne. W obrazowaniu, w kolorystyce często pojawia się zieleń – kolor nadziei: zieleń brzoź, zielona rzeczna woda, zielone pola nawet w grudniu, zielony marmur z Prato, zielony sweter...

U Osewskiej trzy czasy: przeszły, teraźniejszy i przyszły przenikają się nawzajem, wchodzą we wzajemne powiązania, relacje. Ale mimo to, czy dzięki temu, nie wyjaśniają w pełni zawilości dywagującego podmiotu i świata wokół. W temporalnych konfiguracjach górę bierze przeszłość, pamięć. Janina Osewska tłumaczy świat. Dla kogo? Przede wszystkim dla samej siebie. I żaden to egoizm, ale naturalna ludzka potrzeba. Potrzeba człowieka chcącego pełniej funkcjonować w meandrach otaczającej rzeczywistości, z którą chce się dogadać, porozumieć. Chociaż trochę się oswoić. Zmniejszyć dystans. Chłód zamienić w ciepło. Obcość w bliskość i we wzajemność, a nawet w miłość. Osewską interesuje głównie to, co bliskie, najbliższe: ona sama, dzieci, bliscy umarli, ale nadal obecni: mąż, matka, ojciec. To w ujęciu personalnym, a w perspektywie szerszej, wspólnotowej: kraina dzieciństwa, mała ojczyzna, a także wielki świat: USA, Włochy, a więc Nowy Jork z Broadwayem, Florencja, Siena. A obok, ale wcale nie zdyskredytowane, Glinki, Rudawka, Czarna Hańcza... Nowojorski Central Park zostaje zestawiony z Puszcą Augustowską:

Jesienią, w dzień powszedni, jest tutaj cicho jak / w Puszczy Augustowskiej i dużo ptaków, dla których park / to tylko miejsce tranzytowe (Central Park).

Możemy zbudować rezerwar, przeprowadzić inwentaryzację poetyckiego obrazowania. Będzie ona podobna do tej fotograficznej, wnikliwie uczynionej przez Wojciecha Kassa w jego posłowie do wspomnianego już albumu *Okruchy*:

Z fotografii Janiny Osewskiej mówią do nas woda i lód, ziemia, piach i błoto, mgły, światło, trawy, wodorosty, kamienie, kamyczki, liście, skorupki, drzewa, wąs, łódki przypominające odpoczywających kochanków. [...] Mówią formą i fakturą dzwinnych znaków, zakrytego pisma refleksów, smug, pręg, kręgów, fałd, kropli, bruzd, spekań, zmarszczek, żałomów, przyzm, łach, muld, grud, grudek, tropów, rysów, sopli, słoii, pasemek, kielków, ścięgów, draśnień, sęków, floresów, linii prostych, brył.

Podmiotowi lirycznemu nie tyle chodzi o zrozumienie tego wszystkiego, co o zauważenie, uświadomienie, odczucie. Znalezienie wspólności oraz odrębności. Trudniej o te pierwsze. A w ogóle najtrudniej połączyć ze sobą życie i śmierć. Metoda logiczna, a zwłaszcza tak zwana zerojedynkowa, przydaje się tu jak psu na budę. Skuteczniejsza, lepsza jest metoda poetycka

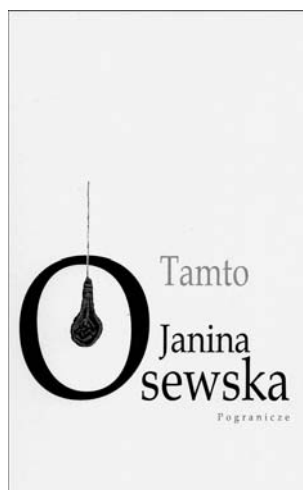
– z paradoksem, oksymoronem, z innymi skutecznymi środkami wyrazu. Metoda aluzji, niedopowiedzenia, czy wręcz zamilczenia. Na przekór bezdusznemu konkretowi i chłodnej logice. Osewska uprawia poetycką fotografię i fotograficzną poezję. Ale nie są to tylko pojedyncze obrazy zatrzymane w kadrze. Mamy – wprawdzie nie nadmiernie – ale jednak rozbudowaną poetycką frazę. Autorka lirycznym słowem snuje swoją narrację, swoją opowieść. Pomaga jej w tym zmysł obserwacyjny oraz pamięć. Towarzyszy nuta nostalgii, personifikowanego smutku. W wierszu *** *Zakupy. Spodnie z lnu i bawełniane koszule...* mamy *smutek oparty o poręcz / schodów*, a utwór kończy się powinnościowo:

*Trzeba wyrażać wdzięczność. Zawsze i natychmiast. Zanim śmierć bliskich
odciśnie znamie zaniechania.*

Nasza poetka chętnie porusza się wśród drobin istnienia, okruszków, odprysków egzystencji, które często urastają do roli symbolu, co uchyla rąbek tajemnicy, ale nie wyjaśnia wszystkiego. Nie możemy w pełni poznać samych siebie, a coś dopiero innych, wreszcie wszechświat cały.

Tomik *Tamto* jest głęboko egzystencjalnym wyrazem prawdy i pokory poznawczej.

Jerzy Sikora



Janina Osewska, *Tamto*, Pogranicze, Sejny 2015

Agnieszka Stabro

O liryce tatrzańskiej

Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej

(fragment przedmowy)

(wiersze tatrzańskie Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej)

Prezentowany czytelnikom wybór wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej jest wyjątkowy (...) Góry w wierszach poetki nie są jedynie elementem przyrody czy krajobrazu; są żywym organizmem; „dyszą”, „krzyczą i straszą wściekle”, a (...) drzewa pokrywające ich zbocza „tańczą”. W wierszu *Góry* poetka pisze wprost: *Choć nie żywe na pozór, są tylko w letargu*, animizując je i nadając im szczególny status. Ale góry, chociaż piękne oraz majestatyczne, są niebezpieczne, wręcz wrogie, niosące śmierć. Z wierszy tatrzańskich wysuwa się następujący wniosek: Tatry należy podziwiać z daleka, nie próbować porywać się na ich szczyty; spadają z nich bowiem nie tylko niedoświadczeni, początkujący poszukiwacze silnych wrażeń, ale również *najlepsi, najpierwsi turyści*.

Metaforyka śmierci i wszystkiego co się z nią wiąże jest w wierszach Jasnorzewskiej o górach bardziej rozbudowana. Zeszlenczone *śniegi leżą kamienne, szare jak grobowe płyty*, a góry usłane są nie tylko kwiatami, które poetka wychwala, ale też kośćmi osób, które tam zginęły. Kości leżące w trawie szepczą: *Ach jak słodko jest leżeć! Ach jak słodko jest nie żyć!*, z kolei Tatry przyglądają się kolejnym „zabitym w górach” z obojętnością; *trwają, obce niżinom. Ani wiedzieć nie chcą*.

Jasnorzewska była baczna obserwatorką rzeczywistości; w jej wierszach narciarze tak bardzo podziwiani przez opinię publiczną porównywani są do *falangi duchów*. Strach, który odczuwa poetka wobec gór jest lękiem pełnym szacunku; w wierszu *Ucieczka w Tatry* nazywa góry *za wysokimi progami*. Z kolei w wierszu *Wspomnienie z gór* czytamy o *gnieździe skalnej śmierci i krwotokach czasu*.

Nawiązania do rodzącego się w ówczesnym czasie ruchu alpinistycznego są bardzo wyraźne; co ciekawe jednak, poetka zdaje się być wobec poczyną śmialków ironiczna i bardzo sceptyczna. W wierszu *Z gór VI* czytamy: (...) *Taternicy, nie gołeni, płowi, klnąc, wiszący na rękach, sznurem powiązani, po prostopadłej ścianie wchodzą jak po grani (...) tam (...) fruwają aniołowie (...) i w śmiechu lśnią rzędami uszębien srebrzystych na widok purpurowych wysilków turysty*. Góry są zatem dalekie, obce i nieprzyjazne, nawet dla osób, które obcują z nimi na co dzień (...)

Zastanówmy się zatem, czy nie powinniśmy nazywać Pawlikowskiej również poetką śmierci, a nie tylko miłości? Czy jedno i drugie nie jest inną stroną tej samej monety; monety życia? Jasnorzewska nie była ulotną i wiotką Lilką, dostrzegającą jedynie jasną stronę świata; widziała bardzo wyraźnie również jego cienie i miała odwagę o tym pisać.

Pokłoń się Tatrom, zanim wyjdiesz na szlak, zdaje się przestrzegać Jasnorzewska, i nigdy nie zapominaj, że góry to piękne miejsce, lecz zarazem tajemnicze i niebezpieczne.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

Zabity w górach

*Trawo, trawo zielona! szumiąca kołysko!
Żeby wstąpić w obłoki, trzeba upaść nisko!
Trzeba wspiąć się z mozołem na najwyższą turnię,
odpaść od niej i koźła wywinąć poczwórnie!*

*Trawo, trawo zielona! Wspólne mamy sprawy!
Tylko umarli wiedzą, o czym myślą trawy!
Co szepcze kość do kości, która obok leży?
„Ach, jak słodko jest leżeć! Ach, jak słodko nie żyć!”*

Góry

*Jak ciche są te góry, gdy leżą pod śniegiem,
zaszyte w biały całun kosówkowym ściegiem!
Choć nie żywe na pozór, są tylko w letargu.
Czasem wstrząsną się, z piersi zrzuca stopy piargów
przeciągną się we śnie.*

*Wówczas jak garść liści
spadają z nich najlepsi, najpiersi turyści...
Towarzysze ich potem zaszywają w płótno
i niosą ku niżynom ścieżką bladą, smutną...*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Kłaniaj się Tatrom*. Wybór i przedmowa Agnieszka Stabro. Wydawnictwo Miniatura (ul. Barska 13/1, Kraków, <http://www.miniatura.info.pl/>)



Zofia Beszczyńska

Wiersze o nietoperzach

*

za oknem mały nietoperz
krąży wokół księżycy

jedno skrzydło musnęło mi czoło
drugie skrzydło musnęło mi oczy

zasypiam

*

czy nietoperz to ptak
gad czy zwierzę?

gdy nie zobaczę
w nic nie uwierzę

mknie ciemną nocą
ku księżycy tarczy

jest samym sobą
i to wystarczy

*

wieczorem na strychu
spotkałam nietoperza
przycupnął w kącie cicho

biały jak śnieg jak mleko:
pewnie przyleciał z daleka

skąd się wziął?
przez jakie wleciał okno
żebym go mogła spotkać?

i gdzie znów zniknie
gdy skończy się ten wiersz?

może ty to wiesz

*

dokąd zmierzasz
nietoperzu
i
co trzymasz w pysku?

nie powiem ci
bo nie zrozumiesz
i
lepiej nie podchodź za blisko!

*

nietoperz się zaperza:
dlaczego nikt go nie lubi?
tego nietoperza

on tylko komary łapie
najlepiej jak potrafi

on tylko ćmy łowi
jak mu przystoi
temu nietoperzowi
on tylko krąży w powietrzu
wierci powietrze jak laser –

a że we włosy wkręcić się może?
no nie wiesz czasem

Jerzy Binkowski

Tryptyk maryjny

Wielobarwna

Ziarna żyta spoglądają w niebo
Ściele się pszeniczna mgła
Mech od północy wypatruje wroga
Jeż się kolce w jeżynach

Flokсы szturmują
Drży osika
Bledną hortensje
Astry omdlewają w koszyku snu

Sierpień i słowo pszenica
Pszenne żyto
Spadło słowo chleb ze złotych kłosów

Taniec żołędzi i dębu
Tańczy z wiewiórką orzeszek
Przestrzeń rozsadza zagon malin

Ciepła pułapka serca

15.08.2016, Trofimówka

Twoje imię

na trawie w słońcu
widzi gałązki brzoź delikatnych jak na stronie albumu
polskiego malarstwa – tam czekają rycerze ojczyzny
właśnie tam do białej kory dołączą czerwień śmierci
i zaśpiewają korony drzew pieśń ponad pieśniami

w szumie objawień husarskich skrzydeł
w zgrzycie żelaza o żelazo gdy opada cień
Maryjo – na trawie w słońcu

Rany boskie

Czas i cisza delikatna w nas
Niewidzialny osuwa się ptak
Kolysze się w takt białego snu
Wyzbywa się swego ciężaru

Kropla czystej jak konwalia łzy
Ciężar światła i głębi
Jak kropla wzruszenia – jedna łza
W niej ukrywasz to co prawdą jest

Nie umiem tych paciorków do nieba
Nie lubię tego cierpienia słowa
Po słowie ślizgam się na czarnym lodzie
Tafla różańca trzeszczy takt w takt

Dla róży wiatrów mieszkanie we mnie
I krzykliwe śpiewanie dzięcioła
Czarnego jak smuga cienia na pniu
W ziemi – rany boskie – Maryjo



Opera i sztylet. Rys. *Katarzyna Boruń-Jagodzińska*

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Będę grać

pod żwawą melodię zbliżoną do *Sitting on the top of the world* albo „Blues panie Janek /Jurek, blues”,
utwór zainspirowany widokiem „grajki ulicznej”,
a raczej podziemnej z psem i kotem

Siedzę sobie nad talerzem
i odganiam swoje zwierzę,
co mi w oczy niezbyt szczerze
patrząc
łapę wciska w barszcz.

Ten barszcz jest bez mięsnej wkładki,
a kto gładki – je ostatki,
nie słuchałeś synku matki,
już na jutro nie masz nic.

Kolego,
nie patrz z wyrzutem na głodnego,
bo i zazdrościć nie masz czego –
sięgnąłem dna
i jest mi wstyd.

Dziś się nie dzielę
nawet z najbliższym przyjacielem,
bo całkiem na dnie
jest resztką zupy oraz ja.

Barszcz też jest na dnie,
ale nie kradnie!
Czy też jest potępienia wart?
Bo nikt w niedzielę
nie zaprosi mnie na obiad,
jeszcze bym go całkiem objadł,



Poeta pomnikowy. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodźńska

lecz poradzę sobie tak:
Swych towarzyszy
zabiorę do koszyka z sobą,
ktoś mnie usłyszy,
przechodząc szybko swoją drogą,
może grosz da?
Kupimy wtedy
coś do żarcia,
bo przecież mam
gitare
i głos nie do zdarcia!

I pójdę grać
w podziemnym przejściu
czy pod mostem
i będę grać
życie się wtedy wyda prostsze.

Ty będziesz spać,
boś przywykł do mojego grania,
dziś na obiad masz sen,
utyjesz mi od tego spania.

Ktoś schyli się:
„o jaki słodki kotek”
a ja: „no nie,
to jest
nie kotek tylko pies”.

I będę grać
w podziemnym przejściu
czy pod mostem,
i będę grać,
życie się wtedy wyda proste.

Ktoś rzuci grosz
i powie „co za śliczny piesek”
a ja: „ten to nie pies

to tylko taki duży
kotek!”.

Już nie wrócimy na piechotę,
a za dwa złote
mogę zagrać jeszcze raz.

I struny drżą,
metro huczy,
tramwaj zgrzyta,
czasem tylko ktoś zapyta:
„co pan daje tym zwierzakom,
że tak śpią?”.

Trochę serca, trochę kaszy,
najważniejsze – nikt nie straszy,
tłusty kasek też się trafi
– sobie odjąłbym od ust!
One nie są w poniewierce
choć chwytają was za serce,
a wy złapcie się za portfel,
rzućcie grosz!

I będę grał!
Chociaż nie często
pełna kieszeń.
I będę grał,
drobną sumą się pocieszę.
I będę grał!
Chociaż nieczęsto
pełny talerz,
suty stół,
to dzielimy los na pół
i jakoś jest.

Na pół
kawalek chleba i los,
raz karnawał, a raz post
nie ma co klócić się –

kto dostanie większy kęs.
I będę grał!
Nie ma przyjaźni
bez wyrzeczeń.
Dzisiaj gorzej, jutro lepiej,
raz pogłaszczę, raz poklepię,
ale zawsze mamy siebie,
a one zawsze mają mnie!

I struny drżą,
metro dmucha,
tramwaj zgrzyta,
czasem krzycząc mi do ucha
ktoś zapyta
„A co będzie jak zwierzaki stracą słuch?”.

Na razie gram.
I będę grał
za dwóch.
I będę grał!
Trochę nut i trochę słów
zmiksuję, zmieszam
i połączę,
na dzisiaj jednak zaraz skończę,
właśnie ze względu na ten słuch...

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Dariusz Dziurzyński

Charakteryzacja

trzeba wstać
zapalić papierosa
napić się kawy lub wody mineralnej
umyć twarz
ogolić nasączyć
wyszczotkować zęby
wyplukać i wypłuć
nałożyć szampon
starannie wmasować
poczekać splukać
czynność powtórzyć
użyć odżywki z rozmarynu i skrzypu
(aby zachować włosy plus mądrość)
suszyć tylko w sposób naturalny
i przejść do kremów:
a) przeciwzmarszczkowego
(po czterdziestce to zwykła konieczność)
b) do rąk (wygładzającego
z nanotechnologią)
wyrównać wąsy
podciąć brodę
usunąć zarost z nosa i uszu
dzikie brwi jedna
po drugiej
zapalić raz jeszcze
dokończyć kawę
chuchnąć w dłoń
żeby wreszcie wyglądać jak człowiek

W sprawie rodowodu

Moja babcia
z Dziarnowskich
Henryka
była zamożną chłopką.

Gdy szła do kościoła
pod okiem parobków
zerkala oziębłe
wyczekując dziedzica.

No i znalazła
szaraczka Józefa
bez ciężkiego grosza
za to w panamie
i błyszczących cholewach.

Czytał na okółko
Sienkiewicza
bo taki był zwyczaj.

Jam cały z tego mezaliansu –
mieszaniec
kundel poeta.

Przed egzekucją

Prawdziwa śmierć Marii Antoniny
zaczęła się tutaj w celi więzienia.
Niezaradna królowa bez wiernych sług
musiała sama myć się i czesać
zdejmować desusy zakładać desusy.
Używać nocnika. Podmywać krocze.
Wszystko na oczach wścibskich żandarmów
których oddzielał niski parawan.
Ich język ulicy niezrozumiały

brzmiał ordynarnie i ranił słuch
 (zmysł nienawykły do mowy plebsu
 równie odległej jak pieśń dzikusa).
 Większość czasu odwrócona plecami
 siedziała przy stole czytając modlitwy.
 Nie przeczuwała że pójdzie na szafot.
 Co z woli Boga zostanie boskie.
 Czy to możliwe *est-il possible*
 aby gwałt budował monarchię?
 Najgorsze były więzienne noce
 zimne wilgotne z chrapaniem straży.
 Do celi dobiegał lament i rozkosz
 (niektórzy oddali się libertiadam).
 Na stole skwierczał ogarek z loju
 rzucając oślizgle pijane cienie.
 Fakty podane w podręcznikach:
 przejazd przez miasto nienawiść tłumu
 obcięcie włosów błysk gilotyny
 były jedynie publicznym spektaklem.
 Prawdziwy koniec zaczął się tutaj
 a smak był odtąd kwestią wyboru.

Dariusz Dziurzyński

Danuta Gałęcka-Krajewska

Fauna

Zagarniam słowa
na przypadkową stronę
w odwróconym porządku postrzegania
pozornie płynnym ruchem słonia
– Szczerze mówiąc – powiedziała
w sklepie na Francuskiej
(zasłaniając skórę lisa)
– my tu lubimy słonie –
Chciałam krzyczeć
– Ja też lubię nosić faunę
na rękach zmęczonych walką
z wiatrakami zoologów
ale ten portfel z węża
pod oknem
musi pamiętać fragmenty drogi
sunącej wokół głuchego stąpania
czworakiej kolumny nóg
szarego giganta
Tam – tam nie byłam
lecz próbuję zrozumieć
przesłania północnego wiatru
i odczytać pismo linowe
poszycia równikowych lasów
w nieszczelnie zamkniętym obwodzie Natury

W drodze

Gdyby ktoś pytał
(z czystej ciekawości)
to nadal idziemy
– w sobie roztargnieni

zza węgla nocy
do za siebie
ku przed zmrokiem
cały czas przodem
do gdzie popadnie
Więc znowu
raczej nieustannie
idziemy w zaparte
na przekór prognozom snów
na radość ocalonej hucpie
W ciągłej pogoni za tymi
co już doszli
i spadli miękko
za bezpieczny horyzont
chylący sfatygowane czoło
przed ogólną tendencją
doraźnych korzyści
z budzenia efektu domina

Oferta

Kupię nowe istnienie
z tarasem
o powierzchni roboczego stołu
Salvadora Dali
w stanie surowym
z dala od zgiełku
azbestowych przekłamań
pożywnego miasta
Z rozległym widokiem
na MURY JERYCHA
i graffiti podboju Kanaanu
z Jozue w roli głównej
gdy twarzą do słońca
i wyzwaniem rzuconym
krotochwili wydarzeń
kamieniuje czas

przekładając na muzykę zwycięstwa
zwolnione obroty Ziemi Obiecanej
Kupię przezorne pulsowanie wiary
od teraz do wielkiej ciszy
w antrakcie zamyślenia
nad zawrotnym przyspieszeniem
falującej sinusoidy dziejów

Wyznanie

Zawstydzileś mnie kolego
mistrzu opisu krajobrazu
po niegdysiejszej bitwie
poeto dobrze wymierzonej przestrzeni
między metaforą porannego zaśpiewu miasta
i panoramą także moich
„niecierpliwych snów”
Z którego piętra świadomości
widziałeś milczącą procesję
swych wczesnych niedomówień
i co ci wybaczył
łamiący wiosenne konwalie
cierpliwy głos matki
w przededniu konkursu
na najbardziej zadbany
ogródek osiedlowy w latach sześćdziesiątych
Wygrany czy przegrany
ale zawsze w przyjaznych kolorach
pejzaży Moneta
– osobliwy azyl nadziei
pośród blaszanych szarości
okolicznych barakowozów
Nawet nie wiem
po co czekałeś tak długo
na otwarciu zardzewiałej bramy
za którą już nie zostały
żadne twoje dziecięce zabawy

bo zagłuszył je miarowy odgłos
wieczornych przechadzek
gęstniejącej kobiecości

Pozorny spokój frazy

Trzeba umieć wydobyć się z wiersza
otrząść pióra z metafor
wznieść się ponad wadliwy metabolizm
niedopowiedzeń składni
i dotknąć krat zardzewiałej mowy
tak mocno
by pękła powłoka zalęknionej frazy
by wyszły na jaw
wady fabryczne snów o sile wyrazu
ukryte przezornie w fałdach
cichej zmowy przypadkowych znaczeń
i żądań wczorajszego dziecka
Na razie lepiej oddalać
bezterminowe roszczenia
czasów zaprzeczonych
Gdy nie ma winnych
braku drogowskazów
zostają tylko skreśleni
z katalogu pobliskich ulic
I tak w atmosferze niepewności
upływa kolejny dzień
poszukiwaczy odrębnego słowa

Danuta Galecka-Krajewska

Sylwia Gibaszek

Adriatyk

woda powlekana lateksem
nakrapiana żółtymi cętkami
benzyną
pomarszczona od soli
cierpka
zielone fale foliują skały
na brzegu szkarłupnie
ścielą się jak porozrzucane berła
podobno ich kolce to talizman
chroniący przed piekielnym żarem

Adria Beach

kamień w kształcie ryby
rozgrzana toccata

skończyła się uwertura
właśnie słońce tryska do wody
rozsypane po piasku recytatywy
wiolinowe ziarna
trzask białej piany

sączymy *malibu* pod palmami
kicz w zenicie
zapach potu
a statek jak zwykle odpływa pijany

Stary Bar

w starym Barze nie dają piwa ani wina
nawet wody brak
zamiast barmana koty
wspinają się z tobą na skały
prowadzą do tureckiej łaźni
która wciąż taka sama od XVIII wieku
trwa
razem z meczetem
cerkwią świętej Katarzyny
wyżej widok na mury obronne

w starym Barze katolicy prawosławni
wyznawcy Allaha razem popijają rakiję
ziewając spoglądają na port i rafinerię

narzekają że w tym roku
słabe zbiory oliwek robaczywe figi
za mało turystów
kiepski zarobek będzie na zimę

patrzą jeszcze na wyladunek statków
a potem rozchodzą się
do meczetu, kościoła, cerkwi

każdy trzeźwy do swojej świątyni

Sylvia Gibaszek

Andrzej Tadeusz Kijowski

Masyw Centralny

Enie i Piotrowi Camière

Kiedy komunikacja
Trwała długo
Przeżywając wyobrażoną urazę
Można było

Penetrować włości
Bogu ducha winnego sąsiada

Potem
Słać parlamentarzysty
Wywieszać raz białe,
czasem czarne – gdy pomór
To znów pirackie flagi

Jak by to było
Gdyby Helena z Menelaosem
Mogli porozumiewać się na Facebooku?

Parys założyłby fałszywy profil
Kirke by zwieść Odyseusza
oznaczałaby mu się raz tu, raz tam

Czy wojny trojańskiej można było uniknąć?
Pewnie tak
Pytanie za jaką cenę!

Poronione zostałyby
jeszcze przed poczęciem
Zarówno „Iliada” jak i „Odyseja”,
O „Eneidzie” i setce naśladowców
Nie zapominając...
Nawet „Odprawa posłów greckich”
Nigdy by się nie narodziła!

I na co zdalyby się trudy
Schliemanna?
Co by poczęli
Biedni tureccy przewodnicy
Jaki byłby los TUI
I innych przeważnie niemieckich
biur podróży?

Może więc nie należy przesadzać z tą komunikacją
Co nam z telefonów Obamy do Putina?

Czyż nie lepiej zdać się na przypadek?
Tezaurus komputerowy
Przekręci słowa
Google coś w tłumaczeniu pomyła
Meil wysła się w pół zdania

Działa – zaczną
działać

Ożywi się też
Literatura

Wilga – w czerwcu 2013

Pat – Agonia

Krzyśowi – zięciowi

Nie wierszem. Bez ojczystych znaków.
Gdzieś w Patagonii bydło doją.
A tutaj ubywa Polaków.
Zapominają przeszłość swoją.

Dobrze jest poznać cudze kraje
I świat i obcych krów imiona.
Lecz piękne jest co Zmartwychwstaje.
Jak Polska – znów dziś zagrożona.

I dobrze znać języki obce.

Cudze melodie warto nucić.
Lecz naród Twój ma własne kopce.
Opuszczasz go – po to by wrócić.

Z powrotem – docień polskie znaki.
Wszystkim cielećtom nadaj imię.
Bo świat jest różny, kraj jednaki.
Masz tylko własny. Niech nie zginie!

Ołtarze-Gołacze w listopadzie 2013

krajanie

kroję ranne pieczywo
jak babcia z Krakowa
w kuchence od podwórka
lśnił serwis z boćkami

nie radzę sobie z masłem
po wileńsku skrobię
z wierzchu patką paryską
za wuja przykładem

ścieram po pierwszej żonie
okruszki z Torunia
po drugiej grzanki płockie
wkładam do szaflika

łamię kromkę palcami
krzyżuję nawyki
żegnam ojcowskim kciukiem
kraj – jak bochen chleba

W Ołtarzach w styczniu 2015

Andrzej Tadeusz Kijowski

Gabriela Kurylewicz

Góra Witkacego

Tacy jesteśmy
nie do końca udani,
a ustawicznie
obdarowywani –
poeci, aktorzy, profani.

Jesteśmy tak słabi
i tak rozchwiani,
a jednak zdążamy
wzdłuż strumieni
natchnień –

W deszczu i słońcu,
w dół, w górę
szukamy i bładzimy
w towarzystwie
najlepszym
czystych dajmonów.

To się skończy kiedyś
być może.
Lecz później
nastąpi ciąg dalszy
mądrzejszy i doskonalszy
lub nie nastąpi.

Jednak sam pomysł
słusznego zakończenia
będzie wart
formy piękna
i otchłani.

*16 II 16, Zakopane, Strych Pracy Twórczej
Moim Przyjaciółom: Dorocie Ficoń i Andrzejowi Dziurkowi
w oktawę urodzin Witkacego*

Adam Lizakowski

Nocne rozmowy emigrantów

albo trzy wiersze dla Wacława Iwaniuka*

Toronto, 14 lutego 1991 r.

Drogi Panie Adamie,

Dziękuję za list i pamięć. Owszem, Floryda się udała, tomik przeczytałem z zainteresowaniem. Gratuluje, bo powinien być sukcesem poetyckim. Recenzję wysłałem do „Tygodnika Polskiego” w Londynie. Mam nadzieję, że zamieszczą.

Piszę krótko, bo po powrocie załatwiam formalności na zjazd Stowarzyszenia Pisarzy w Warszawie, na który zaprosił mnie prezes Braun. Zjazd rozpoczyna się 15 marca. Mam kilka zaproszeń na wieczory autorskie, ale skorzystam chyba jedynie z Lublina i Warszawy. W Lublinie mam rodzinę, więc chciałbym ją odwiedzić, jak również bratanka w Gdańsku, bo działa on tam w Solidarności.

Łączę serdeczne pozdrowienia wraz z życzeniami dalszych tomików poetyckich.

W. Iwaniuk

Moja emigracja

To pepowina licznych moich narodzin
W asyście doktorów filozofii od ideologii
Pielęgniarek od trzymania za rękę
Historii straszącej dwoma światami

* **Wacław Iwaniuk** (ur. 17 grudnia 1912 w Starym Chojnie k. Chelma, zm. 5 stycznia 2001 w Toronto) – polski poeta, emigrant, tłumacz, krytyk literacki, eseista.

Moja emigracja czule miejsce –kwitnące
Drzewa czereśniowe – zamknięte na klucz
Zawieszony na szyi baranka – nie mylić
Ze złotym runem i wyprawą Argonautów

Wierzyłem w zapracowane dolary w pocie
W czoła mające moc magiczną – cegły
W mur – drzewa w sadzie – samochód
W garażu – mocną rękę stawiającą tamę rzece łez

Moja emigracja zwiędłe listy do rodziny
W szufladzie, kurz na strzelbie myśliwskiej
Wypłowywały – kraj-obraz – urna na prochy w niej
Tymczasowo trzymam proch strzelniczy

Bądź ostrożny – mówiła mama – w Arkadii
Każda chwila pachnie potem pracy
Jestem ostrożny mam – mówię w raj
Kanadyjskim – najdoskonalszej konserwie

Moja emigracja – stoję przed oknem i mam
Wrażenie, że już tutaj stałem – kątem oka
Szukam drzwi jestem Achillesem, boli mnie
Pięta od spinania konia wyobraźni

Poeta Wacław Iwaniuk melduje

W godzinach popołudniowych śpię
lato się kończy, życie się kończy
cierpienie się kończy
tęsknota rośnie rośnie rośnie
słysząc w niej tętent kopyt końskich
kaszel czołgów nawoływania derkaczy
żurawi, cietrzewi, wodniczka
czas przeszły miesza się z teraźniejszym
zaczyna się mówienie w próżni
konstruowanie historii własnego życia

Panie generale poeta Wacław Iwaniuk
melduje:

kamień węgielny z napisem POEZJA
na którym miałem wybudować Dom
Słowa – gdy teraz o tym myślę
to się uśmiecham – został zakopany

nie pamiętam gdzie
nie jestem pierwszy nigdy nie siedłem
na czele pochodu jedynie w swojej
twórczości chciałem zmanifestować
swoje przywiązanie do życia do miejsca
w którym się urodziłem do przyrody
do kolegów, przyjaciół których pochłonęła
wojna, cztery żywioły i oni sami stali się
ofiarami
przemijania, przemijania, przemijania
byłem, moje życie nie było łatwe
melduję panie generale
wymówiłem niebu opiekę nad sobą
aby roztrząsać najważniejsze sprawy tego
świata samemu, krzesałem iskry ze słów
aby nimi podpalić to wszystko
czego nie zniszczyła wojna

Wyniany – wróć

Powróć tu do tej ziemi gdzie wiatr
ślizga się po dachu katedry na Górze Chełmskiej
nie przyjdę do was z pustymi rękami
nam worek pełny prezentów
ordery z wojny, książki pisane
w lasach kanadyjskich, wiersze
szlifowane na torontowskim bruku
rozjaśnię nimi wasze serce,
ulice i miasta, lubelski krajobraz
przywiozę ze sobą drabinę metafor

ze szczeblami wykwintnej wyobraźni
po których jak po języku będzie
można wejść do nieba i zejść do piekła
wygnany powrócę do tych miejsc
gdzie mieszkańcy będą mogli spać
spokojnie – żywioł bólu mojej poezji
ich nie dotyczy, zasmuci, zmartwi –
powrócę do krainy moich słów
nie ulegnę zapomnieniu, literatura
nie powstaje w martwych sercach
dlatego wygnany powrócę

Adam Liżakowski

Jerzy Marciniak

Warkocze – Wiersz Bez Liter

*Monice Szulczewskiej z Włocławka,
Pięknej Postaci Polskiego Prawa*

zadzwoiła i cały czas milczała
wiedziałem że chce bym powiedział
iż jeszcze raz będziemy młodzi
później nic nie mówiła jakby czekała
aż nasza dawna przyjaźń się jakoś odrodzi

jej milczenie było
komunikatywne że prawie już zacząłem
wypowiadać słowa gdy ona się rozłączyła
bo w słuchawce nadal było głucho
do końca chyba nie odeszła a może nawet
gdzieś blisko była

to tak wyglądało
jakby wdzięczący się został niewdzięcznym
i zamilkł w chwili składania życzeń
lub jakby dusza opuściła ciało

napisałem do niej w myślach
wiersz w którym jakieś znaki
i przecinki chyba były
a może zaczynały się i słowa
z liter co w potoku myśli się nieraz plawiły

pod Każdą budką Z piwem jest Pełno poetów
wiatr pluje Im prozą życia W twarz

dzisiejsza poezja
jest nieraz pusta jak głowa pełna trocin
nie ma tam

słów i brakuje myśli
poeta jest tylko własnym zachwalaczem
przestał być twórcą
stając się poszukiwań poszukiwaczem

w każdym przytulku Dla bezdomnych Jest wielu
poetów Którzy zostawili prozę życia Za sobą

mój wiersz dla
niej był niczym welon utkany przez
pająka dla starej panny
lub jak
z czarnego papieru wykrojona koronka
dla współczesnej pary
w której ona jest bez piczki
a zakochany chłop bez członka

co Drugi zwolniony kiedyś z PGR-u to wybitny
poeta bo życie Pisze nim poematy na Pustych polach

zadzwoń do niej i milczałem ona nic nie
mówiła może łowiła moje słowa a może
nie
to milczenie było takie śpiewnie urocze

że chociaż odeszła to nadal jakby stała obok
i tak jak wtedy
włosy miała zaplecione w warkocze

Jerzy Marciniak

Barbara Rosiek

* * *

W samotności
zmagam się
z nieoczekiwanym

* * *

Nagle tyłu odchodzi
mówisz – wiek poborowy
a mnie się zdaje że żyję
jakby niewidzialna
przecież mówią że mnie nie ma
przekroczyłam granice
twórczego szaleństwa
a tu anioł szepcze
no chodź już
nie mogę dłużej czekać

Do Przyjaciół

schowałam się
ból fizyczny
zabiera myśli
uczucia wątpliwości
proszę
trzeba poczekać
aż wichry losu
przetańczą
nad rozlewiskiem krwi
klaniam się czasowi
pozaziemskiej przestrzeni
zabrakło już sił na rozmowę
modlitwa do...
zabija nadzieję

Krzysztof Rudziński

Lubię te świty

Lubię te świty letnie gdy odległe głosy
pierwszych ech życia dochodzą pomalu.
W ogrodzie jeszcze ciemno. Schylek krótkiej nocy
przeciąga się pod lipą. Kosy się ozwały.

Z oddali głos pociągu przez chwilę się toczył,
zabierając tęsknotę do dalekich krajów.
Jakiś smutek zostawił. Zwilgotniały oczy,
choć wiem już, że na pewno nie jechał do raj.

O mało bym zapomniał... Przecież wiecznie młody
w lasach palmowych Elche mam swoje ogrody
i dom na nieskończonych Pana taorminach.

Już pierwsze słowa psalmu z kurnika tam płyną
i wiem, że pora wracać. Przecież mnie czekają,
gdzie znam już wszystkich świętych i oni mnie znają.

Ravello

Zawieszone na nitce niewidzialnej kusi,
By wspiąć się do stóp jego, rozerwać pieczęcie.
Otworzyć starą księgę, iluminarz duszy,
Wypuścić z jego wnętrza cudów jeszcze więcej.

Jak ze szlachetnych skrzypiec starodawnej lutni,
Znalezionej po latach na pradziadów strychu,
Pierwsze dźwięki dobyte, nastrojają smutnie
I każą wraz uciekać od świata przepychu.

Tak oto do mnie wraca wspomnieniem, by teraz
Znane dziełami mistrzów, operą Wagnera,
Krętymi schodki badać karkołomne gaje,

Zmuszające z zachwyty wciąż szeptać *che bello*.
Więc, gdy mi pośród ludzi szczęścia nie dostaje,
Złotym kluczykiem wiersza otwieram Ravello.

Pejzaż wewnętrzny

Dobynam obraz – zza zakrętu drogi,
sto lat po wejściu słowa w wiersza przestrzeń:
– Pokój, krzesło i biurko. Myśli lot wysoki –
od dawna zobojętnieć zdążyły w powietrzu.

Nie ma już mego świata. Za przyjaznym progiem
nie czeka nic Ariadny. Cumy oddać komu
nie ma. – Tnie widok obcy. Uderza miarowo
krusząc ściany w nieznany pejzaż po rodzinnym domu.

Wyzbyta ze mnie pora śle
fatamorgany, zwidów blaski.
Rozwiewa mnie, rozprasza w tle
mych wierszy, które były – łaską.

Krzysztof Rudziński

Krzysztof Saturnin Schreyer

Dług

Mówisz, że łapię nastroje?
Nie łapię ich, ja się ich boję,
i na krawędzi wciąż stając,
czego? – chyba rozpaczy,
niszczę je, w słowa zmieniając.
Ale dla kogo coś znaczy
mój lęk, mój śmiech lub cierpienie?
Na wiatr to i zatracenie...
 – Pan jest zwyczajnym ego –
 centrykiem panie kolego –
 A ja mu, głowę podnosząc,
 o pobłażanie wciąż prosząc,
 mówię, że wiele też robię,
wcale nie myśląc o sobie.
Wiem, ludziom zawdzięczam wszystko,
wygodne mam środowisko
w cieplarni cywilizacji,
w łagodnych grach demokracji.
 Lecz dług swój, jak myślę, spłacam,
 dróg trudnych jeszcze nie skracam
 i nadal lecze, pomagam,
 z podstępnyim głupstwem się zmagam.
Więc daj mi ten czas o Panie
na rzewne popłakiwanie.
Cóż może szkodzić w tej dobie,
że ktoś wciąż gędzi o sobie?

31 VII 2016

Magnolia

Jakże nas przyciągały różowe kielichy
na magnolii kwitnących, rozłożystych drzewach
w krańcu parku, w dzień jasny i niemalże cichy
choć przy ptaków ukrytych wiolinowych śpiewach.

Nie byłaś tak tańcząca, jak kiedyś, w młodości
i nie stać cię już było na wyskok skrzydlaty.
Pachnący dach nad głową był tej wysokości,
że nie mogłaś go sięgnąć, aby zerwać kwiaty.

Gdy w młodości czytałem tom Colas Breugnona
nie wiedziałem, że w pamięć obraz ten zapadnie:
Wiśnia owocem słodkim gęsto oblepiona,
pod nią chłopiec dziewczynnie pocałunek kradnie

i przyciąga gałązkę, do jej ust, do twarzy,
a ona zjada wiśnie z uśmiechem nęcącym.
Jemu się wspólna przyszłość z zalotnicą marzy,
ale figla im splatał los zaskakujący.

Nam splatać nie potrafił, choć były trudności.
Tu nie wkradł się przez okno żaden uczuć złodziej.
Magnolia nie jest znakiem straconej miłości,
jak tamte słodkie wiśnie w domowym ogrodzie.

Nie wzdycham, że „być mogło”, bo po prostu było.
I wspólne były trudy, jasnych tęcz odkrycia.
Miała w ręce magnolię, bo ja ze swą siłą,
przychylałem jej kwiaty aż do końca życia.

26 IV 2016

Zespół wypalenia

A kiedy mnóstwo rzeczy mamy do zrobienia
może nas łatwo dopaść zespół wypalenia.
Niedawno o lenistwie albo o gnuśności
mówiono opisując takie przypadłości.
Teraz rzecz tę wyjaśni psycholog życzliwy –
to zespół chorobowy, czasem zaraźliwy,
główną jego przyczyną jest nadmierna praca,
zaostrza go też bardzo anemiczna płaca.

Kto lubi swoją pracę, nigdy nie pracuje,
bo się bawi. Zmęczenie zaś ogromne czuje,
kiedy do tej zabawy bez przerwy go zmusza
bezwzględny pracodawca albo chora dusza,
która blaski mamony ponad wszystko ceni.

Tę niechaj, radzę, duch lenistwa zmieni
i pokaże rozkoszne życie sybaryty –
świat pogodny, przed oczami profanów zakryty.
I nie trzeba tu wielkiej sjeisty pod palmami
tylko wiedzy – jak się cieszyć dobrymi chwilami.
A tych chwil jest dziesiątki, trzeba je dostrzegać,
w słynnym wyścigu szczurów nie gnać lecz podbiegać.
Jeśli trudno się zmienić, nie jęcz, że nic z tego,
weź tom wierszy i przykład bierz z Kochanowskiego.

25 I 2015

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

Starożytne ruiny

Nasz wiek dwudziesty
ma swoje starożytne ruiny
idziesz przez las w pobliżu Gierłoży
jak przez Dolinę Królów

każdy czas ma swoich królów
tym razem byli to
psychopatyczny malarz
karzeł reakcji na propagandę
morderca oznakowany trupią czaszką

mech przykrywa
drzewa zasłaniają
a jednak widać betonowy prymitywizm
zbrojoną metalem pustkę
małość ukrytą za grubymi ścianami

aż strach pomyśleć co po nas
zostanie niedokończone i rozrzucone
strzępy ordynarnych biurowców
osiedla zamknięte na zardzewiałą kłódkę

każdy czas ma swoje ruiny
dziwię się że patrząc na starsze i te nowsze
nikt nie wpada w histerię
nikt nie biegnie przed siebie pomyłony

z okrzykiem nieee rozciągniętym na ustach
przypominających harfę Hieronima Boscha

Europa

Już prawie porwana
na strzepy
a politycy
robią byka
za bykiem

Jerzy Śleszyński

Jacek Durski

Myśli

(*fragmenty*)

7. Sztuka

- 7.1 Książka klatką słów.
- 7.2 Posąg nabiega krwią.
- 7.3 Kamień przeźroczysty od dotykania.
- 7.4 Dreszcz konturu, dźwięk kresek.
- 7.5 Stłucz księgę z gliny albo wypal.
- 7.6 Obraz wystawiony z jaskini.
- 7.7 Książek tyle do spalenia.
- 7.8 Plują literą poeciny, milczą poeci wierszem.
- 7.9 Płynie rzeka w morzu.
- 7.10 Ze skryptu dziecka dzieło starca.
- 7.11 Piękno gniew też wywołuje.

8. Nauka

- 8.1 Między prawami fizyki – cud.
- 8.2 Spirale interakcji.
- 8.3 Wieża z oczu patrzy w kosmos.
- 8.4 Wróciła magia z fizyką kwantową.
- 8.5 Natura próżni. Nic plus.
- 8.6 Wykształcone na uniwersytetach zwierzę.

9. Miłość

- 9.1 Wspólne niebo w oczach.
- 9.2 Pamięć, zatrzymany ogień.
- 9.3 List z drutem do podcięcia gardła.
- 9.4 Marsz serc.

- 9.5 Ciało wyspą.
- 9.6 Niedokonana miłość, w tym kolorze najtrudniej.

13. Wolność

- 13.1 Nasza historia – płacz pada.
- 13.2 Ręce wyłamane w noc.
- 13.3 Nienawiść na łańcuchu.
- 13.4 Pęd na mur.
- 13.5 Ptak na ziemi to ćwierć ptaka.
- 13.6 Wolny w uwięzieniu.
- 13.7 Honor – pięść skały.

Jacek Durski

Alicja Patey-Grabowska

Satyry

Pchła

Energiczna
Żywotna
Niebezpieczeństw unika
Skacze

Niewybredna
Dla żarcia
gotowa w sierść kundla
Wybiera ofiary słabe
które siebie drapia
Czai się w szczelinach
wypatrując moment
miejsca nie zagrzewa
Z łóżka na łóżko
Z fotela na fotel

Motyl

Dwie lilijki w ciup
subtelnie
pyłek z kwiatów
Już zapomniał
że
nie takich aromatów
kosztował
gdy był
prozaiczną
kosmatą
gąsienicą

Indyk

Ogon w wachlarz
mina pawia
tłuste wole
bruch wypięty

wściekły gulgot
już od rana
świszcze batem
po zwierzętach
Oj niedobrze gdy indyki
hodowane są w urzędach

Krowa nieświęta

Mojej siostrze z Bombaju
pod kopyta kwiaty
stragany chylą głowę
niebem rozpostarte
Mojej siostry z Bombaju
nawet kwiatem nie można
Ja idę na szafot
nieświęta

Życiorys

Młody – aby Kimś
Gdy Kimś – aby Coś
Gdy Coś –
Starość dojrzewa

Szczur

Hardy
zawzięty
walki nie unika
Tyle cech
a nie lew
tylko szczur
ze śmietnika

Alicja Patey-Grabowska

Janusz Andrzejczak

Ciii... Szaaa...

Właśnie słońce wtaczało się w leśnorunne dno lasu. Przez chwilę pojawiło się na końcu drogi, której od dawna nikt już poza zwierzętami nie odwiedzał i w rozświeceniach ukazało całą jej puszystość, miękkość i giętkość. Większe i mniejsze pomarańczowe smugi przedzierały się przez każde okienko w gęstwinie dzikiego lasu. Padające na dukt wiązki promieni, układały na nim świetliste szczebelki tej drabinki, która wiedzie w sam głąb Tajemni. Świerkowe ręce, z długimi, zwieszonymi rękawami igliwnych gałęzi, zapraszały w bieg leśnego, ciemniejącego z każdą minutą duktu. Każda kropelka niedawnego deszczu lśniła migotliwie w nieogarnionym ogromie leśnych galaktyk. Sosnowe pnie stały jak pelgające pomarańczowymi płomykami gromnice, by z wolna gasnąć z purpury w karmin, w odcieniu brązu i – na końcu – w miękką ciemność nocy.

Ale zanim, minęli się. Minęli się tak, jak mija się w lesie krzew, grzyb, mchem zielony pień, czy po prostu drzewo. Oboje lekko się uchyliłi, by nie zderzyć się ramionami. Pojawienie się kogokolwiek w takim miejscu, o takiej porze, było dla nich obojga takim zaskoczeniem, że o mało co, a wpadliby na siebie. Nie zdążył ani słowem, ani nijakim nawet gestem jej pozdrowić, ale wystarczyła może sekunda by zauważył, że mijana postać była starszą, szczupłą kobietą o szlachetnych rysach.

Gdy po kilkunastu krokach odwrócił się, jej już nie było.

Dziwnie – pomyślał. Powinna być jeszcze na drodze! Gdzie się podziała? Czyżby weszła w las?

Po parnym dniu, jak wosk na świecach, spływały z iglastych drzew krople żywicy.

Czas gdzieś przycupnąć, przemocować... – pomyślał.

Skreślił w las. Jego stopy, po kostki i wyżej, zapadały się w mech. Rozglądał się za miejscem do siedzenia, takim z oparciem w postaci grubego drzewa bez sęków. Szybko je znalazł, pousuwał spod niego szyszki i kilka gałązek, rozłożył przeciwdeszczową kurtkę i usiadł, obserwując zapadanie się lasu w noc.

Tymczasem gdy postaci świerków zagarniały w siebie resztę dnia, sosny przygasały i tylko jedno nie wiadomo skąd światelko zatliło się na jednej z nich najpierw czerwienią, później zbrązowiło i w końcu – szerniałe, wtopiło się w przepastną dziuplę nocy.

Coś szurnęło. Z wysoka, przejmująco krzyknął drapieżny ptak, a jego głos długo jeszcze odbijał się od drzewa do drzewa i tyle było w tym echa, ile było drzew w całym lesie.

Oparł głowę o pień, zamknął oczy...

Coś znów zaszeleściło.

Rozejrzał się, ale nikogo, niczego, prócz nocy i lasu, nocy w lesie i lasu w nocy.

Nie było w nim strachu, było zdziwienie.

Przed kim uciekasz? – zapytał głos z drugiej strony pnia.

Znów się rozejrzał i znów nikogo nie dostrzegł.

To... pani? Kim pani jest?

Ja pierwsza zadałam pytanie...

Przed nikim nie uciekam, po prostu mnie niesie, coś mnie przyzwya, nie daje o sobie zapomnieć. To coś jest tutaj, dlatego tu jestem. Przestało, więc jestem u celu. I jest mi tu dobrze, najlepiej.

Kim pani jest?

Dowiesz się we właściwym czasie. Od ludzi uciekasz? Nie lubisz ludzi?

To nie tak... Codziennie spotykam się z setkami ludzi, większość z nich lubię, zdaje mi się też, że jestem przez nich lubiany. Przecież piszę dla ludzi. Choć to prawda: nie tylko dla nich. Ale jestem już ludźmi zmęczony. Wie pani... Zmęczony jestem już nawet nie tyle ich widokiem, co mówieniem. Tak bardzo tęsknię za milczeniem...

Wiem, jestem niekonsekwentny, przecież też teraz rozmawiam, z panią...

To się tak tylko tobie wydaje – przerwała.

Zdziwił się. Przecież wyraźnie słyszał jej głos.

Co ona plecie? – pomyślał.

O czym, dla kogo piszesz?

Takie tam... Wiersze, opowiadania... O swoim miejscu jak to tutaj, o bezradności wobec jego piękna, jego tajemnicy; o tym, jak bardzo jestem stąd, jak mało stamtąd, o ciągłym odnajdywaniu w tym Boga, w każdym najmniejszym szczególe tego tutaj. O tym piszę. Dla kogo? Nie wiem...

I zależy mi na tym, by ktoś to czytał, i nie. Mam świadomość swojej inności, odrębności, swojego – być może nawet – dzinactwa. Mam prawo tak myśleć. Gdyby to kim i jaki jestem było zwyczajne, powszechne, spotykałbym na swoich drogach ludzi, a tymczasem – nikogo; no, prawie... Byniam na kompletnych bezludziach, bezdrożach, o każdej porze roku. Nie mówię o swojej wyjątkowości; jestem nie lepszy, nie gorszy; inny.

Widziałam, że przytulasz się do drzew, wzruszasz nad każdą roślinką, przemawiasz do kamieni...

Szukasz tu wzruszeń, przyjaciół?

Nie wiem. Może szukam takiego siebie, jakim jestem? Takiego siebie, który nie musi nikogo i niczego przed nikim udawać, który siebie samego nawet nie zna, a chciałby wiedzieć kim jest? Nie wiem...

Przytulam się do drzew, wzruszam nad każdą roślinką, przemawiam do kamieni... Skąd pani o tym wie? Ale to prawda. Nie wierzę w to, że drzewa przekazują jakąś energię, np. dąb – moc, brzoza – piękno, wrażliwość... Zbyt jestem stąd, z tutaj, by nie wiedzieć, że to są bzdury. Przytulam się do drzew – z miłości do nich. Miłość przecież nie jest relacją „coś za coś”. Jest bezinteresowna. Niczego nie oczekuje od brzozy, dębu, grabu, buka... Drzewa okazują mi wzajemność przymiotami swej istoty: dają mi cień, oparcie dla zmęczonych pleców, szum, płasi rajskpiew... Ale do drzew się nie modłę, bo drzewo nie jest i nigdy nie będzie Bogiem, „bogiem” od wielkiej czy małej litery, obojętnie. Z kamieniami rozmawiam, bo one też na swój sposób żyją: sapia, przeciągają się, ziewają, pocą się, naprężają i kurczą, leczą odleżyny... Wszystko co istnieje ma swoje życie – pojedyncze, osobne. Ma też sens swego istnienia, swoje miejsce we Wszechświecie. By to pojąć, wystarczy położyć się w runie, spojrzeć na świat z perspektywy najmniejszej drobin. Gdy uświadomimy sobie, że jesteśmy mniej ważni od niej, może uda się nam wlecieć ponad las motylem?

Wciąż pani zadaje mi pytania, a ja nic nie wiem o pani.

Nie mów do mnie „pani”. Ciągnie cię do lasu. Jak wilka...

A żebyś wiedziała. Bliżej mi do wilka niż człowieka. Bez map, kompasu, drogowskazów, wyczuwam kierunki, rzadko kiedy myślę się co do pogody, umiem czytać ze śladów, znam grzyby, rośliny, wiem, co i kiedy przeszło. Ci, którzy ze mną bywali, nie mogli się temu nadziwić. Niektórych to nawet przerażało. Że niby jak to jest możliwe... Tymczasem nie ma w tym nic dziwnego. To tylko topografia, znajomość własnego domu, mieszkania. W miastach kompletnie się gubie.

A nie boisz się?

Niby czego mam się tu bać? Nie ma tu lwów, tygrysów, jadowitych pajaków, śmiertelnie groźnych żmij...

Są wilki.

Chyba o ludziach mówisz. Prawdziwe wilki mało kto widział. Nawet ich badacze muszą długo czekać, by je zobaczyć. Wilki stronią od ludzi. Mają od kogo. Ech... Rozgadałem się...

Nie szkodzi, mów.

Po co właściwie o tym mówić? Milczeć trzeba. Nie jestem tu sam. Ktoś mi kiedyś powiedział, że gdy moja jedna para oczu patrzy i mało widzi, niewyobrażalna ilość oczu patrzy na mnie. I wyczekuje, kim jestem, czy intruzem. Chciałbym, by moje oczy dołączyły kiedyś do ich oczu...

Nie kochasz ludzi?

Jestem dla ludzi życzliwy. Nie ma nikogo, kogo bym nienawidził, ale jednak trudno mi kochać kogoś, kto bałasuje w lesie, kto quadami rozjeżdża leśną ciszę i dukty wiodące do tajemnicy, kto jedzie rowerem przez las, mając do kierownicy przyczepione coś, co emituje jazgot i bełkot, kto potrafi sobie zadać trud dotarcia do Czarnowi w środku lasu i zostawić w niej opakowanie po chipsach i kilka puszek, butelek po piwie... Przecież to nie nasz dom, jesteśmy gośćmi, a gość musi umieć się zachować, będąc u kogoś w gościnie. Czy sarna, borsuk, żuraw, żuk, wprowadzają się do naszego domu, urządzą sobie w nim gody, zatawiają swoje potrzeby, urządzą barce? Tu nie tylko chodzi o to, by umieć się w lesie zachować: nie krzyżeć, nie śmiecić, nie rozpalać ogniska, nie niszczyć, ale o to, by kochać ciszę. Ze wszystkimi jej dźwiękami. Dlatego też nie mogę nadziwić się tym, którzy na przykład w maju, w najpiękniejszym czasie ptasich rajspiewów zakładają sobie na uszy słuchawki... Niewielu jest takich, którzy rozumieją, czują to, o czym tu mówię.

A gdy się kogoś takiego spotka na bezdrożach, bezludziach, to ciarki wzruszenia przechodzą.

Spotkanie pewnego starszego pana na Bagnach Biebrzańskich... Pojawił się nie wiadomo skąd i tylko przyłożył palec do ust, szepnąwszy: „Ciii... Proszę dalej nie iść. Tam są żurawie...”.

Napotkanie pewnego młodego człowieka w drodze na Czerwone Bagno, też nad Biebrzą, idącego przed siebie prawie w noc, z każdym krokiem oddalającego się od ludzi.

Albo spojrzenie z wydm na trzech idących wzdłuż morskiego brzegu mężczyzn, zapewne ojca z synami... Słońce malowniczo zachodziło... Szli, szli, szli... Nic do siebie nie mówili. Zapytałem ich w sobie dokąd, po co, dokąd tak idą. Usłyszałem skądś: „Idziemy dla drogi, dla niej samej”. I to są spotkania z tymi, których się kocha. Spotkanie z tobą też.

Bo przywołałam ciebie. I trochę poznałam. Wiesz... Jeszcze nie jesteś całkowicie stąd, jeszcze nie ma w tobie pełni ciszy. Gdy ją w sobie odnajdziesz, staniesz się nią. Jak ja...

Kim jesteś?

Cisza.

Kim jesteś? – powoli pytanie.

I wówczas usłyszał:

Jeeesteem ciiiiszaaa...

Ciii... Szaaa...

A ten głos, ten głos, ten głos, szedł w głąb lasu, szedł i szedł, a idąc, zanikał, zanikał, zanikał...

Aż przepadł.

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Beśka

Amber-Gold

(fragmenty)

Wieczorem pogoda się popsowała. Wszędzie powtarzano, że z kolei starzy rybacy mówili, iż nie rozejdzie się po kościach i że to początek dłuższej historii. W związku z tym Stach chciał zapytać, czy Ursula nie towarzyszyła by mu w drodze powrotnej do Królewca. Nic przecie nie traciła albo mało. Ale jakoś tego nie zrobił. Około dziewiątej odprowadził ją do jej pensjonatu „Lena”, gdzie czekał ją najpewniej kolejny nocny koncert myszy. Tak przynajmniej twierdziła, choć budynek robił dobre wrażenie. Może nawet lepsze niż jego „Erica”.

– Jak los będzie chciał, znów na siebie wpadniemy – powiedziała, po czym wyciągnęła rękę do pożegnania.

– Do trzech razy sztuka, jak to mówią – odrzekł Berg, strzepując wodę z parasola, choć za chwilę znów miał być mokry.

– Bądź zdrow, nieznajomy.

Pocałowali się, całkiem zresztą niewinnie, jak rodzeństwo, po czym Stach ruszył w drogę powrotną. Chciał się wyspać, choć panna Dietrich, cóż, trzeba to powiedzieć otwarcie, kuśla.

Następnego dnia, pięć po ósmej, odjechał pociągiem w kierunku południowym. Przez całą drogę przeglądał fotografie, które miały posłużyć jako dowód w sprawie. Szybko jednak złapał się na tym, że bardziej skupia się na osobach na pierwszym planie, nie zaś złapanych w tle, można powiedzieć – złapanych w sieć – uczestnikach tajemnej schadzki.

Dotarłszy do Królewca, złapał fiakra i kazał się wieźć od razu do swej zleceniodawczyni. Radczyni Teresa Holtz mieszkała w dzielnicy Sackheim, na wschód od zamku, niedaleko kościoła Jana Chrzciciela. Adres miał, choć kobiety nie widział wcześniej, bowiem sprawę, jakże przecież delikatną, załatwiono przez pośrednika. Był nim zaufany lokaj Holtzów, czy może raczej pani Holtz. Teraz miał Stach nadzieję na spotkanie twarzą w twarz.

– Pani prosi do siebie. – Stary lokaj, ten sam, który kilka dni wcześniej w trafice przy Victoriastrasse wyluszczał mu bolesną sprawę swej chlebobawczyni, odebrał od niego kapelusz i laskę.

– Dziękuję – mruknął przybysz.

Mieszkanie było ogromne, pięknie i bogato urządzone. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające najczęściej sceny polowań, a także myśliwskie trofea. Widać pan domu lubił polowania, jak się okazało, nie tylko na jelenie czy kuropatwy. Zza jednym z mijanych drzwi czujnych uszu detektywa doszły dziecięce głosiki.

Oj, będzie się miał pan radca z pyszna – pomyślał, po czym jeszcze raz sprawdził, czy koperta z kompromitującymi fotografiami, które miały położyć kres małżeństwu, znajduje się na swoim miejscu, czyli w kieszeni twiny. Była.

Zatrzymali się przed dębowymi drzwiami. Lokaj zapukał, nacisnął klamkę, po czym zaanonsował przybycie gościa.

– Dzień dobry – rzucił Berg w stronę siedzącej tyłem do niego, a przodem do okna pani.

Kobieta się odwróciła. Zrobiła to szybko, jednocześnie wstając z krzeselka.

– Dobrze, że pan jest. – Zaszeleściła obszerną, długą suknią.

Przybysz nie zapanował nad otwarciem ust. Radca Holtz miał około pięćdziesięciu lat, spodziewał się więc Berg podstarzałej matrony. Tymczasem stała przed nimi bardzo piękna i zadbana kobieta, która mogła być jego rówieśnicą. Uwagę zwracały jej bardzo jasne, zaczesane gładko włosy i niebieskie oczy. Ile lat mogła być młodsza od radcy? Dwadzieścia? Ćwierć wieku? Nie miała pewnie jeszcze osiemnastu lat i przy okazji nic do gadania, gdy ją za niego wydawali. Ofiara skojarzonego małżeństwa. Transakcja. Stach nie potrafił nazwać tego inaczej. Najbardziej dziwiło jednak to, że Holtz, mając w domu tak piękną i młodą żonę, szukał przygód.

– Proszę, niech pan siada. – Wskazała mu jeden z dwóch foteli, między którymi stał okrągły stoliczek; na blacie była szachownica, które pola wykonano z ciemnego i jasnego bursztynu. Pierwszy raz widział coś tak oryginalnego i ładnego.

Nim zajął miejsce, sięgnął po *corpus delicti*. Położył je na szachownicy. To były jego figury. Królowa, która wszystko potrafi, zwinne konie i nie gorsze od nich wieże i laufry. Bo na pewno nie pionki. Teresa Holtz zaś bez słowa wzięła zdjęcia do rąk i zaczęła przeglądać. Z uwagą przypatrywał się jej twarzy, wypatrując grymasu cierpienia, drżenia warg, a przede wszystkim łez. Nie, coś takiego z pewnością nie mogło nie podzielać na kobietę! Jednak znów się zdziwił.

– Bardzo ciekawy znalazł pan sposób, by przylapać mojego męża... Jeszcze męża – poprawiła się; wszystko to mówiła lekkim tonem, rzucając kolejne fotografie na blat stolika. – Czy to pańska żona?

– Tylko znajoma.

– Nie powinnam pytać, przepraszam... – zmiętygowała się. – Tak, teraz już jestem pewna. Moi prawnicy zajmą się sprawą. Czuję, że do końca roku będzie po wszystkim.

Nie był od tego, by oceniać jej działania. Nie znalazł się też na sprawach rozwodowych, nigdy go bowiem nie interesowało, co dalej dzieje się z małżeństwami klientów. Tym bardziej nie miał pojęcia, jak to wygląda w Prusach, państwie porządku i prawa.

Mieszkanie było piękne, było co dzielić. A dzieci? Słyszał ich głos, ale nie miał pewności, że to akurat potomstwo radcostwa Holtzów, a nie na przykład kogoś bawiącego tu z wizytą. Odpowiedź pojawiła się po chwili: gwałtownie otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła parka lat około pięciu. W jednej chwili kobieta zabrała zdjęcia ze stolika i podała Bergowi, ten zaś na powrót umieścił je w kieszeni. Wszystko trwało sekundy.

Dzieci były bardzo do siebie podobne, oboje miały bardzo jasne włosy jak ich mama. Obsiadły ją z resztą z obu stron, nie zważając na obecność nieznanego mężczyzny.

– Paul i Greta – przedstawiła latorośle pani Holtz, wykorzystując moment, gdy brat ciągnął siostrę za włosy. – Oczywiście, zostaną przy mnie.

W tej samej chwili do pokoju wpadła bona. Przerazenie, które malowało się w jej oczach, świadczyło o tym, że dzieci najprawdopodobniej wymknęły się jej spod kontroli.

– Greta, Paul. Nie przeszkadzajcie, mama ma gości. Przepraszam panią – zwróciła się do radczyni, Stach zaś wyczuł w głosie bony wyraźny polski akcent.

– Nic się nie stało – odrzekła łaskawie pani Holtz.

Gdy dzieci zniknęły za drzwiami, przyszła rozwódka wyciągnęła rękę po swoją własność. Ale Berg nie oddawał jej fotografii. W lot pojęła, o co mu chodzi. Wstała, podeszła do etażerki i wyjęła coś z szuflady. Zbliżyła się ponownie do stolika, ale już nie siadała. O bursztynową szachownicę pacnęła koperta. To były figury Teresy Holtz. Dopiero teraz gra mogła się rozpocząć naprawdę, choć tak naprawdę miała się zakończyć.

– Tyle, na ile się umawialiśmy – powiedziała. – Proszę przeliczyć.

Stach, nie zajrzawszy do koperty, szybko schował ją w wewnętrznej kieszeni, by następnie ponownie położyć prace wykonane przez zabawnego fotografa z kurortu Cranz niezawodnym Eastmanem. W ten sposób nastąpiła swego rodzaju roszada. Król zapewniał sobie nietykalność, był bezpieczny, a tak naprawdę królowa. Królowa Teresa.

– Dziękuję – rzekł Stach. – A teraz będzie pani uprzejma podać mi... nożyczki.

– Nie rozumiem.

– Nożyczki. Mogą być do paznokci. Musi pani takie mieć. – Spojrzał z przymilnym uśmiechem na jej zadbane dłonie.

Kobieta wykonała identyczną trasę co chwilę wcześniej. Tylko szufladę otworzyła inną. Berg wziął narzędzie do rąk i jał... wycinać z fotografii swoją twarz i twarz Ursuli. Po chwili głowy dwojga kochanków opadły na stół jak w czas francuskiego szaleństwa sprzed wieku, choć bez krwi. Podobnie Stanisław Berg potraktował pozostałe zdjęcia. Nie chciał kłopotów, choć o tym, co może spowodować jego i Ursuli obecność na kompromitujących radcę Holtz fotografiach, pomyślał dopiero przed chwilą.

Odłożył nożyczki i energicznie podniósł się z fotela.

– Jeśli jeszcze miałaby pani kiedyś dla mnie zadanie, proszę się nie krępować – powiedział.

*

Z Sackheim szedł spacerkiem. Świeciło słońce, było dość ciepło i wiał przyjemny wietrzyk. W Łodzi niósłby smród farb i dym z kominów, tutaj miał zapach ryb i wodorostów, mieszący się ze smrodem z okrętowych żez. Przepowiednie dotyczące tego, co w pogodzie miało się wydarzyć nad morzem, niekoniecznie musiały się sprawdzić w mieście. Poza tym kieszeń przyjemnie wypychał Stachowi plik banknotów. Nawet walizka, wciąż przecie miał przy sobie wszystkie rzeczy, które towarzyszyły mu nad morzem, niezbyt mu ciążyła.

Może coś z niej wyjęto w mieszkaniu radczyni? Dzieciaki zrobiły mi psikusa... – przeszło mu przez myśl, ale nie zatrzymywał się i nie sprawdzał.

Na Lipniku jednak zaczęły go boleć nogi. Zatrzymał się na przystanku tramwajowym. Szczęśliwie nie musiał czekać długo, dzwoniący pojazd, owa budząca wciąż respekt ludzi, „strasznobona” pojawił się po siedmiu minutach. Nie było, niestety, ani jednej wolnej ławeczki, ale i tak Stanisław Berg był wielce rad, że jedzie, a nie musi maszerować. Usiadł dopiero, gdy tramwaj po raz drugi przejechał po moście, więc nie na długo. Coraz bardziej odczuwał skutki wczesnej pobudki. Organizm domagał się choćby krótkiej drzemki, najlepiej poprzedzonej małym posiłkiem.

Pięć minut później zmierzał już w kierunku trafiki. Miał nadzieję, że energiczny marsz pomoże mu strząsnąć senność.

– Panie Berg! Panie Stachu, wybawco nasz najmiłszy! – Samuel Cohen najwyraźniej nie miał zamiar zmienić repertuaru.

– Też się cieszę, że pana widzę – przywitał się detektyw, stawiając walizkę na krześle.

W sklepie przy Victoriastrasse nie było nikogo prócz nich, jednak mimo to handlarz tytoniem ściszył głos do szeptu.

– Tutaj wciąż przychodzą i pytają o pana. Chcą pomocy. Ale, tak jak się umawialiśmy. – Położył palec na ustach.

– Dziękuję. Grunt to nie dać się zajeździć jak stara szkapa – rzekł Berg i uśmiechnął się, spodobało mu się bowiem wymyślone na poczekaniu porównanie.

Zaśmiali się obaj, ale Cohen pierwszy spoważniał. Spojrzał na przybysza spod ściągniętych powiek. Nie był to oczywiście wyraz gniewu, raczej troski.

– Co się stało? – zapytał Stach, oderwawszy spojrzenie od nowych cygar, które pięknie prezentowały się za szkłem witryny. – Jakieś kłopoty?

Żyd energicznie pokręcił głową, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił.

– W takim razie co się dzieje?

– Pamięta pan, jak dawaliśmy ogłoszenie do „Königer Zeitung”?

Stach wyprostował się gwałtownie.

– Oczywiście, że pamiętam.

– No to właśnie ktoś się odezwał.

– Kiedy? Kto?!

– Wczoraj, późnym południem. Przyszła tu jakaś kobieta...

Berg przeciągnął dłonią po twarzy. Już nie czuł senności.

– Jaka kobieta, jak wyglądała, co mówiła? – wyrzucił się z siebie jednym tchem, z trudem panował nad trzęsącymi się rękami; oto bowiem w gęstej mgle znów zamajaczył mu cień Nicolasa Grossa, przez którego znalazł się w Królewcu.

– Nie wiedziałem, co jej powiedzieć, bo przecie nie mówił pan, kiedy wróci. Poza tym nie wierzyłem, że ktokolwiek się zgłosi na nasze ogłoszenie...

– Do rzeczy, panie Cohen, bo zaraz wyjdę z siebie! – huknął Stanisław Berg.

– Zapisałem sobie jej adres i nazwisko. Gdzieś tu powinienem mieć tę kartkę. – Handlarz tytoniem rozpaczliwie postukiwał szufladami sklepowego kontuaru...

Berg westchnął, zmell w ustach przekleństwo czysto polskie, po czym szybkim krokiem ruszył na górę.

– Leni? Nie ma żadnej Leni, proszę pana.

– Nie ma? – udął zaskoczonego.

– Musiała nastąpić jakaś omyłka. – Młoda, niezbyt ładna, ubrana w szarą, prostą suknię kobieta, która otworzyła Stanisławowi Bergowi drzwi mieszkania, ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

Ten przeklęty Cohen musiał coś pokręcić, już ja się z nim policzę – pomyślał ze złością, zaciskając pięści, szczęściem trzymał je w tym momencie za plecami, wraz z kapeluszem i laską. Tak, pewnie, że wolalby, żeby na jego ogłoszenie odpowiedział sam Nicolas Gross. Ale i za to był wdzięczny, a może raczej byłby, gdyby nie adres. Czyżby rzeczywiście nastąpiła pomyłka? Ech, Cohen!

A potem zaczął w duchu usprawiedliwiać właściciela trafiki, że niemłody, roztargniony. Trzeci strumień myśli był chyba neutralny: za dobrze to wyglądało, za łatwo. Dostać tak po prostu adres i znaleźć tę, która mogła coś wiedzieć. Coś albo wszystko... Mimo to jakiś głos w głowie podpowiadał mu, że nie powinien teraz się uklonić, przeprosić za kłopot, podziękować za rozmowę (choć co to za rozmowa przez próg?), a następnie obrócić się na fleku i iść z Bogiem.

– Przepraszam, ale taki dostałem adres – rzekł ulegle, a jednocześnie z mocą.

– A od kogo, jeśli wolno wiedzieć. – Nieznajoma sprawiała wrażenie, jakby bawiła ją ta sytuacja; Stacha wprawne oko wychwyciło jednocześnie jeden istotny szczegół, mianowicie taki, że kobieta zerknęła też w bok, na coś lub na kogoś.

Nie odpowiedział. To miało paradoksalnie uspić czujność przeciwnika. Podobnie jak ostentacyjne wyjęcie zegarka i sprawdzenie godziny. Ramię w szarym rękawie trzymające drzwi poruszyło się.

Wtedy to zrobił: rzucił się gwałtownie do przodu, naparł zgietymi łokciami na drewnianą powierzchnię. Efektem tego ataku był kobiecy krzyk. A raczej dwa.

– Ciszej... – syknął, zamykając za sobą drzwi, by nie robić zamieszania; w tym czasie brzydula w szarościach zdążyła się przeżegnać i cofnąć kilka kroków w głąb mieszkania.

Ujrzał siedzącą na podłodze w kącie przedpokoju młodą dziewczynę. Ta była ładna. Miała podkurczone nogi i przerażone oczy.

– Nie wrócę do domu – powiedziała przez ściśnięte gardło, ale z godnością.

– Leni Kastner? – zapytał Berg.

– Już panu powiedziałam, że nie wrócę! – powtórzyła głośniejszym głosem. – Przysłał pana mój ojciec, prawda? Czy ten mój niby narzeczony?

Coraz ciekawiej – pomyślał detektyw, na głos zaś rzekł:

– Ani jeden, ani drugi. Przychodzę w sprawie ogłoszenia, które zamieściłem w gazecie, a pani na nie odpowiedziała. Nazywam się Berg, przyjechałem z Łodzi i szukam syna mojego pryncypała. Tuszę, że zna pani to nazwisko. Nicolas Gross.

Nie wiadomo, która część tej przemowy, ale najprawdopodobniej ostatnie dwa słowa, czyli imię i nazwisko zaginionego spowodowały, że Leni zrobiła coś, czego Berg nie spodziewał się w ogóle: rzuciła mu się z płaczem na szyję...

– Z Nico, bo tak na niego zawsze mówiłam i będę mówić, poznaliśmy się w lipcu, podczas wakacji na jeziorem. – Leni Kastner odstawiała na spodeczek filiżankę z herbatą, w której ledwo zamoczyła usta. – Od razu wiedziałam, że to ktoś, na kogo czekałam całe życie. Dobry, wrażliwy, a jednocześnie inteligentny. Studiuje w Berlinie, ma zostać inżynierem, a zawód to pewny i o przyszły byt można było się nie martwić...

Ciekawe, co na to stary Gross? – przeszło przez myśl Bergowi.

– Niestety – ciągnęła – szczęśliwe dni minęły bardzo szybko. Miałam wyjechać do domu, do Królewca, a potem wrócić. Umówiliśmy się w Deutsch Eylau.

– W hotelu? Nad jeziorem w centrum miasta?

Skinęła głową. Nie wypytywała, już się nie dziwiła, że i tego się dowiedział. Ten etap mieli za sobą. Przyjęła, że Berg wie o Nicolasiu wszystko. No, prawie wszystko. Dopowiedzenie tego „prawie” należało w tej chwili do niej. Ufała temu człowiekowi, tak jak można zaufać komuś, kto nie przyszedł, by wywlec ją z jej bezpiecznej kryjówki, którą kilka dni temu znalazła u Gretchen, przyjaciółki ze szkolnej ławy.

– Im jednak bardziej pociąg, którym jechałam, zbliżał się do Królewca, tym wyraźniej dochodziło do mnie, w jakiej sytuacji się znalazłam – westchnęła Leni Kastner. – Przecież dostałam przyrzeczoną przez rodziców zupełnie innemu człowiekowi. Człowiekowi, którego nie tylko nie kochałam, ale też w ogóle nie znałam. Wciąż go nie znam!

Berg przypomniał sobie poznaną kilka godzin wcześniej żonę radcy, Teresę Holtz.

– To nie jest miłość, proszę pana – jęknęła. – To jest... Boże! To jest...

– ...interes – dokończył za nią.

Przymknęła powieki. Po chwili pociągnęła nosem, obtarła go w chustkę, wzięła znów łyk z filiżanki i mówiła dalej. Tak oto wszystkie rozsypa-

dotąd fragmenty układanki trafiały na swoje miejsce. Do Deutsch Eylau Leni Kastner już nie wróciła. Nicolas czekał i czekał. Gdy już zaczynało do niego dochodzić, że z miłości nici i prawdopodobnie został wystawiony do wiatru, zaczął pić. Był zupełnym przeciwieństwem ojca, wrażliwcem. Wtedy okazję do szybkiego wzbogacenia się zwęszyli pracownicy hotelu i wysłali jednego z nich do Łodzi. Ale młody Gross jakoś zdołał się wziąć w garść: wsiadł w pociąg i ruszył do Królewca z zamiarem odnalezienia ukochanej.

– Spotkaliśmy się dwa tygodnie temu – powiedziała.

Berg poruszył niespokojnie głowę.

– Gdzie, jeśli wolno zapytać?

– W cukierni niedaleko zamku.

– Niedaleko zamku?

– Nie pamiętam nazwy. Bardzo porządna.

Kim zatem była kobieta, z którą Gross był widziany w kawiarni Hansa Helmuta Wanke przy Krönchenstrasse? Czyżby Leni nie była jedyną, którą miał zamiar odwiedzić w mieście nad rzeką Pregel. A jeśli tak, to czy Berg powinien jej teraz o tym powiedzieć?

Na szczęście zagadka została szybko rozwiązana.

– Wcześniej spotkał się z moją przyjaciółką, Gudrun. To z nią pojechałam nad jeziora i to jej adres w Królewcu Nico miał. Zabawne... Byłam pewna, że wrócę do niego i pojedziemy razem do Łodzi, a stamtąd być może jeszcze dalej, do Europy. Że odwiedzimy Gudrun w Berlinie, gdzie studiuje. Tymczasem stało się tak, jak się stało...

Musiała wyznać mu bolesną prawdę o tym, że jest zaręczona. I prosić o wybaczenie. Jak powiedziała, bardzo się wtedy zmienił. W jednej chwili. Był w stanie walczyć o jej miłość, iść od razu do jej rodziców, by prosić o to, aby zmienili zdanie. A jeśli trzeba, nawet... zabić konkurenta.

– Prawie nic nie widziałam przez lzy – powiedziała. – Niestety, nie widziałam też szans na to, żeby nam się to mogło udać. Pożegnaliśmy się, tym bardziej że na ulicy czekał już na mnie powóz ojca. Wtedy widziałam Nico po raz ostatni. Myślałam, że wrócił do Łodzi i zapomniał o mnie, może znalazł sobie inną. Nie potępiłabym go... Dobrze, kłamię. Pękłoby mi serce. Ale Nico nie pisał listów, nie odzywał się. Nie dawał znaku życia. Aż w dniu swoich oficjalnych zaręczyn z Tymoteuszem znalazłam w „Königer Zeitung” ogłoszenie. Poczułam się, jakby ktoś dał mi obuchem przez głowę. Kto? Co? Dlaczego?!

– A co z zaręczynami? – zapytał Stach.

Leni uśmiechnęła się szelmowsko. Był to pierwszy uśmiech, jaki pojawił się na jej twarzy, odkąd zobaczyli się po raz pierwszy.

– Jak to co? Nic. Uciekłam przez okno kuchenne. Szukają mnie do dziś... Na chwilę zapanowała cisza.

– A ten człowiek, przed którym pani uciekła? – Berg przestawił niewidoczną zwrotnicę, aby rozmowa, a jednocześnie wywiad znalazły się, przynajmniej na chwilę, na innym torze.

– Ten, za którego chcieli mnie wydać. Tymoteusz Frank?

– Tak. Pewnie jest dwa razy starszy od pani...

Skrzywiła się, co wziął za potwierdzenie smutnej prawdy. Mało jednak jeszcze znalazła siedzącą naprzeciwko osobę.

– Wcale nie – powiedziała. – Ma trzydzieści kilka lat. Jest w sam raz, jeśli mam być szczerą. I nawet nie jest brzydki, może nawet nie jest złym człowiekiem. Myślę, że czekałoby na mnie dostatnie życie u jego boku. Problem w tym, że widzieliśmy się i rozmawialiśmy może ze trzy razy. Co to jest? Nic.

Przerwała. Z głębi mieszkania dobiegły jakieś tajemnicze dźwięki. Odpowiadała za nie bez wątpienia „panna w szarościach”, jak Stach nazwał w duchu niezbyt urodziwą towarzyszkę Leni. Ale co robiła, trudno było dojść. Może tylko porządki, a może maszynę latającą, przy której pomocy jej przyjaciółka będzie mogła bezpiecznie opuścić nie tylko tę kamienicę, a także Królewiec.

– Wie pan – odezwała się po chwili Leni Kastner. – Może to się panu wydać dziwne, ale ten człowiek nawiedził mnie w nocy.

– Taki ochotny?

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

– We śnie? – bąknął na to detektyw, gdyż nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Sama nie wiem, czy to był sen. To się wydarzyło raz. Byłam w swoim łóżku, w domu. Obudziłam się w środku nocy, a może tylko śniło mi się, że się budzę. Sama już nie wiem. Ujrzałam na największej ścianie sypialni, tej naprzeciwko okna, jakąś postać. Nie zawsze chce mi się zasnąć stary. Nieraz już robiły mi psikusy blask ulicznych latarni albo światła przejeżdżających dorożek. Albo księżyc w pełni do spółki z chmurami. Ale teraz to było coś innego. Zupełnie jakby ktoś przykleił do ściany wielką fotografię, a w dodatku jakimś cudem postać, która została na niej uwieczniona, zaczęła się poruszać.

– Co?!

– Tak było. Wiem, że trudno w to uwierzyć. Tymoteusz, bo to był on, machał do mnie ręką. Nie potrafiłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku, taka byłam przerażona. Miałam wrażenie, jakby tysiąc igiełek nakłuwało moje

ciało. Szybko schowałam głowę pod koldrę. Gdy po jakimś czasie odważyłam się ponownie spod niej wyjrzeć, zjawą zniknęła...

Wariatka czy tylko nie radząca sobie z emocjami kobieta? Chora czy zakochana? – Berg usiłował w myślach postawić wstępną diagnozę, oczywiście tylko na swój użytek.

– Rzeczywiście, dziwna sprawa – skwitował na głos.

Bez wątpienia wiedział już o wiele więcej niż przed godziną, choć wciąż nie wszystko. Miałby wszak do czynienia z historią jak setki innych, historią nieszczęśliwej miłości dwojga młodych ludzi: Leni i Nicolasa, gdyby nie kilka szczegółów, nad którymi nie można było przejść do porządku dziennego.

Gross wyjechał z Deutsch Eylau do Królewca, zostawiając jednak bagaż, a w nim najpewniej większość rzeczy osobistych, w przechowalni hotelu „Centrall”. Kto ukradł jego walizkę i dlaczego? Czy było to ta sama osoba – czy osoby – które dokonały zabójstwa kelnera i barmana pracujących w tym samym hotelu? I po co ktoś miałby to robić? Czy Gross wciąż przebywa w Królewcu? A może podzielił los tamtych ludzi? – pytań wciąż było wiele, a siedząca przez Bergiem młoda kobieta najprawdopodobniej nie znalazła na nie odpowiedzi. Jej rola się skończyła.

Ledwo powiedział to sobie w duchu, Leni Kastner, przyszła pani Frankowa, a może Grossowa, kto to wie, przybrała zasadniczą mnę, która wsparła nie gorszą pozą: wyprostowała się, uniosła podbródek, po czym zapytała z mocą:

– Czy mogę liczyć na pańską pomoc, panie Berg?

– Nie wiem, droga pani. – Stach zaczął oglądać sobie z uwagą paznokcie. – Jestem zajęty.

Uświadomił sobie, Kastner jest już trzecią Niemką, którą spotykam w ciągu kilku dni, a która mu się podoba. A przecież doskonale pamiętał, co sobie pomyślał, przekraczając granicę rosyjsko-pruską. Było to powiedzenie, które często słyszał w Łodzi: ile brzydkich kobiet znajdziemy wśród dziecięciu Niemek? Jedenaście!

– Na pewno znajdzie pan dla mnie miejsce w swoim grafiku – rzekła ze spokojem Leni.

Krzysztof Beśka

Krzysztof Choiński

Wizyta

(fragment)

...Wśród nowych kolegów Bronisława znalazł się pewien człowiek, który do niego przyłgnał. Nazwisko miał nieco cudaczne, a na imię Rudolf i mówiąc, zaczął się lekko. Jego ryżawe, rzadkie włosy miały skłonność do stawania dęba, wskutek czego Rudzio (bo tak do niego mówiono) wyglądał poważnie jak postać z teatru kukielkowego.

– Wie... wiesz, kochany – wyjaśnił kiedyś. – Mo... moja mama wielbiła aaarcyksięcia. Ojciec zresztą też. Jaak ta ca...cała afery w Mayerling wybuchła, to oni prze... przeplakali całą noc. A że mama była w po... poważnym stanie, to jak się uro... urodziłem, dostałem na chrzcie świętym i imię nas... następcy tronu.

Imiennik tragicznie zmarłego arcyksięcia miał jedną zasadniczą wadę i jedną ogromną zaletę: przy swojej kłopotliwej wymowie gadał bez przerwy, ale za to był rzetelnie pracowity. Mógł dostać trzy zadania na raz, a i tak wywiązywał się z nich w terminie. Zwierzchnicy wykorzystywali to niemiłosiernie, Rudzio nie protestował, aż w końcu Bronisław wziął go pod swoje skrzydła i tak nawiązała się między nimi przyjaźń.

W narastającym napięciu, któremu towarzyszyły kotłowanina ewakuacji i sprzeczne często ze sobą, ale głównie niedobre wieści z frontu, życie toczyło się jednak swoim torem. Maszerujące oddziały legionistów witane były owacyjnie, choć tu i ówdzie dawały się słyszeć w tłumie uwagi o awanturnictwie politycznym Piłsudskiego. Wychodzący na przepustkę spotykali się z zachłannymi zabiegami towarzyskimi, zapraszano ich na obiady i podwieczorki, przedstawiano rodzinie i znajomym, obdarowywano symbolicznie ryngrafami i częściami rynsztunku przodków, którzy swego czasu przeszli byli kordon, by wziąć udział w powstaniu. Fetowani ochotnicy przyjmowali to wszystko z mieszanymi uczuciami: przyjemnie było stać się przedmiotem gorących uczuć patriotycznych, najeść się od czasu do czasu porządnie i zapomnieć na chwilę o mizernym fasunku cesarsko – królewskim, ale z drugiej strony, zamiast wręczanych nabożnie rodzinnych pamiątek, niejednemu przydałyby się para dobrych butów, czy – nie wymawiając – ciepła bielizna,

bo już widać było, że wojna nie skończy się wraz z jesienią. Bronisław i jego koledzy znali popularne powiedzonko o jakości zaopatrzenia: „Ja, ja kaiserliche, und konigliche, und buty liche – alles liche! ”. Było to bardzo bolesne, bo pretensje spadały na ich głowy, a oni walczyli jak lwy z intendenturą austriacką – z kiepskimi rezultatami. Zdarzało się też, że ktoś trwający na posterunku tyłowym od pierwszych dni, wspominał zgryźliwie:

– A to w lipcu trza było zebrać w sklepach o motki nici i szare mydło, bo w Oleandrach nic prawie nie mieliśmy. I nasłuchiwały się nasze koleżanki złośliwości, czasem nawet chamskich uwag! Teraz już wiadomo, że dostaliśmy najjaśniejszy placet, więc nas kochają. Nawet kwiaty wręczają.

Było to trochę niesprawiedliwe, entuzjazm wybuchł po okresie dezorientacji, a obecni wielbiciele nie zawsze należeli do wczorajszych nieprzychylnych sceptyków. Coś się jednak obudziło w ludziach.

W tej atmosferze zbratania ludności cywilnej z marnie odzianymi i niedożywionymi żołnierzami Sprawy, Rudzio czuł się jak ryba w wodzie. Przy nieśmiałym w gruncie rzeczy Bronisławie błyszczał niczym połączenie Don Juana z Sobieskim. Podkręcając rzadkiego wąsika, zawierał znajomości z paniami i pannami, odprowadzał je z kościoła czy ze sklepu do miejsca zamieszkania, snuł jakieś niestworzone opowieści pełne aluzji do własnych sukcesów w działalności strzeleckiej. Był, nawiasem mówiąc, zawołanym łgarzem, traktowanym pobłażliwie przez kolegów jako ktoś przydający kolorytu codziennej szarości służby. Zdarzyło się, że natrafili na Plantach na rodzinę o wyjątkowej, nawet jak na to wszystko, życzliwości dla żołnierzy powstającego nagle polskiego wojska. Ojciec, tegi pan w meloniku i z laską, wspominał własny udział w tworzeniu filii Skarbu Narodowego, matka rozczulała się nad bohaterstwem ochotników, a dwie ładne panny, w wieku już odpowiednim do flirtu, trzepotały rękami na widok zamasztych ruchów Rudolfa. Bronisław czuł się nieswojo, bo nieznana mu była obyczajowość galicyjska, z jej ugrzeczniczeniem; stał zatem z boku, wydając niezobowiązujące pomruki i starając się utrzymać na twarzy uśmiech. Wtem zaszły dwie nieoczekiwane rzeczy: Rudzio, poniesiony werwą tak dalece, że nawet zanikł u niego defekt wymowy, przedstawił przyjaciela z emfazą, a równocześnie starsza panna, o głębokim, smolistym wejrzeniu i kruczoczarnym warkoczu, zaczęła podobać się Korowskiemu.

– Mój kolega Bronisław to bohater walki z caratem, o mały włos nie znalazł się na szafocie, a ciężkich robót za kołem podbiegunowym uniknął dzięki wybuchowi wojny – trąkotał Rudzio. – Gdyby nie rozbitcie więzienia w Radomiu, pojechałby kibitką...

– Rudziu, dajże spokój! – przerwał speszony Korowski. – Bohaterem żadnym nie jestem, o szubienicy mowy nie było ani przez chwilę, a więzienie nie wymagało rozbicia. Po prostu Niemcy weszli i wypuścili nas na wolność. Zechcą państwo nie zwracać uwagi, on tak zawsze.

Protest ten wywołał jednak skutek odwrotny od zamierzonego. Najwyraźniej wystąpienie Bronisława uznano za nadmiar skromności, ojciec rodziny poklepał go po rękawie, jakby chcąc powiedzieć „Znamy takie wykręty”, zaś czarnowłosa dziewczyna zaczęła spoglądać na Korowskiego z nieukrywaną przychylnością. W rezultacie zostali zaproszeni na niedzielny obiad.

W drodze do koszar Rudzio słuchał wymówek z filozoficznym uśmiechem.

– Bójże się Boga, lgarzu zatracony! – objeżdżał go Bronisław. – Robisz ze mnie jakiegoś męczennika, oni będą sobie wyobrażać nie wiadomo co, a my liczymy dziurawe buty i wojujemy z urzędnikami na podania, wykazy i zażalenia. Gdzie ty masz rozum?

– Aaa... le... le... ko... kochany! – odrzekł już dotknięty wadą wymowy imiennik arcyksięcia. – Oni te...tego potrzebują! Połowa Galicji cierpi na wyrzuty sumienia, więc chcą mieć bohatera na obiedzie. To ich wkład w dzie...dzieło walki o Polskę. Zreee... szta! przyznaj, że ci... ci... ci się ta czarnulka podoba.

Zniechęcony Bronisław machnął ręką.

– Tylko nie waż mi się głądzić o naszych czynach zbrojnych, ani o tych minionych, ani o przyszłych! – zakończył surowo. – A w niedzielę przedstawimy się zgodnie z naszym przydziałem służbowym.

W dzień świąteczny zatem wypucowali buty, guziki i klamry od pasów, oczyścili mundury, po czym – przejrzaawszy się w zmetniałym kawałku lustra, który służył do golenia i czesania – wyszli na ulicę z wypiętą piersią i sercem pełnym optymizmu. Lekka mgielka przysłaśniała jesienne słońce, upały już przeszły. Niedzielní spacerowicze mijali się grupkami, wymieniając ukłony i obowiązkowe „Moje uszanowanie pani radczyni! Szacunek panu profesorowi! Dzień dobry, sąsiedzie! Piękną mamy pogodę, prawda? ”. Płaszczki z pelerynkami i kapelusze przeplatały się z mundurami, gdzieniegdzie przyciągał wzrok siwy kubrak zwieńczony maciejówką, twarze cywilów jaśniały życzliwością, a marsowe oblicza żołnierskie zdobił często wyszwarcowany i zakrecony ku górze wąs. Kiedy odezwały się dzwony na nabożeństwo, Rudolf rzekł niepewnie:

– Aaa... cco powiemy... jaak zapytają, czyśmy już byli w ko... kościele?

Bronisław zatrzymał się. Kłamstwo budziło w nim obrzydzenie, ale problem był. On sam uczęszczał do kościoła rzadko i bez entuzjazmu, Rudzio

zaś, luteranin z urodzenia i wychowania, zdawał się być człowiekiem całkowicie obojętnym na praktyki. Istniało nawet podejrzenie, że przygoda wojenna dała mu pretekst do ucieczki z okowów rodzinno-religijnego rygoru.

– Sami się z tym nie wyrwyjmy – powiedział w końcu Bronisław. – Ale łgać nie będziemy.

– No to w ta... takim razie nasz flirt dłuuu... długo nie potrwa – zamknął sprawę legionowy Munchhausen.

Brama i sień starej kamienicy były wysprzątane, trąciły jednak wilgocią i czymś jeszcze, co nasuwało myśl o minionych stuleciach.

Rudzio pociągnął nosem:

– Czujesz?

Nim jego towarzysz zdążył odpowiedzieć, już musieli wyjawić stróżowi w ceratowym fartuchu, do kogo idą. Wdrapali się na drugie piętro, sapiąc z lekka i właśnie wtedy, gdy przystanęli w przyćmionym świetle padającym przez kolorowe szybki, nastąpiła katastrofa. Czy Bronisław za głęboko wciągnął powietrze, czy też nici były za słabe, a wszystko wynikało z tego, że zdążył nieco przytyć mimo nędzy wikt koszarowego, dość, że nagle coś trzasnęło i jeden z guzików odpadł z samego frontu kurtki. Rozejrzeli się i zblekli: w półmroku nie było widać, dokąd potoczył się ów maleńki przedmiot.

– Ty szukaj tu, a ja tam – zarządził Bronisław półgłosem.

Najpierw przykucnęli, macając dłońmi dookoła, a ponieważ nie dało to żadnych wyników, zaczęli posuwać się na czworakach. Nieszczęsny traf sprawił, że gdy sam winowajca akurat odwrócił się tyłem do drzwi mieszkania, wyjrzała z nich pani domu, zapewne przywabiona odgłosami z zewnątrz. Ponieważ zaś obaj przyjaciele ustawili się przypadkiem równolegle, matrona ujrzała dwie odziane w szarawy błękit sempiterny, wypięte na nią niewinnie.

– Ojej, a co to?! – zawołała w osłupieniu.

Bronisław, łapiąc w ostatniej sekundzie okulary, które zsunęły mu się z nosa, odwrócił się i powiedział grzecznie:

– Guzik, proszę szanownej pani.

Nim zdążył dokończyć zdania, już dotarł do niego kontekst sytuacyjny; było już jednak za późno. Drzwi zamknęły się dość głośno, przy czym trudno było dociec, stało się tak wskutek dezaprobaty, czy też konsternacji z powodu dziwnego zachowania gości.

– Bro... Broneczku – rzekł niepewnie Rudzio. – Czyś ty przy... przypadkiem?...

– Daj spokój. – Jego towarzysz dźwignął się z kolan i otrząpał spodnie. – Idziemy.

- Mooże zapukać? Przee... prosić? ...
- Do tego trzeba kwiatów. I specjalnej oracji.

Ponieważ wrota rodzinnego sanktuarium trwały nieporuszone, a nawet dał się słyszeć dźwięk zakładanego łańcucha, zeszli cichutko na dół i w milczeniu puścili się w drogę powrotną. Dopiero w kantynie zaczęli obliczać, czy wspólne fundusze wystarczą na odpowiednio okazałą wiązanekę. Nie wystarczyły, a jedyny człowiek, u którego mogli zaciągnąć pożyczkę, też legionista, lecz syn zamożnej rodziny z Jarosławia, wyjechał na dwa dni z jakąś misją. Należało zatem poczekać do jego powrotu, a tymczasem bieg wypadków uniemożliwił załatwienie drażliwej sprawy.

Krzysztof Choiński

Franciszek Jaszuński

Dawno

Skończyłem szkołę średnią z wynikiem średnim. Z jednej strony wyniosłem przekonanie, że warto coś umieć, z drugiej prawie pewnoś, że nie to, czego mnie uczono. Życie za kieszonkowe z domu nie miało smaku.

Był sierpień, miesiąc tanich pomidorów, lecz znajomi, od których można by coś pożyczyć, na urlopach. W lecie na budowie zawsze brakuje chętnych.

W biurze PBM wydano mi cztery arkusze obustronnie zadrukowanego papieru z wykropkowanymi miejscami do wypełnienia.

– Hotel robotniczy po trzech miesiącach przepracowanych – uprzedziła mnie urzędniczka w pomarańczowym sweterku.

– Ja nie proszę o hotel.

– Kierowca? – spytała z nadzieją w głosie niezamężna urzędniczka w jasno-różowym sweterku watowanym na ramionach.

– Nie.

– A co pan umie? – zabrzmiało z mniejszym już entuzjazmem.

– Jeszcze nie pracowałem na budowie – przyznałem.

– Niewykwalifikowany – westchnęła – na kurs czy do transportu wewnętrznego?

– Niech będzie transport wewnętrzny – powiedziałem.

– Marysiu, daj tego pana na siódemkę!

Przeszedłem do sąsiedniego okienka.

– Umie pan czytać? – zapytała pani w cytrynowym sweterku.

– Poradzę sobie – mruknąłem.

Nazajutrz rano znalazłem się przed parkanem z surowych desek, za którym widać było czteropiętrowe mury bez okien, częściowo przysłonięte chaotycznym rusztowaniem. W bramie było lepkie błoto pocięte koleinami, których dno bielalo wapnem. Na podwórzu znalazłem barak z napisem BIURO i oddałem skierowanie. Po jakimś czasie wyszedł z niego nieduży, chudy facet w garniturze w granatowo-białe pasy do zielonej koszuli polo i przeprowadził skrócone szkolenie BHP.

– Trzeba uważać – powiedział – uchła się taka pierdoła przed drugą, spadnie z rusztowania i przedsiębiorstwo nie ma z niego pożytku.

Transport wewnętrzny okazał się blaszanymi taczkami. Wypełnione zaprawą pchało się po ułożonych deskach do windy. Zjechanie z desek w bloko to była katastrofa. Cholerstwo było za ciężkie, żeby wyjechać. Musiałem przytargać drugie taczki i przeladować. Blokowałem przejazd innym. Posłano mnie więc do wyrzucania wapna z dołu. Sądziłem, że skoro radziłem sobie z łopatą w piaskownicy nie gorzej niż inni, to tyle lat później także nie powinno to stanowić problemu. Myliłem się, wapno za cholerę nie chciało odkleić się od mojej łopaty.

Bardziej utalentowany okazałem się przy obsłudze agregatu. Było to drewniane koryto z bieżącą wodą, do którego wrzucało się wapno i piasek. W środku poruszała się ślimacznica tak jak w maszynie do mielenia mięsa i mieszała zaprawę, którą potem pompowano na piętro do murarzy.

Tydzień jakoś przepracowałem, ale kończyły mi się pieniądze na jedzenie i zacząłem opadać z sił. Nie wiem, jak majster to wyczuł, ale w przerwie bez słowa podsunął mi swoją walówkę, kiedy nikt nie patrzył.

Nadszedł wreszcie dzień zaliczki. Pierwszy samodzielny zarobek. Przy bramie majster ujął mnie pod rękę i pociągnął ze sobą. Mieszkał niedaleko. Przyzwoicie. Majstrowa podała kopiasty talerz kielbasy na gorąco. Wódka, musztarda. Był jeszcze operator. Skutki mojego skromnego odżywiania wkrótce dały o sobie znać. Ululałem się i zacząłem dużo mówić. Majster i operator chcieli wiedzieć, czego taki paniczek może szukać na budowie. Obawiam się, że powiedziałem, bo pamiętam, że operator powiedział w pewnym momencie:

– Pij student, bo stygnie!

Zaliczka szybko się skończyła, bo w kolejną sobotę ja zostałem fundatorem. Dzięki temu tydzień minął w przyjaźni, a w dodatku majster posłał mnie do sprzątania pięter. Miałem miotłę i szufłę, zgarniałem resztki cegieł, tynku i słomy na kupę koło okna. Potem czekałem na okazję. Jak nikt nie przechodził, wyrzucałem. Kompromis skuteczności i BHP. Niewiele roboty, nikt nie patrzy. Umościłem sobie leże z pustych worków po cementie i paliłem sporty. Nie wierzyłem, że wyrzucając dwie szufle śmieci na godzinę zarobię więcej niż za dziesięć łopat piasku na minutę, ale przy wypłacie wyrównania okazało się inaczej.

Kupiłem sobie budzik i pół litra dla kolegów w pakamerze. Z pełnym brzuchem nie upiłem się i słuchałem.

– Majster jest w porządku – mówił pomocnik murarza – tylko bezeciarz to kurwa.

Bezeciarz to technik. Wypełnia BZ, czyli Blankiet Zarachowania. Zaliczkę ustala spod kapelusza, nie za wiele na wypadek gdyby ktoś plunął na robotę z dnia na dzień. W lecie budowa ma dużą płynność kadr. Do Bezetu wpisuje się rodzaj pracy i stawkę godzinową. Zaliczkę się potrąca, resztę wypłaca.

Moje wyrównanie urosło, bo majster dał mnie do roboty, która ma dobrą stawkę. Powierzchnia sprzątanego piętra razy coś tam. Przy agregacji liczył się przerobiony materiał – dziesięć ciężarówek piasku, dwie wapna dzielone przez normę, to był zarobek operatora, mój i Kazia. Operator miał przelicznik za obsługę agregatu. Ile mnie, a ile Kaziowi ustalał bezeciarz uznaniowo. Dla mnie mniej. Po pierwsze, bo bał się Kazia, po drugie, bo Kazio znalazł życie. Jak nie dowieźli wapna albo piasku, on stał na warcie, rozgrzebując trzy ziarenka piasku łopatą. Jak ktoś szedł, przykladał się do pracy. Ja idiota rozwalalem się na kupie gruzu i paliłem fajki. Bezeciarz obserwował.

Przy sprzątaniu pięter ręce zagoiły się do końca. Z kolei poszedłem do kucia otworów w piwnicy. Technik tu nie zaglądał. Kulłem z Romanem, bezmyślnym osiłkiem, który dziobał ścianę jak młot pneumatyczny, nie patrząc, czy narzędzie jest ostre czy tępe. Ja mu ostrzyłem mesel i dziwił się, że potem łatwiej idzie. Wykuta kubatura dzielona na dwa dawała mi znośny dochód.

Siłą mięśni ustępowałem Romanowi znacznie, ale zgubiło mnie co innego. Kuliśmy otwory na występy kotła. Zauważyłem, że na przeciwległej ścianie już są odpowiednie otwory. Myślałem, że zrobię majstrowi przysługę, jak mu o tym powiem.

Majster przyszedł, popatrzył, posłał parę jobów i zapytał gdzie moim zdaniem ten kocioł ma być. Wrócił jednak potem z planem budynku. Trzymał go jednak północą na południe. Plan i piwnica się zgadzały. Strony świata nie bardzo.

Tak się odwdzięczyłem porządnemu człowiekowi. Na pożegnanie operator mi powiedział:

– Wracaj na studia, łachudro! Może się czegoś nauczysz.

Franciszek Jaszuński

Maria Jentys-Borelowska

Dziennik Aleksandry

(fragment powieści historycznej)

Tiumień, więzienie etapowe, 10 września 1885

Jestem półżywa. Trawi mnie gorączka, męczy kaszel, wyniszcza biegunka. Nie wiem, jaka zaraza mnie dopadła, ale wysysa ze mnie życie. Z Jekaterynburga do Tiumenia szliśmy pieszo, jakieś dwieście osiemdziesiąt wiorst, a może nawet trzysta. Pozwolono nam wprawdzie – nam kobietom – brać podwozy, wygodne, drażkowe, trójkonne tarantasy albo niemiłosiernie trzęsące kibitki, ale i tak znaczną część drogi musiałyśmy przebyć *per pedes*. Ja, Natalia i Zosia brałyśmy trojkę, o ile tylko było to możliwe. Inaczej nie doszłybyśmy do celu. Ale nie zawsze trojek starczało dla wszystkich potrzebujących. Za to jedzenia, i to wybornego, świeżego, było w bród. Miejscowe kobiety, stałym zwyczajem dobrych rosyjskich kobiet, przynosiły nam kołaczki i bułki, sery, pierogi, ogórki, kaczki i kury, ryby i jaja na twardo, miód, orzeszki cedrowe jako zwyczajową jałmużnę dla „nieszczęśliwych” albo towar sprzedawany za przysłowiowe grosze. Ja jednak nie mogłam nic przełknąć. Sam widok jedzenia przejmował mnie wstrętem.

W końcu dotarliśmy do więzienia etapowego w Tiumeniu, największego – po Butyrkach – ze wszystkich rosyjskich więzień, w których do tej pory „gościliśmy”. Był to prawdziwy *tiuremnyj zamok*, okazały, imponujący rozmiarami, murowany i otynkowany, pokryty blachą cynkową i obwiedziony wysokim murem, strzeżonym przez uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Patrzyliśmy na ten nasz etapowy „hotel” nie bez podziwu, ponieważ wszystkie dotychczasowe etapy i półetapy były nędzne, drewniane, stare (jeszcze z czasów Katarzyny II), przeważnie próchniejące i butwiejące, a na domiar złego zapluskwione i zawszone ponad ludzkie wyobrażenie. Wnet jednak przekonaaliśmy się na własnej skórze, że i ta wspaniała *imperatorskaja gostinica* pękała w szwach od nadmiaru „gości” – miejsce przewidziane na jednego zajmowało czterech – a powietrze, którym się tam oddychało, było cuchnącą trucizną.

Jak można w takich warunkach żyć? Jak przeżyć?

Wciąż trawi mnie choroba, odbiera resztki sił. Na szczęście nie jest to tyfus. Na pewno nie. Obejrzałam bardzo uważnie swoje ciało, zwłaszcza brzuch, i nie znalazłam na nim czerwonych plam ani krwawych wybroczyn, tak charakterystycznych dla tyfusu. Co prawda wszelkiego rodzaju zakażenia bakteryjne czy wirusowe są groźne dla nas, wyniszczonych ciężkimi przejściami i morderczą marszrutą, nawet tak banalne wśród zesłańców przypadłości, jak bronchit, gastryczna febra, reumatyzm czy szkorbut potrafią nas pokonać. Tyfus wszakże to nasz główny wróg – zabójca. Mało kto oparł się tej etapowej zarazie. Właśnie, etapowej, bo na etapach czyhają na zesłańców zarazki tyfusu. Czają się w ciałach pluskiew, wszy i pcheł, od których aż roi się w drewnianych, rzadko czyszczonych i pewnie jeszcze rzadziej dezynfekowanych budynkach więziennych. Wielkie i głodne, atakują ludzi podczas snu i pijąc ich krew, zakażają tyfusem. Gdy w pierwszym więzieniu etapowym zobaczyłam te insekty-potwory, od których nasze poduszki robiły się czerwono-czarne, rzuciłam się w panice do ucieczki. Były przerażające! Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się spotkać tak olbrzymich pluskiew i tak ogromnych wszy. W dodatku w takiej liczbie! Mężczyźni nie kładli się spać, by walczyć z istnymi armiami robaków. Zgarniali je garściami i wrzucali do pieca, o ile płonął w nim ogień, do wody, o ile była w pobliżu. Niewiele to dawało, w miejsce zabitych zjawiały się nowe zastępy. Jak w sennym koszmarze.

Nie mam tyfusu, ale jestem bardzo chora i bezsilna, a jutro o świcie nasz konwój rusza w dalszą drogę. Jednak za nic nie zostanę w lazarecie tiumeńskiego więzienia. Nie wyszłabym stamtąd żywa! Byłam tam przez chwilę i wiem, co mówię. Ten lazaret to umieralnia. Cele szpitalne, choć obszerniejsze od więziennych i widniejsze, są pozbawione jakiegokolwiek wentylacji i tak przesycone chorobliwymi wyziewami, że zdrowy człowiek padłby tam zatruty w ciągu kilku dni, a coś dopiero chory! W celach więziennych, przepelnionych ponad wszelkie dopuszczalne normy, zaduch przyprawia o mdłości i zawroty głowy, ale w pomieszczeniach szpitalnych odór chorych ciał po prostu dławi, dusi, zapiera dech. Tłok zaś niesłychany: dwanaście do piętnastu żelaznych łóżek uszeregowanych w trzy rzędy; pościel na łóżkach nędzna, złożona z cienkiego materacyka lub szarego siennika, płaskiej poduszki i szarej grubej koldry lub płachty pozszywanej z lachmanów. Lekarstw żadnych. Cała kuracja to spoczynek na owym nędznym posłaniu pośród trujących wyziewów. I w otoczeniu ludzkich szkieletów z twarzami wyrażającymi niewyrażalną boleść. Nie, nie, nie! Nie dam się zatrzymać w tiumeńskim lazarecie.

Niech mnie przewiozą kibitką nad Turę i wniosą na barkę. Dojdę do siebie, gdy popłyniemy i odetchnę ożywczym, rzeczonym powietrzem.

Barką do Tobolska, po 12 września 1885

Stało się, jak sobie życzyłam. Dowieziono mnie do przystani i wniesiono na barkę. Z pomocą pospieszyli tiumeńscy Polacy, zesłańcy z 1863 roku, niezwykle dla nas serdeczni, a wśród nich właściciel małego sklepiku, który tak bardzo przejął się moją słabością, że pobiegł do domu i przyniósł mi na drogę butelkę gorącej herbaty z miodem, ziołami i czymś bardzo mocnym a krępującym. Po kilku łykach poczułam się naprawdę lepiej.

Popłynęliśmy najpierw rzeką Turą, a potem Tobolą do Tobolska. Powoli ginęły w dali długie szeregi drewnianych domów tiumeńskich, zielone kopuły cerkwi, białe mury budynków rządowych, wyniosłe i groźne mury twierdzy, brzegi stawały się coraz bardziej płaskie i bagniste, gęszcz ciemnozielonych jodeł i świerków, złotolistnych brzoź i srebrzystych osik, cedrów z ogromnymi miedzianymi szyszkami rzedniał, bladł, przechodził w lichy i ubogi las.

Niewiele pamiętam z tej długiej i smutnej drogi, trwałam w odrętwieniu lub w półśnie, obojętna na wszystko poza jednym: Ludwikiem i jego losem. Wciąż nie mieliśmy żadnych wieści z Warszawy, choć na każdym postoju staraliśmy się o gazety i czytaliśmy wszelkie doniesienia dotyczące aresztowań i procesów rosyjskich i polskich rewolucjonistów. Płynęłam przez Syberię, oddalona o cztery bez mała tysiące wiorst od Ludwika, a czułam go wszystkimi zmysłami, jakby był ze mną tu na barce. Było bardzo zimno, a mnie ogrzewał jego ciepły, serdeczny głos, szepczący mi wprost do ucha: „Bądź dzielna, Jana, jak zawsze byłaś ... Nie trać ducha, moja ty jedyna... Wytrwaj, Jana, Janeczka, to jeszcze nie koniec walki... Żeby zwyciężyć, musimy bardziej się postarać... Jestem przy tobie i będę, póki żyję, a także i potem... na wieki wieków, moja ty żono ukochana... moja wierna towarzyszeko...”.

Tobolsk, około 20 września 1886

Gdy dotarliśmy do Tobolska, zima była już prawie w swej pełnej – jeśli można tak rzec – syberyjskiej krasie. Zmarzliśmy na kość, czekając pośrodku rzeki na przybycie szalup z żandarmami. Nie spieszyli się. Gdy dowieziono nas

do przystani, ani ja, ani Natalia, ani płynące z nami Rosjanki nie mogłyśmy ruszyć z miejsca. Bagaże przygważdżały nas do ziemi, tym bardziej że droga do miasta prowadziła pod górę. Komendant wezwał „powózki”, wsadzono nas na nie i konwój ruszył ku twierdzy. Było ciemno, padał gęsty śnieg, gdy dotarliśmy do policyjnego cyrkułu. Tam dano nam gorący posiłek i rozmieszczono w kilku salach z wysłużonymi narami. Padliśmy jak nieżywi, a kazonne sienniki, wypchane sianem poduszki i cuchnące pledy wydały nam się wprost królewskimi posłaniami. Pozwolono nam na tydzień odpoczynku w tobołskim więzieniu przesyłkowym.

Gdyby nie świadomość, że jesteśmy więźniami i nieprędko być nimi przestaniemy, mogłabym rzec, że był to prawdziwie szczęśliwy tydzień. Wylegiwaliśmy się do południa i ucztowaliśmy od rana do nocy, sławiąc naszego rodaka Alfonsa Koziella-Poklewskiego za szczodrość. Bo nie tylko koszt wielki mięs, wędlin, serów, kołaczy, pierogów, win i wódek nam przysłał, ale także całe naręcza czystej bielizny, pościeli, koców, poduszek, mydeł, mydelek, pachnidel nawet. Dowiedzieliśmy się, że ten krezus, *uralskiej korol wodka*, czynił, co mógł, aby ulżyć niedoli Polaków zesłanych na Syberię Zachodnią. Zatrudniał ich w swoich fabrykach, domach towarowych, sklepach i biurach, fundował stypendia kształcącym się dzieciom, zakładał darmowe jadłodajnie. W naszej pamięci zapisał się jako cudotwórca, który w obskurnej turmie pozwolił nam pożyć przez złudną chwilę po pańsku.

Także naczelnik więzienia okazywał nam „laskawość”, zwłaszcza że nie skąpiliśmy mu brzęczących dowodów wdzięczności. Pozwalał nam wychodzić do miasta, byle nie na długo i nie za daleko. Wiele czasu, poza spaniem, poświęcaliśmy odczytywaniu wpisów naszych poprzedników do „księgi gości”, jaką były ściany cel. Jan Ptaszyński, najgorliwszy czytelnik owej „księgi”, aż krzyknął z przejęcia, gdy przeczytał: *Benedykt Dybowski, w październiku 1864; 12 lat katorgi*.

– Pomyśleć tylko, że takiego człowieka powlekli na Sybir niczym pospolitego przestępcę. Cenili go najwięksi uczeni Europy, na jego wykłady w Szkole Głównej przychodziły tłumy warszawiaków – powiedział. Znal dramatyczną historię tego wielkiego uczonego i lekarza-społecznika. Chociaż pracował jako tokarz u Lilpopa, był wykształcony, odczytany, bywały w świecie. Jako wyrostek uczęszczał do szkoły realnej w Warszawie, potem służył w korpusie kadeckim w Petersburgu, wreszcie uczył się w gimnazjum wojskowym w Orle. Kiedy wybuchło Powstanie, miał bez mała trzydzieści lat.

– Nie powlekli go niczym pospolitego przestępcę – wtrąciłam. – Był wprawdzie „groźnym” przestępcą politycznym, ale zarazem sławnym

uczonym i z tego względu nie zakuto go w kajdany i nie kazano iść z kajdaniarzami, lecz powieziono kibitką. Stryj opowiadał, że wiosną 1864 roku stracono by go niechybnie na stokach Cytadeli, dostał bowiem wyrok śmierci jako działacz Rządu Narodowego, ale przyszli mu z odsieczą uczeni niemiecscy. Cieszył się wśród nich nie lada mirem jako wybitny darwinista i ewolucjonista. Uprosil Bismarcka, aby wstawił się za profesorem Benedyktem Dybowskim u namiestnika Królestwa Polskiego Fiodora Berga. Kanclerz Rzeszy uczynił to z takim skutkiem, że kara śmierci dla „zdrajcy stanu” została zamieniona na dwanaście lat katorgi.

– I przez te dwanaście lat katorżnik Benedykt Dybowski przebadął gruntownie fauną i florę Bajkału i zasłynął w Rosji i w świecie jako największy odkrywca tajemnic „imperatora słodkich wód”. Wrócił do Warszawy w sierpniu 1877 roku, ale nie znalazłszy warunków do dalszej pracy naukowej, już w grudniu 1878 roku wyjechał ponownie na Syberię, głuchy na prośby, błagania i przestrogi rodziny, przyjaciół, admiratorów. Zamierzał zbadać Kamczatkę. Na Dworcu Petersburskim żegnały go tłumy warszawiaków. Byłem wśród nich.

– I ja bylam. Ale wcześniej poszłam na jeden z jego wykładów na temat Syberii i Bajkału. Chciałam zrozumieć, dlaczego ten człowiek z własnej woli udaje się po raz drugi do „piekła śniegów i lodów”, w którym już z wyroku carskiego spędził dwanaście długich lat. Myślałam, że jest albo szaleńcem, albo głupcem, albo... renegatem. Gdy jednak zaczął opowiadać o swoich planach i zamiarach – a dotyczyły one najdalszych krańców Syberii: Kamczatki i Wysp Komandorskich – pojęłam, że jest to człowiek Wielkiej Idei Społecznej i Wielkiej Pasji Poznawczej. A przy tym najwierniejszy z synów ojczyzny. Do dziś brzmia mi w uszach jego słowa: „Pracować mieliśmy poza ojczyzną, lecz dla niej wyłącznie. Według mego widzenia rzeczy ten, co kocha szczerze kraj swój, potrafi sercem być w nim zawsze, chociażby był od niego oddalony o tysiące kilometrów, kto tej miłości nie posiada, będzie mu kraj własny obcym, chociażby w nim przebywał stale”.

Dramatyczna historia naszego znakomitego rodaka uzmysłowila mi, że oto i ja zbliżam się do punktu krytycznego, w którym przyjdzie mi wybierać od nowa, i to na własną jedynie odpowiedzialność, bez wsparcia grupy, partii, ukochanego mężczyzny... Czy przejdę tę twardą próbę charakteru bez uszczerbku na godności i honorze, czy też złamana, upodlona? Pierwsza konfrontacja z wygnańczą rzeczywistością pokaże mi, kim naprawdę jestem, kim bylam przez całe moje dwudziestoosmioletnie życie i kim być potrafię. Ja, Aleksandra Jentysówna, córka powstańca, kobieta wykształcona, odcytana,

myśląca, poszukująca prawdy (moralnej), sprawiedliwości (społecznej), wolności (osobistej i narodowej), współtwórczyni partii Proletariat, nieformalna żona Ludwika Waryńskiego, oskarżona, skazana, wygnana, obca wśród obcych, samotna, może wdowa; puste naczynie.

Kim się stanę w warunkach tak radykalnie zmienionych? Co zostanie we mnie z owej żarliwej społeczności „Janki”, bez reszty oddanej Idei?

Jeszcze chwila, a zostanę sama.

Maria Jentys-Borelowska

Piotr Mitzner

Sąsiad

Dziurawy plot ze sztachet i splątanej siatki dzielił naszą posesję w Borkach przy ulicy Lilpopa 91 od sąsiedniej. Do dziś trwa na niej drewniak, który chyba już długo nie przetrwa. Ale, prawdę mówiąc, od kiedy pamiętam, wyglądał, jakby się miał zaraz rozpaść. Z lat przedwojennej młodości pozostała na froncie wyszczerbiona nazwa: VIT(A)NIA. Środkowe A wypadło jako pierwsze. Dom należał do państwa Smolińskich. Mieszkała tam moja niania Weronika Matulewicz, analfabetka z puszczy litewskich, a także Ziółkowscy, rodzice mojej rówieśniczki Basi. Przechodziliśmy do siebie uchylając znane nam dobrze sztachety. Na poddaszu VIT(A)NII gnieździł się pan Franio.

Niewielką przestrzeń kawalerskiej dziupli zajmowały łóżko i szafa, a nad łóżkiem, na szafie, wszędzie, wszędzie piętrzyły się militaria: hełmy, szable, bagnety, maski przeciwgazowe i buty – do pary, od pary, jak nowe i zgniłe – buty wojskowe. Wszyscy mówili: pan Franio. Nazywał się Franciszek Pukacki.

Nieraz zapraszano go do podkowińskiej szkoły na gawędy o historii. Miał o czym opowiadać. W kampanii wrześniowej, w Armii „Poznań” otrzymał Krzyż Virtuti Militari, uciekł z niewoli niemieckiej i dotarł na Węgry. Tam został internowany. Uciekł do Jugosławii i przez Morze Śródziemne dostał się do Francji, a potem z polskim wojskiem do Anglii. Po trudnym przeszkoleniu, jako Cichociemny został zrzucony w 1942 roku w okolicach Warszawy. Stąd skierowano go na Wołyń, gdzie był dowódcą oddziału partyzanckiego, o tyle specyficznego, że w jego skład wchodziło kilku Rosjan. Domyślam się teraz, że byli to biali emigranci z Równego lub Ostroga. Pracował też na niemieckim lotnisku wojskowym, gdzie dosypywał do paliwa pył metalowy i cukier. Jego oddział wchodził w skład 27. Dywizji Wołyńskiej AK, rozbrojonej przez Sowieców w lipcu 1944 roku. Pukacki nie dał się wziąć do niewoli i postanowił przedrzeć się w kierunku Warszawy. W Otwocku wpadł w ręce NKWD i wyładował w obozie w Riazaniu, a później w Griażowcu. Uciekł w 1947 roku. Udało mu się dojechać do Wilna i złapano go dopiero podczas próby przejścia polskiej granicy. Po roku więzienia w Brześciu wrócił do Polski z falą uwolnionych wówczas akowców. Oczywiście, epizody z udziałem Sowieców podczas opowieści w naszej szkole zrecznie omijał.

Pracował najpierw w fabryce sprzętu pożarniczego w Grodzisku, a potem jako kamieniarz w Pracowniach Konserwacji Zabytków. Spod jego dłuta wyszedł między innymi zegar na kamienicy narożnej przy wejściu na Rynek Starego Miasta. Dorabiał też, odkuwając rzeźby w pracowni Xawerego Dunikowskiego.

Po 1956 roku skończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim i został kierownikiem działu handlowego Polskich Nagrań. Zastąpił w 1971 roku jako obrońca Czesława Niemena, którego usłudni pismacy próbowali oskarżać o obrazę moralności socjalistycznej. Założył Zespół Historyczny Cichociemnych i kierował warszawskim oddziałem Stowarzyszenia Dawnej Broni i Barwy. Często odwiedzali go towarzysze broni, których nauczyłem się rozpoznawać z daleka po konspiracyjno-wojskowym sposobie poruszania się, sprężystym, ale czujnym kroku, gdy przez pomyłkę stawali przed naszą furtką.

Był spośród nich chyba najbardziej wysportowany i zahartowany. Wstawał o piątej rano, lato czy zima, mył się pod studnią i wychodził do pracy. Tak, do Warszawy na ogół chodził piechotą. Zresztą nie tylko do Warszawy. Pamiętam jak raz wybrałem się do pana Frania na kolejne oglądanie militariów, a pani Wercia uprzedziła: – Nie ma go. Poszedł do Poznania.

Mimo to zmarł nagle na serce, w drodze, w pociągu, między Ostrowem Wielkopolskim i Kaliszem. Miał 64 lata. Był rok 1980.

Z czasem zaczęły się odsłaniać głębsze warstwy biografii Franciszka Pukackiego. W 1988 roku w Londynie rozmawiałem na jego temat z Prezydentem RP na Wychodźstwie, Kazimierzem Sabbatem. Ucieszyliśmy się, że obaj znaliśmy pana Frania – ja jako sąsiada-kombatanta, on (czym mnie zaskoczył) jako działacza od 1977 roku podziemnego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i łącznika między rządem w Londynie a opozycją w Kraju. Dopiero teraz dowiedziałem się, że Pukacki podczas swoich wystąpień na spotkaniach kombatanckich w Anglii zajmował się między innymi oczernianiem KOR-u.

Nie koniec na tym. Okazuje się, że Franciszek Pukacki został zwerbowany przez UB w 1968 roku i jako TW „Ciemny” rozpracowywał, wspólnie z londyńskimi rezydentami peerelowskiego wywiadu, najważniejszych działaczy emigracji.

Gdy wszystkie te ciemne sprawy „Ciemnego” wyszły na jaw, IPN wystąpił do władz Krotoszyna, jego rodzinnego miasta z żądaniem przemianowania istniejącej tam ulicy Pukackiego. Niczego jednak nie wskórano.

Ja też próbuję sobie poradzić z pamięcią o moim sąsiedzie, bohaterze mojego dzieciństwa. Racjonalne analizy zawodzą. Dlaczego twardy, odważny

człowiek dał się złamać w 1968 roku, kiedy za odmowę współpracy nie bito i nie zabijano? Przecież on nie chciał się nawrócić na realny socjalizm. Czegoś się bał? Podobno z jego kolekcji pochodził nóż, którym zadźgano w 1957 roku Bohdana Piaseckiego, syna szefa PAX-u. Nóż, który rok wcześniej mu ukradziono.

Nie wiem. Zagadkowa, tajemnicza samotność pana Frania pozostaje w mroku, trudno nawet snuć domysły. Najchętniej przyjąłbym, że „Ciemny” był tylko jego sobowtórem.

Piotr Mitzner

Piotr Müldner-Nieckowski

Kabina

„Ofiara rozpoznała gwałciciela po tym, że wydawał nieprzyjemny zapach niedomytego ciała” – powiedział dziennikarce prokurator, a ta odparła: „Wszyscy śmierdziejcie, i to jest delikatne słowo”. Tak było w „Gazecie”. Już zupełnie bez umiaru. Napisali, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

Złożyłem gazetę na pól i miałem wrzucić do kosza, kiedy uświadomiłem sobie, że przecież kupiłem ją, żeby przeczytać, co tam piszą o naszej koleżance Agnieszce U.

Koleżanka Agnieszka U. zadzwoniła bowiem do redakcji i nadała na naszą uczelnię, a ściśle na nasz wydział. Nadała mianowicie – czytałem na czwartej stronie „Gazety” – że uczelnia, taka szacowna, a w jej obrębie Wydział Matematyczno-Historyczny, o takiej renomie!, „drastycznie lekceważą sytuację osób niepełnosprawnych”, a co za tym idzie, na pewno także „rudych, niskich, czarnych i głupich”. Niskich, czyli kurdupli. To o mnie. W ogóle dzieje się źle, na naszej uczelni rzecz jasna, i trzeba coś z tym zrobić albo obniżyć rangę, uczelni rzecz jasna.

Nie jestem jakimś zwariowanym patriotą uniwersytetu, o ile można być patriotą czegoś, co jest tylko częścią ojczyzny, ale – posługując się językiem „Gazety” – też nie jestem jakimś zwariowanym zwolennikiem klękania przed każdym, kto się różni od ogółu. Naokoło mnie są same kurduple, z wyjątkiem prodziekana metr dziewięćdziesiąt osiem. Mimo to z obowiązku, jako drugi zastępca przewodniczącego roku, udałem się do szatni i polowałem na Agnieszkę U. Niestety nie pojawiła się, co mnie tak wkurzyło, że postanowiłem ujawnić nazwisko, i czynię to z satysfakcją: Urbańska. Szczerze mówiąc, nie wiadomo na co liczyłem. Przecież jej nie znałem. Nie wiedziałem, jak wygląda i czego jej brakuje (skoro taka niepełnosprawna). Ale szatniarka powiedziała, że wszystko wie i że mi pokaże, kiedy owa Urbańska pojawi się na horyzoncie. Horyzont musiał być jednak za wąski, bo się nie pojawiła.

Szukałem jej też na zajęciach, które jako studentka drugiego roku powinna była odwiedzać, oraz sprawdziłem w dziekanacie, czy przypadkiem nie jest na zwolnieniu lekarskim albo nie przychodzi do szkoły z jakiegoś innego powodu. Nie. W dziekanacie nie wiedzieli, żeby nie było jej na zajęciach, zwolnień też nie zgłaszała ani pism żadnych nie składała. Do „Gazety”

natomiast podać. Kiepsko miała nie tyle – jak to się mówi – z rozumem, ile z lojalnością.

Zaczęłam więc pytać kolegów, czy przypadkiem nie wiedzą, co się z nią dzieje. Nie wiedzieli, a słysząc jej nazwisko, unosili brwi ze zdziwienia, bo o takiej nie słyszeli. Czyżby „Gazeta” stworzyła kolejny humbug? A może wymyśliła nazwisko, żeby ukryć prawdziwego zdrajcę? Jeśli tak, to należałoby iść do jego magnificencji rektora i zawiadomić o kolejnej napaści na uniwersytet. Nie miałem jednak wystarczających danych. W końcu to władze są od tego, żeby zebrać informacje i skutecznie je wykorzystać. Przekazałem staroście roku a mojemu kumpłowi od wspólnych przygotowań do zaliczeń, że gazetę przeczytałem, donos zapamiętałem, a co do reszty, to już nie moja sprawa.

Tymczasem starosta, kolega Waldek, aż się zachłysłął spożywaną właśnie bułką z masłem i musiałem wałnąć go w plecy, żeby się odetkał.

– Trzeci taki tekst w ciągu miesiąca – powiedział w końcu. – Nie wiadomo, o co tej dziewczynie chodzi – powiedział. – Wiesz w ogóle, kto to jest?

– Niepełnosprawna.

– Co ma niesprawne?

– Nie wiem, podaje, że podjazdy na schodach są za strome, że nie dociera na zajęcia na czwartym piętrze, bo nie mieści się w windzie, a wykładowca na lektoracie z łaciny siedzi za nisko, każe jej pisać na tablicy za wysoko i w stolówce żądają od niej drobnych, chociaż płaci kartą.

– Nie mieści się w windzie. To jakaś wskazówka jest. Duża baba.

– Albo na wózku i wózek jest duży.

– Albo coś jej wystaje.

– Z kijem jeździ. Może tak.

– Nie wiadomo, czy jeździ. Może chodzi. Może głucha. Różne niesprawności ludzie mają.

– Zakładasz, że ma coś z uszami? Może z rękami?

– Nie wiem, może z oczami. Chodzi w peruce.

– Drobnych nie ma w stolówce, pisze. Może bogata i płaci setkami? To też jakiś rodzaj niesprawności.

– Ma przedatowaną kartę kredytową.

– Zaklejoną krówkami.

Usiedliśmy na ławce przy ścianie, żeby pogadać. W końcu stworzyła się nam zagadka, którą warto było rozwiązać. Na ogół wszystko mamy w notatkach z wykładów, ale tego akurat nie. Nie studiowaliśmy psychologii, lecz matematykę z historią, więc nasza wiedza o zachowaniach ludzi była znikoma.

– W dziekanacie mają zdjęcie tylko legitymacyjne. Reszty na nim nie widać – powiedziałem.

– A, to ty już prowadzisz śledztwo! Brawo – powiedział z uznaniem Waldek. – Ja na naszym roku widzę liczne dziewczyny, ale same sprawne i wszystkie znam.

– Tak jak ja. Niektóre znam bardzo dobrze.

– Tak jak ja. Nawet jeszcze lepiej.

– Tak jak ja. Może zapytajmy którąś, na czym może polegać niesprawność u dziewczyny, która na niesprawną nie wygląda. Może tu jest klucz do sprawy, kolego?

– Każda ci powie, że wszystkie są niesprawne, poza tą oczywiście, którą zapytasz.

– Nie tędy droga.

– A którędy?

– Ba!

Trzeba było złapać trochę oddechu, więc wyciągnęliśmy laptopy i zagłębiliśmy się w Internecie. Po godzinie siadły nam baterie, więc zamknęliśmy komputery i wróciliśmy do tematu.

– Zapytajmy ludzi o Agnieszkę Urbańską – powiedział Waldek i zerwał się z ławki, bo akurat spora grupa szła na wykład z historii średniowiecza.

– Hej, znacie Agnieszkę Urbańską?

Nikt nie znał.

Ki diabeł.

– A niesprawną dziewczynę, która nie mieści się w windzie?

Tym bardziej nikt nie kojarzył. Ich zdaniem wszystkie się mieszczą. Wzruszali ramionami, ale też spoglądali na nas podejrzliwie i trącali się ramionami na znak, że dwóch dziwaków pyta o kogoś, kto powinien być na naszym roku, a kogo nikt na oczy nie widział.

Dobra, wróciłem do dziekanatu.

– Zdjęcie tej Urbańskiej chciałbym – powiedziałem do Pani Wandy. – Nadaje na nas do „Gazety”.

Pani Wanda wyjęła teczkę, z niej kopertę, z koperty zdjęcie i mi wręczyła, z tym jednak zastrzeżeniem że nie wolno z nim wychodzić. Jest do wglądu na miejscu. Kiedy Pani Wanda się odwróciła, zrobiłem telefonem zdjęcie zdjęcia, oddałem, poszedłem do kiosku i Pani Lusia komputerowo mi je wydrukowała. Wróciłem do Pani Wandy.

– A czy mógłbym prosić o namiary tej Urbańskiej?

– Nie.

– Dlaczego nie?
 – Takich danych się nie daje. A co ona na nas nadaje?
 – Co może nadawać? Że schody za strome i winda za mała.
 – Proszę iść z tym do dyrektora działu inwestycji i konserwacji, nie do mnie.

No tak, z Panią Wandą nic więcej załatwić się nie dało, bo była szefową tylko dziekanatu. Inne władze były gdzie indziej. Wróciłem więc do Waldka, który już zaczął na ławce podsympać, bo to wszystko trwało dosyć długo.

– Mamy twarz, to już jest coś – powiedział bełkotliwie, jakby z namaszczaniem, kiedy się przyjrzał fotografii. – Tylko że z tego nic nie wynika. Marne zdjęcie. Pleć żeńska, sądząc po włosach, tyle z tego wynika.

Nagle się przebudził. Przerzucił wzrok z fotografii na korytarz i wskazał palcem Violetkę Piotrowską vel Piotrowicz, która obwieszona aparatami fotograficznymi i statywami spokojnym krokiem przemierzała uniwersytecką przestrzeń. – Zapytaj ją, ona wie wszystko.

To prawda. Violetta była tą osobą na roku, która zawsze wiedziała, gdzie i kiedy są które zajęcia, jak się nazywają wszyscy nasi profesorowie, adiunkci i asystenci oraz czego kto, od kogo i jak wymaga na kolokwiah i egzaminach. Do kogo należy iść ubranym w garnitur, a u kogo za sam garnitur od razu dostawało się o stopień niżej. I tak dalej. Chodząca encyklopedia. Wskazanie Waldka było trafne, Violetta rzeczywiście dysponowała genialną pamięcią obrazkową. Z tego właśnie powodu była przewodniczącą Studenckiego Klubu Filmowego „Taśma” i prezesem Akademickiego Koła Fotograficznego „Passe-partout”.

– Viola, spójrz na tę fotkę – podsunąłem jej zdjęcie. – To Agnieszka Urbańska. Widziałaś tę dziewczynę? Gdzie można ją złapać?

Piotrowska vel Piotrowicz wsparła się na jednym ze swych statywów i spojrzała w sufit, jakby chciała wezwać niebiosa.

– Oczywiście. Ale to nie żadna Agnieszka Urbańska, człowieku, tylko Kabina. Była dzisiaj na ćwiczeniach z analizy.

– A, Kabina! Zupełnie jej nie skojarzyłem z Kabina. Gdzie teraz jest?

– Jak ją znam, to na pływalni, bo dzisiaj czwartek.

Wróciłem do Waldka.

– To Kabina. Jest na pływalni, bo dzisiaj czwartek.

Zerwał się na równe nogi.

– Będą z tego tylko kłopoty. Na naszej pływalni zupełnie nie ma urządzeń dla niepełnosprawnych. Wystarczy, że Kabina zrobi rejestr niedociągnięć, i leżymy – powiedział.

– Nie wiedziałem, że Kabina jest niepełnosprawna. Wygląda tak, jakby wszystko miała na miejscu.

– Dziekan powie, że się nie identyfikujemy z wydziałem, a daliśmy się wybrać na starostów roku tylko po to, żeby mieć to w papierach. Musimy zadziałać.

– Dziekan jest w porządku, nie powie.

– Ale pomyśli.

To był jakiś argument. Zdenerwowałem się. Waldek wyjął cztery gumy do żucia i wpakował do ust (na naszym wydziale papierosów się nie paliło, pozostawało używanie gum). Piątą dał mnie. Zależało nam nie tylko na dobrym imieniu wydziału, ale także na naszym własnym. Przez najbliższe dwa dni mieliśmy się przygotowywać do zaliczenia z numeryki, przez następne dwa do kolokwium z teorii źródła historycznego, ale w jednej chwili z tego zrezygnowaliśmy. Prestiż był najważniejszy, a zwłaszcza to, co o nas pomyśla rektor i dziekan.

– Chodźmy do czytelnicy czasopism, tam będziemy mieli spokój – powiedział.

Ślusznie. Wkrótce rozsiedliśmy się w czytelnicy. Nikt nam nie przeszkadzał, bo kiedy tylko bibliotekarz zobaczył, że się rozsiadamy, zapytał, jak długo będziemy, i gdy usłyszał, że z godzinę, poprosił, żebyśmy popilnowali, po czym szybko wyszedł z portmonetką w dłoni.

– Do jasnej cholery – powiedział Waldek, kiedy zostaliśmy sami – jeżeli nie porozmawiamy z Kabina, nie wyjaśnimy sprawy i nie zmusimy, żeby podawała dziennikarzom prawdę, to nie będę mógł spojrzeć do lustra.

– Okej, zrekapitułujmy wszystko, co wiemy.

– Nic nie wiemy.

– Okej, to już wiemy.

– Kabina nie jest w stanie zaliczyć łaciny i próbuje swoich sposobów, żeby zaliczenie dokonało się automatycznie pod wpływem enuncjacji prasowych. Po artykule w „Gazecie” łacinniczka już pewnie jest w szpitalu i leczy się z zawału.

– Żal mi jej.

– Kabina innych przedmiotów też nie zalicza, więc będzie nadawać do „Gazety” nadal.

– To jakim cudem jest na drugim roku?

– Na pierwszym roku jeszcze nie wiedziała, jak się ustawić, a teraz wie.

– Taka ładna dziewczyna.

– Idziemy na basen.

Na tym stanęło, bo wrócił bibliotekarz i z przyniesionych produktów zaczął z namaszczeniem przyrządzać kanapki. Rozejrzał się i nadstawił uszu. To nie było dla nas dobre towarzystwo. Woleliśmy zmienić temat, żeby nie prowokować nieszczęścia. Rola ludzi, którzy pilnują użytkowników, żeby nie kradli czasopism, polega na tym, że milczą, gdyż kiedy milczą, nic im nie przeszkadza w zapamiętywaniu tego, co widzą i słyszą. A słyszą każdy szelest. Siedzą całymi dniami i potem wyciągają wnioski. Jak czegoś nie wiesz o odwiedzających czytelnię, zapytaj pilnującego, na pewno ci powie, i to kompetentnie. A wnioski mogą być różne. Ponieważ sami nie wiedzieliśmy, o co nam chodzi, nasze wypowiedzi (moje i Waldka) mogły mieć bardzo różny wydźwięk, najzupełniej przypadkowy, natomiast obserwator nas pilnujący mógł je interpretować dowolnie i tym samym opacznie. Nie wiedzieliśmy też, czy to, co zauważy lub usłyszy, zostanie przez niego (po zinterpretowaniu) wykorzystane. Nasz pilnujący zerknął znad artystycznie skomponowanych przez siebie kanapek z pomidorem i ogóreczkiem. Lepiej było się wynieść, choć nie bez ciekawości starałem się przeniknąć sens tych spojrzeń. Dostrzegłem w nich prawidłowość, polegającą na zachowaniu specyficznej kolejności: kanapka, przytrzymanie palcem plasterka pomidora, drugim palcem plasterka ogóreczka, twarz Waldka, ręce Waldka, twarz moja, ręce moje, rzut oka pod stół na nasze kolana (osiem punktów obserwacji) i od nowa: kanapka, paluszek na pomidorku, na ogórku, rzut oka na twarz Waldka – i tak bez końca. Można by to było zapisać w postaci prostego grafu i udowodnić, że każde przejście spojrzenia pilnującego przez punkt obserwacyjny odbywa się zawsze w tym samym kierunku.

– Tak sobie pomyślałem, że mam rozwiązanie zadania z topologii, które nam zadał doktor Pazdurek, o tych przejściach przez osiem mostów w Królewcu.

– W Królewcu było siedem mostów, kolego – mruknął z satysfakcją Waldek, bo był z matematyki lepszy niż ja.

– No i ponad dwieście lat temu, tysiąc siedemset trzydzieści sześć, publikacja pracy Leonharda Eulera – dodałem, bo byłem od Waldka lepszy z historii.

Bibliotekarz z trudem przełknął kęs. Nasza rozmowa do niczego mu nie pasowała, on ją prawdopodobnie rozpatrywał polonistycznie, a nie matematyczno-historycznie. W jego oczach na moment pojawił się obłęd. Był to znak, że trzeba się ewakuować.

Pogłos na pływalni był tak silny, że rozmawiać było nie sposób. Ze słowami mieszał się plusk, a z pluskiem muzyka, która płynęła z głośników, jak

to na basenie. Oczekaliśmy, aż Kabina przepłynie swoje treningowe pięć kilometrów i wyjdzie na brzeg, ukazując dorodne ciało.

– W czym ty jesteś niesprawna? – zapytał obcesowo Waldek.

– Nie mam zamiaru tak tu schnąć, idźcie do szatni – odparła i poszła pod prysznice. Oplukała się, znikła w czeluściach zaplecza, opar po niej opadł.

Była śliczna i w czepku, i bez czepka, nie to co w sukience, w której widywaliśmy ją na zajęciach.

Po godzinie przy wyjściu z szatni doczekaliśmy się Kabiny ubranej w kurtkę i spodnie. Chciałem być elegancki i odebrać jej wielką torbę z ciuchami, ale nie pozwoliła.

– Powiedziałaś dziennikarce, że nie mieścisz się w windzie – ostro zaczął Waldek.

– Nic nie mówiłam. Ja to napisałam.

– Sama?

– A co, uważasz, że nie umiem pisać? – uśmiechnęła się zjadliwie.

– Umiesz, tylko że to szkaluje nasz wydział.

– Nic nie szkaluje – pokazała niebezpiecznie duże zęby. – To nie ja.

– A kto?

– Redaktor prowadzący. Wywalił sobie cztery zdania, bo mu się nie mieściły w lamie, i mój tekst był już o czym innym. Tak to jest z tekstami. Ale to nie ja.

– Może dajmy sprostowanie – powiedziałem.

– Że co? Że winda jest duża?

– No i że schody nie idą tak stromo, jak wynika z twojego artykułu.

– No to daj to sprostowanie – odparła. – Ja nie mam nic przeciwko temu.

– Jak mam dać? Mojego nie wydrukują, nikt mnie w redakcji nie zna. Nie przyjmą.

– Od byle kogo nie przyjmują. Redakcja drukuje tylko to, co ma jakiś przewodni sens.

– Masz problemy z łaciną? – nie dawałem za wygraną.

– A ze schodami? – dodał z agresją w głosie Waldek.

Dociągnęła zamek błyskawiczny w torbie, zarzuciła ją na ramię i bez słowa wyszła.

– Pisz wywiady z samą sobą – powiedziałem.

– Swoją drogą niezła z niej sztuka, nie uważasz?

– Nie liczy się z nikim ani z niczym.

– Idziemy do dziekana.

– Co tam do dziekana, idziemy od razu do rektora.

To jasne, byliśmy wkurzeni. Cała sprawa rozmywała się w domysłach, podejrzeniach. Ktoś coś napisał, ktoś coś wydrukował, ktoś inny coś przeczytał, nic z tego nie wynikało.

– Pokaż ten tekst, przeczytajmy go jeszcze raz – powiedział Waldek, kiedy staliśmy na przystanku, a autobus nie nadjeżdżał.

– „Ofiara rozpoznała gwałciciela...” – zacząłem i urwałem. – To nie to – otworzyłem gazetę w innym miejscu. – To tutaj. Słuchaj – chciałem przeczytać Waldkowi artykuł Kabiny, ale jego to już nie interesowało.

– Zaraz, jaka ofiara? – zapytał. – Wróć.

– Ofiara gwałtu.

– Jak go rozpoznała? – pytał półprzypadkowo.

Waldek najwyraźniej myślami krążył wokół czego innego.

– Mówisz, że pisze sama? – mruknął.

– Na pewno.

– Może mogłaby pisać ze mną – powiedział, wodząc oczami po niebie. – Nie wypadłem sroce spod ogona, też tak potrafię.

Nasza rozmowa na pływalni okropnie go osłabiła. Wyczulem, że impet mu się jakoś wyczerpał. Nie tylko jemu, mnie też, bo gazetowy atak na uczelnię przybladł wobec perspektywy zdawania najgorszego egzaminu w sesji, mianowicie z matematycznej analizy źródła historycznego. Wszyscy go w pierwszym podejściu oblewali. W drugim znali wyuczone formułki, które profesor podał na zajęciach koła naukowego, i przynajmniej mnie udało się zaliczyć to barachło jeszcze w czerwcu. Nie widziałem Kabiny na żadnych wykładach, w „Gazecie” nie ukazywały się żadne jej teksty. Waldka też nie spotykałem.

Coraz częściej mówiło się o nich, że to ładna para, ale nie miałem okazji przekonać się o tym aż do czasu, kiedy w „Dzienniku” pojawił się artykuł o lekceważeniu niepełnosprawnych w jednym z osiedli na Bemowie. To oni! Mieszkalem tam. Śliczna okolica, pięknie zadrzewiona, z placami zabaw, bogata w supermarkety. Strasznie się zdenerwowałem. Rzuciłem wszystko i zacząłem szukać. Waldek miał już wtedy z Kabiną dwoje dzieci, ale to mi w dociekaniach nie przeszkadzało. Przeciwnie, czułem się odpowiedzialny za dobre imię mojego osiedla i postanowiłem działać. Już jako magister, człowiek dojrzały i gotów do wypełniania swojej inteligenckiej misji. Tym bardziej że ani „Gazeta”, ani „Dziennik” wcale – wbrew naszym dawnym, studentkim przewidywaniom – nie padły, miały się jak najlepiej, sprzedawały się świetnie, i to nawet w Internecie, i warto byłoby dobrać się tym gryziopiórkom do skóry. Co ja mówię! Do tyłka.

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiesława Oramus

Szyfry

Weszła ostatnia, kiedy kierowca włączył już silnik. Wypatrzyła wolne miejsce z tyłu, na kole. Usiadła tam, udając, że nie widzi zachęcających gestów i uśmiechów, zapraszających do zajęcia miejsca. Do dołączenia. Do bycia razem.

W czasie gdy paliła jednego papierosa za drugim, odpalając jednego od drugiego, aż do obrzydzenia, do mdłości, w autobusie, jak to w takich sytuacjach, powstały już grupki, odtwarzające koleżeńskie kontakty, hierarchiczne powiązania, sympatie.

Mimo dwóch rzędów siedzeń, poprzez odwrócenie się do tych z tyłu, usadowienie się bokiem, żeby nie było, że plecami do tych z tylnych siedzeń można było wyróżnić kilka takich kręgów złożonych z pasażerów dwóch, trzech siedzeń z rzędów po prawej i lewej.

A na żaden z nich nawet patrzeć nie mogła, do żadnego dołączyć nie chciała. Siedziała w płaszczu, owinięta szalikiem, w rękawiczkach. To było jak powrót do życia z jakiegoś przedziwnego stanu poprzez ból. Ból z zimna. Ból rozbitego kolana, gdy poślizgnęła się, runęła na zamrożnięte bryły, chcąc, jako że ją do tego wyznaczono, złożyć kwiaty. Bolało krwawiące kolano, przemrożone stopy, z powodu butów na zbyt cienkiej podeszwie, po prostu głupiego wyboru w jakimś tam sklepie. Głupiego wyboru w czasie przygotowania się do wyjazdu. Ściągnęła buty, położyła stopy na grzejniku. Siedziała tak przez chwilę, niezdolna do odczuwania niczego innego poza uczuciem rozgrzewania się, całej gamy, palety doznań związanych z rozgrzewaniem się, ekstazy z powodu ciepłych stóp.

W autobusie też już było ciepło, przytulnie, szepty rozmów mieszały się z muzyką z radia, szumem silnika, czasami przerywane to było odgłosami, jakie wydają wyprzedzające pojazdy.

Po jakimś czasie można już było ściągnąć płaszcz, szalik, czapkę, uformować z nich jakiś substytut poduszki, wymościć przestrzeń złożoną z fragmentu siedzenia, szyby, listwy przy szybie, położyć na tym głowę.

Było dobrze, było wygodnie, ciepło, w półmroku zmierzchu za oknami i mroku tego kąta w autobusie. Dopóki mrok nie zaczął przechodzić w czern,

czerni nie zaczęła wchłaniać wszystkich odcieni mroku – od popielatego do stalowego odcienia, potem czerni, aż nie było już nic poza nią – jak w kwadracie w ramkach. I z tego, jak z czarnej mgły, wyłoniła się twarz Kryśki. Taka jak ze zdjęcia z jakiegoś dokumentu. Po chwili ukazał się tułów, widoczny jak u osoby siedzącej za biurkiem, potem blat biurka, na blacie kubek z herbatą, jakieś książki. Zza pleców widoczny był fragment oparcia krzesła.

Chyba tak wyglądała, gdy po wszystkich reorganizacjach, przetasowaniach w salach, gabinetach, kadrach, korytarzach i biurkach zostały przydzielone do tego pokoju, do biurek ustawionych naprzeciw siebie.

– Ładną torebkę sobie kupiłam? – zapytała Kryśka po długiej chwili prezentacji siebie, kubka i blatu biurka.

Potraktowała to jak jej wejście w świat ludzi „z branży”, wiedzących co, gdzie, kiedy się mówi, jaki temat narzuca i jaki nawet system kodowania, bo wiadomo... pluskwy lubią takie pomieszczenia.

– Ładna, szczególnie ładne są te ucha, takie różowitkie.

Kryśka zachnęła się, w taki charakterystyczny sposób potrząsnęła lewym ramieniem i z politowaniem wycedziła:

– Jakie różowitkie, brązowe, brązowe. To jest kolor brązowy.

– Aha, tak, brązowy – wydukała, zdeorientowana.

Ten stan trwał długo, właściwie do końca. Trudno było przede wszystkim znaleźć klucz do jej systemu, rozszyfrować go, bo różowy oznaczał różowy, nic poza tym, a związany był z zakupem jakiejś nowej bluzki, spódnicy, spodni. Czerwony to był czerwony, jeżeli nawet pojawiał się w wielu konstelacjach, wariantach wypowiedzi oznaczał... chyba jednak tylko kolor czegoś tam. Części garderoby oznaczały tylko części garderoby, jeżeli nawet wychodziła zza biurka, okręcała się na środku sali, żeby zaprezentować buty w całości, długość obcasa, szpic. Mniej czy bardziej wąski, oznaczał tylko to. A nazwy sklepów, w których można je kupić, też były tylko nazwami, bo na pytanie „o której godzinie, z kim”, prychała i z pogardą informowała, że godzina zakupów nie ma najmniejszego znaczenia.

– A co? – zapytała kiedyś z nadzieją na znalezienie klucza.

– Ty to chyba jesteś jakaś nienormalna. Co ma znaczenie, co ma znaczenie? Gównno... ma znaczenie.

– Czyli... co?

Krycha nie wytrzymała wtedy, wstała, wzięła swoją torebkę i wyszła. Trzaskając drzwiami.

To pogłębiło jeszcze ten stan dezorientacji. Zmusiło do gorączkowych poszukiwań – nawet po to, żeby uniknąć podobnych starć. Analiza lingwi-

styczna wymienionych nazw sklepów nic nie dała, nie naprowadziła na żadne rozwiązanie, obejście wszystkich tych sklepów też nie zmieniło sytuacji, poza tym, że kupiła coś, co i tak miała kupić. Krycha zauważyła to i skrytykowała zestaw kolorystyczny.

Zapytała wtedy, jaki powinien być. Zapamiętane, zanotowane, przeanalizowane zaprowadziły znowu w ślepy zaułek.

A Krycha kwitła. Krycha była lubiana, Krycha była odwiedzana i całowana w dłoń i podziwiana za smukłą, niezwykle smukłą sylwetkę, prześliczne kreacje. Krycha była całowana w dłoń, nawet przez samego szefa, który to zdecydował o takiej reorganizacji sal, biurek i zestawu personalnego. Koledzy, kiedyś dzielący i pokój, i biurka, i rozumiejący wszystkie kody, systemy też całowali Krychę w dłoń, zachwycali się parzoną przez nią herbatą, kawą, ciasteczkami. Krycha coraz częściej przywoziła je z zagranicznych wojaży.

Na Krychę, co powiedziała tylko wtajemniczonym, czekał ktoś w tym pięknym świecie, a na nią spadała cała praca za Krychę, jako koleżeńska przy-sługa.

Nie przyjmowała tego z pokorą i gdy po kolejnym powrocie prezentowała nowe kreacje, torebki, buty, nowe trendy w makijażu, rzuciła jej na biurko teczkę i wrzasnęła:

– Masz tu wszystko, możesz to dać do publikacji, wygłosić na zebraniu, co chcesz... co stary zechce z tym zrobić. Co ci zaproponuje.

– Oj, nie denerwuj się tak. Po co to robiłaś? Nie mogłaś sobie załatwić zwolnienia lekarskiego?

– Nie mogłam, nie mogłam, bo nawet kiedy dopadła mnie utrata głosu, lekarka powiedziała, że wystarczy tyle nie gadać, to mi przejdzie.

– Może miała rację?

Ze wściekłości istotnie zaniemówiła, a Krycha zapragnęła ją udobruchać i zaczęła wyciągać jakieś batoniki, ciasteczka, zapraszać do spróbowania.

– Nie chcę, natomiast mam nie do powstrzymania chęć na papierosa, tu, przy tym biurku. I palić sobie, dmuchać komuś prosto w twarz i nie przejmować się zakazami.

Wyciągnęła papierosa, zapaliła, stojąc obok jej biurka i dmuchając prosto na nią, na co Krycha miała tylko jedną reakcję; „chamstwo”. A wtedy w drzwiach pojawili się koledzy, koleżanki, nawet szef. Próbowali załagodzić konflikt, na co nie pozwoliła, a nawet zaostrzyła go, siadając na biurku, zakładając nogę na nogę i strzepując popiół do filiżanki z herbatą – oryginalną, cejlońską. Wszyscy, oczywiście, byli oburzeni, a więc mediacje zakończyły się wymuszeniem na niej zgaszenia papierosa, przewietrzenia pomieszczenia,

komplementowaniem Krychy, krytyką jej „nerwowości” i zwolaniem zebra-
nia, na którym Krycha przeczytała to, co było w teczce, za co zebrała po-
chwały i obietnice publikacji, a skarceniem jej za niekoleżeńskie zachowanie
i łamanie przepisów pracy, jednak bez skutków w postaci wpisania do akt
i protokołu z zebrania.

– Masz ohydną sukienkę, wygląda po prostu jak brudna szmata na kolku
w płocie – powiedziała tego dnia Krystynie na pożegnanie, dziwiąc się po-
tem, skąd przyszło jej do głowy takie porównanie. A następnego dnia usiadła
znowu na biurku, zademonstrowała podeszwy butów i powiedziała:

– Ładne mam buty? Ładne mam te resztki psiego łajna na podeszwie,
w które wdepnęłam, zasuważ do roboty przez park?

Krycha obraziła się tak strasznie, że przez kilka dni nie odezwała się
nawet słowem, prezentowała za to, w milczeniu, całą kolekcję strojów, maki-
jaży, obrzucając pogardliwym spojrzeniem jej ubiór, uczesanie, okulary, sza-
liki, torebki, manicure i nawet długopis, bałagan na biurku, zawalonym pa-
pierami, książkami, bo u niej co dzień pojawiał się jakiś bukiet. Chryzantem.
Były i złociste i purpurowe, i białe, i żółte. Pięknie wyglądały, pięknie pach-
niały. Ktoś je przynosił, ktoś znający, co lubi, chcący sprawić przyjemność.
Tajemniczy, pojawiający się pod nieobecność ludzi z pracy „wielbiciel” Krysi!

A po kilku tygodniach okazało się, że znowu jest na zwolnieniu lekar-
skim. A po trzech tygodniach w gablocie, na korytarzu zobaczyła nekrolog.

W autobusie było coraz cieplej, grzejnik wręcz parzył stopy, szalik zaczął
wydzielać zapach... chryzantem. Rękawiczki też. Poczula mdłości.

Ktoś zaproponował postój, kierowca dojechał do najbliższej stacji benzy-
nowej. Poczekała aż wszyscy wysiądą, wejdą do kafejki. Wypaliła dwa papie-
rosy na parkingu, potem poszła jednak tam gdzie wszyscy, usiadła przy jedy-
nym wolnym stoliku w sąsiedniej salce, wypila kawę, zjadła pączka. Wyszła.
Okazało się, że wszyscy siedzieli już w autokarze i czekali na nią. Kierowca
się niecierpliwił. Obrzucili ją spojrzeniami, gdy weszła, ale nie było w nich
nawet agresji, złośliwych uwag, ale ciągle ta... Co to było? Co to było?

Ze wściekłością rzuciła torebkę na siedzenie, przykryła się płaszczem, jak
koldrą. Na szczęście nie pachniał chryzantemami. Po pewnym czasie zaczęła
się jednak i dusić, i pocić, w autobusie teraz nagrzanym już jak piekarnik.
Powiesiła więc płaszcz na wieszaku, usiadła prosto. Z otwartymi oczami.

„Stary” to wypatrzył, zataczając się, jak to w autobusie pędzącym od za-
krętu do zakrętu, dotarł do niej, usiadł na wolnym siedzeniu.

– Jesteśmy ci wdzięczni. Dzięki tobie do końca czuła się kobieta, normal-
na kobieta. Dzięki tym rozmowom o ciuszkach, szminkach...

Spojrzała ze zdumieniem. A więc jednak... jednak...

– Wszyscy wiedzieli, poza tobą. Walczyła, wyjeżdżała za granicę, pomagała jej organizować te wyjazdy duchowny z jej kościoła, wspierali ją finansowo, jak mogli, czym mogli... Wiedzieli wszyscy, nie wiedzieli, że tak szybko, że jednak nie uda się. My nie wiedzieliśmy, co robić, jak się zachować, nie umieliśmy znaleźć się w tym wszystkim. Ona chciała do końca żyć normalnie. A te wasze klótnie i dyskusje o ciuszkach... Wszyscy są ci wdzięczni. Dziękujemy ci.

Chciał ją pocałować w rękę. Udało się uniknąć tego, bo w odpowiednim momencie sięgnęła do torebki, wyciągnęła chusteczki do nosa, zaczęła wycierać łzy; bo płakała, naprawdę płakała. Ze wściekłości, nienawiści. Ale, po chwili, z satysfakcji, że odnalazła jednak szyfr, że to był szyfr. Szyfr, szyfr! Szyfr Krychy.

Wiesława Oramus

Jacek Pankiewicz

Próby podmiotu

Historia niealternatywna

*Fyderał Chopin,
Nokturn cis-moll
op. pośmiertne*

Boże, najdalszy jaki jesteś!
Och, przywróć mi choć jeszcze na raz, rzeczy które tu nie są, a były;
te kilka obrazów i spraw, które miały już swój wyrobiony tryb i zwyczaj,
i żeby to się mogło zdarzać tak lekko, jak gdy o buroszarym ranku dnia
zdarza się Słońce, ruszają wiatry, i życie zaczyna powietrze wokół Ziemi, nawet
i pod nami tam gdzieś głęboko, a także i pośród innych planet –
a ich wieczne porządki, i nasze, tak zapalczywie z pamięci wypierane
teraz, że aż starte,
więc ludzie już nic, tylko myślą tu wokół, że ich nie ma.

1.

Lecz na początku wiedziałeś tylko, że
narodziłeś się, by zrobić w życiu coś.
I to miało być sprawiedliwie –
a do tego jeszcze – byś się zmierzył z wszystkim, co przedtem było ano-
nimowe, a choćby i niemierzalne, dla innych może bez wartości,
lecz dla mnie przede wszystkim nieznanne.
I wciąż zastanawiałem się: od czego zaczyna się mój podmiot?
od kiedy się zaczyna?
Może od wtedy gdy z Ojcem, niby turyści, jechaliśmy do centrum Puszczy,
do samego jej jądra, myślałem, że może tam poznam swój początek, albo
i Początek wszystkiego!
a więc go poznać!
lecz to wtedy mnie, smarkacza, Ojciec tylko poszturchiwał kijaszkiem
w bok, bo coś przeszkrobałem!
'ale co?!'
musiałem czuć już w sobie jakiś podmiot, by się i temu przeciwstawić:

’przecież on poszturchuje mnie niesłusznie!’ uważałem;
wiedziałem też, że nie mogę być ustępliwy!

za to w innych sprawach, gdy zauważyłem jakieś braki w sobie – koniecz-
nie starałem się to nadrobić, dostroić do poziomu, który ja uznaję za słuszny.

2.

Wiadomo nie od dziś, że obowiązkowo niezbędne są trzy pokolenia,
byś się dowiedział, kim jesteś i to, co ci się zdaje – bo ono już jest w tam-
nym!

A z tym się nie zgadzałem; parłem do świata jak byk, jakbym miał ostre
rogi, i ufny, że przy tym tworzę się sam! nie wierzyłem w tamto że –

Lecz oto przyszedł rok 1952, dostałem się na studia w stołecznym mie-
ście. I nie wiedziałem, że ten Uniwersytet do cna już został wytrzebiony.
Nazwisk typu Kumaniecki, Krzyżanowski, Tatarkiewicz już w nim nie spo-
tkasz, one miały nie istnieć już dla nas; nawet gdy ktoś posłyszał, nie miał
prawa powtórzyć ich głośno; bo byli na wygnaniu; że nie wspomnę tu o moim
ulubionym do dziś mistrzu Kazimierzu Dąbrowskim, i teorii dezintegracji
pozytywnej, wskazującej na najbardziej zasadnicze mechanizmy w rozwoju
człowieka; Dąbrowski już przed wojną był czynny, w 1929 obronił doktorat
w Genewie, później współpracował z uniwersytetami amerykańskimi (New
York, Harvard, Illinois), w 1967 czasopismo „Psychology Today” umieściło
go na liście najwybitniejszych psychologów i psychiatrów w historii nauki;
w kraju dopiero w latach siedemdziesiątych zaczął być znany, nawet i gorliwie
studiowany, inteligencja wtedy jeszcze czytała; a i teraz został zapomniany,
uczniowie jego uciekli do biznesu, bo to fajniej! zaś studenci psychologii nie
znają już jego nazwiska; coś się powtarza;

choć na Zachodzie psychologia rozwojowa i empatia znów stają się mod-
ne: na uniwersytetach amerykańskich, w Indii, także i bliżej nas, w Berlinie,
powołuje się ośrodki naukowe, z początku eksperymentalnie, w których lu-
dzie nawet ze środowisk zdegradowanych, wyjałowionych moralnie, znajdują
coś, co zmienia ich zasadniczo, wręcz uzdrawia! odtąd w ich zachowaniu
zdecydowanie górę biorą uczucia przyjazne, życzliwe innym.

Lecz my tu w kraju wolimy dalej dziedziczyć to, co zostawili nam obcy,
okupanci. I pozostajemy wciąż, tak już od czasu wojny, społeczeństwem
o mentalności zaskorupiałej, skłonej choćby na wzór tej, co była przed woj-
ną, kiedy to nie zdążyliśmy jeszcze wielu zmian zacząć –

nam, studentom za żelazną kurtyną, nie wolno było wtedy wymieniać nazwisk wielu profesorów żyjących –

a przyszła w ich miejsce kadra ochotników, z tych, „co im się należało!” z biedoty wiejskiej, nauczycieli z resortu, wszyscy mieli odtąd pełnić misję „we froncie ideologicznym”.

A czy któryś z nich mógł się poszczycić tym, że ma swój podmiot? ba, choćby własny temat?

„...ty już od początku byłeś skazany, by nie być!” – powiedział mi już po studiach kiedyś kolega starszy, partyjny.

Pewien enkawudzista Małojelcewicz był wśród nas! a miał już i staż milicjanta w Moskwie, choć pochodzi z Poznańskiego podobno; do kraju wrócił i tu działał pod nazwiskiem polskim, w mundurze chodził polskiego majora; a zamilowanie i funkcję miał taką, by łowić „wrogów ludu” wśród studentów; z całej Humanistyki on najpełniej *wsio* zanosił gdzie trzeba!

zaś wśród zwierzyny łownej znalazłem się ja. W reżymowym „Po Prostu”, a było to na pół roku przed śmiercią Stalina, ukazał się tekst ilustrowany moim zdjęciem, „wroga ludu”, ujęcie z tyłu, lecz wyraźnie rozpoznawalne, gazetę rozłożono na parapetach sal, w których odbywały się zajęcia.

Z innych przyczynkarzy złego losu wymienilibym tu choćby i opiekuna grupy, człowieka, który niby chciał zaprzyjaźnić się ze mną, lecz dwukrotnie inicjował relegowanie mnie ze studiów; czy innego „obserwatora”, uczelnianego sekretarza partii, który notabene był doradcą „Solidarności” potem, a nawet kandydatem na premiera „wolnej Polski”.

Po tamtym artykule cóż miałem robić? urządziłem głodówkę w dwunastoosobowym pokoju na Narutowicza, i przez pięć dni jedenastu współmieszkańców udawało, że nic nie widzą, aż o własnych siłach jeszcze uciekłem z Warszawy, wprost do szpitala w Białymstoku, bo tam byłem jeszcze znany jako gimnazjalista-dziennikarz (szesnastolatek!), i przez trzy tygodnie odkurowano mnie; przyjechałem do Warszawy akurat na gorzkie żale po śmierci Stalina, na tej to uroczystości niektóre koleżanki mdlały bądź przeklinały, „a niechby lepiej już moja matka umarła niż...”, kolega z roku wstąpił do partii, by potem, już jako jezuita zostać dopuszczonym przed oblicze papieża, który go jednak publicznie skarcił...

a ja wmieszałem się w tłum ostro zdezorientowanych, a potem zacząłem statystować w Teatrze Polskim, w filmie, i odkąd rozwiązano ZMP – zacząłem coraz jawniej zaglądać na uniwersytek; gdy wiele ważnych rzeczy działo się po cichu raczej –

lecz nawet i przez dwa lata po studiach odmawiano mi zatrudnienia –

a przyczyna tego wyroku była i dla mnie niejasna!

był nią fakt, że mój Ojciec w 1917 zorganizował POW w Białymstoku; ja o tym nie wiedziałem raczej, bo raz, że działo się to osiemnaście lat przed moim narodzeniem, lecz przede wszystkim względy konspiracji! szybciej by nas wywieziono w 1939, gdy wkroczyli Sowieci;

ale i w drugą stronę skutki się liczą!

„człowiek w mundurze” mógł inkryminowany fakt odkryć jeszcze za swego pobytu w Moskwie;

zanim tu przyjechał... by studiować filozofię.

3.

Kiedy z Ojcem jechaliśmy wtedy do lasu, ja miałem zajęte ręce kierowaniem, nie mogłem się bronić, gdy Ojciec poszturchiwał mnie kijkiem – za co?

za gorliwość najpewniej! bo dzień wcześniej, kiedy dorwałem się do koni i pługą, ja ośmiołatek, to poszedłem sobie orać pole, wprost jak ten w Biblii na obrazku!

orałem orałem, aż całe zaorałem,

w tym rzecz, że i o kawalek więcej, na zapas.

A było to już obce pole. Więc i moje przestępstwo!

Gdy mnie chodziło tylko, by tak po bożemu poszerzyć zasięg porządku – i przy okazji nieco powiększyć pole, boki wyrównać.

Pewnie nawet nie chodziło mi o uznanie, byłem za skromny na to! lecz o zadokumentowanie istnienia własnego podmiotu najprawdopodobniej, wszak miałem już te osiem lat – musiałem chcieć poczuć, ten podmiot!

Nic nierozumiejący Ojciec wybijał mi to z głowy, w bok kijaszkiem. Lecz nigdy nie myślałem, że to słusznie! wszak zamach na cudzą piędź ziemi ani na chwilę nie postął w mojej głowie.

... a potem już było gdzie indziej; i stało się to na drodze; byłem na świecie sam – nikogo więcej, żadnego świadka, i tylko ja, i ta zmarzlina wieczna, zeskalona gruda!

o brzasku zimowego dnia to było, mroźnego na dwadzieścia stopni, jak okiem sięgnąć biała pustynia wokół, a ja idę sobie po raz pierwszy do szkoły; tam mogliby się pojawić i żołnierze, bo było to zaraz po wojnie, wszędzie ich się spodziewałem;

lecz mogli tam być tylko obcy żołnierze, bo naszych wciąż było za mało.

Kiedy słucham Bacha teraz, i tej jego arii, zaraz tamten obraz się pojawia; i co dziwne – wszystko jest latem! a jakże chłopiec ma tam marznąć latem, gdy wokół mróz i zawierucha – a on marnie ubrany?!

i pojawiają mi się lany zbóż różnorakie, a nawet i żołnierze, już nasi, na przekór tym, którzy tam na pewno wtedy mogliby maszerować!

och, jakąż ja siłę miałem wtedy, że naszych tak pożałowałem! dziewięcioletek musiałem mieć siłę i upór, by przeć się do szkoły, o mroźnym brzasku dnia, przez długie kilometry! bo były tam rzeczywiście głębokie śniegi, a zdarzały się i zadymki, gubiłem w nich drogę!

...ale to znaczy, żeby tak iść i iść! że miałem już charakter wtedy!

zaś o podmiocie to nawet i nie pomyślałem; nie wiedziałem nic o nim; tylko upór i siłę, i iść!

nie tak jak teraz, gdy mi tu na kawalerce gra Bach, tę może i *Arię na strunie g*, kiedy ja widzę przebogate pola tam kwitnące, latem! nic mrozu nie czując;

'ach, cóż za aromat musiał iść od tych pól wtedy!’, myślę.

4.

A czy jak się idzie – to nie jest się bardziej wtedy?

dziś jak się gdzieś idzie –

to by zobaczyć gdzieś coś!

co ode mnie i nie zależy!

a wtedy...

Więc może i nie działa żadne prawo do odkrycia inności, gdy się idzie byle jak i idzie?

a co tam wtedy mówić i o sprawiedliwości!

5.

No bo jest jeszcze – ponad wszystkim – ciekawość wszystkiego!

Dla niektórych już i jej nie ma! Coraz liczniejszych.

I kto by pomyślał, że z ludzkich trzewi da się ją tak łatwo wytrawić, niby głód wyjątkowego stanu, uczucia!

Jeśli lubisz jeszcze, człowieku, wkraczać w niepoznany kraj, czy w egzotyczny obyczaj, posłuchaj tu tego:

jeśli nie wyobrażasz sobie, by ktokolwiek już nie chciał!
nie wkroczyć na nieznany łąd, nie zostać jego odkrywcą?!

Posłałem niedawno do redakcji pewnej list, z tekstem, między nami mówiąc humoreską.

I o dziwo, na odpowiedź nie musiałem długo czekać.

„Szanowny Panie,

jeszcze przed otwarciem pliku daję znać: zasadniczo nie drukujemy tekstów nieznanych. Choćby i opowiadań Salingera”.

I aż jakbym nie uwierzył, że to gazeta?... jak to? wszak od powstania gazet rozwijały się całe społeczeństwa! ja sam, od najwcześniejszej młodości... w gazecie się uczyłem, i rozwijałem, i produkowałem! to dzięki gazecie chodzi dziś po świecie jeden świadomy człowiek więcej! czyż dziennikarz, który nie przepuści nowince żadnej... wszak to gazety mają służyć ludziom – a tam jest on!

i ten biedny Salinger, niedoczytany kiedyś przez Pana Redaktora – jakby spóźniony już o dziesiątki lat! miałby jeszcze „zabuszować w zbożu”! nieoczytany piętnastolatek wciąż trzyma jeszcze za gardło starszego Pana Redaktora! który żadnym odkrywcą nie został nigdy?! bo się nie doczytał? nie musiał?

Dokąd wiodą koleiny z odległych epok?!

6.

I przyjaciół szukałem. Długo, najdłużej.

Wcześniej, później. Wszędzie.

Pamiętam najpierwszy, ten bardzo ważny moment, gdy się oświadczyłem Kamieniowi w Górach,

on tam leniwie wylegiwał się na Słońcu, to i ja tak chciałem.

On aż do wieczora na słońcu się grzał, a kiedy dzień się kończy, stygl; Kamień – to także i ja; przez całą noc marzliśmy razem; ledwie zdrzemnąłem się nad ranem; bo towarzystwa się w przyjaźni nie odmawia;

Kamień mi jej nie odmówił, wiernie leżeliśmy niemo.

’I oby tak całe życie!’, pomyślałem.

Aż rano, zmarznięty, zawahałem się, mam nie pójść w drogę?

’przecież ja nie mogę tak przez całe życie? na świecie przydałby się i ktoś ruchomy! tamte Góry dalekie już zalecają się, mógłbym je poznać!’

Zdradliwie wyruszyłem w drogę.

7.

A taki przykład, *Dafnis i Chloe* Ravela?
 To jakby to, czym był dla mnie Serwitut. I nadal wciąż jest!
 Jak tylko pomyślę – już jestem tam. Chociaż wciąż tu tkwię raczej.
 Lecz gdybym tam był, na pewno bym podziwiał!
 Przecież nie mogę powiedzieć, że jak tam byłem, to czegoś nie było.
 Teraz gdybym tam był – to by się coś działo!
 na razie tu jestem, i nie staje się nic.

8.

Ale szczęśliwie zdarzyło mi się, że poznałem parę tysięcy Dam.
 Wszystkie po drodze. I było ich tak wiele.
 Żadnej z tych tysięcy nie udało mi się ośwoić na tyle,
 byśmy pozostali spory czas razem – choćby w okolicach
 szeroko rozumianych, szeroko pojętych odniesień wzajemnych –
 i uznanych względem siebie wymagań –
 czyli krótko mówiąc na wyłączność,
 bynajmniej.

9.

A dzisiaj, tuż przed chwilą, gdy to notowałem, dzwonek do drzwi: jakiś
 facet chce mi sprzedać „okazyjnie komplet zagranicznych sztucców, z Za-
 chodu!”

może to i okazja! pomyślałem, odmówilem;
 facio odszedł, za chwilę wrócił!
 – sprzedam panu wszystkie za pięć złotych! powiedział;
 'o, to już nie okazja! to wielka groźba dla mnie, przecież staruszka! jakie
 niebezpieczeństwo!
 pomyślałem – czym prędzej zatrzaskałem przed nim drzwi.

10.

Jak się powiada, już Grecy mówili, i powtarzali, że nie należy ufać poetom.

Poza kłeceniem rymowanek nikt nie chce też współczuć z innym! może i nie potrafi.

Sami w sobie, zadufani, nieznający życia, nieufni.

Broń boże dopuścić takich do rządów! Tak sobie życzą, bo wszyscy są obcy, i ogółowi, i każdemu z osobna.

A przecież bywają i gorsze zawody. Na przykład prawnicy.

11.

Jacek Kalabiński, już nieżyjący! a był dla mnie jak młodszy kolega, przyjaciel, mistrz! żaden tam marzyciel, ani poeta, prawnik! Skromny, lecz z wielką wyobraźnią, jaka szkoda, że dziś takich nie ma! Pochodził z rodziny historyków, on teraz wiedziałby, jaką to ma Polska być!

Miał głowę; miał też i piękną, mądrą żonę, Monikę M., sam się w niej podkochiwałem.

Jakże on pięknie, już od wstępu, przeprowadził Wałęsę przez amerykański Kongres, i uczynił go zwycięzcą! od frenetycznych braw aż zatrzęsła się ziemia!

On bo, „dziennikarz totalny”, mówił, że nie ma tematów niemożliwych! prezes Warszawskiego Oddziału SDP, i tego jeszcze z podziemia, znany był nie tylko za „We the people!”, które mam w uszach! bo głos miał świetny, ale i talent, rozum nieprzeciętny, dziesiątki artykułów do radia, gazet, BBC i „Wolnej Europy” słał; mówił i dowodził, że nie ma tematów niemożliwych...

i sam byłby najpewniejszym kandydatem – nie na prezydenta, lecz na króla! Bo on jeden wystarczyłby, żeby Polskę pokochać! król, który na nią patrzyłby – z punktu widzenia rządzonych!

i zorganizowałby armię na wzór swego pułkownika Stryja, (rok 1920!);

i popędził gdzie pieprz rośnie narkorobów, wyniszczających kraj!

...zafundowałby nam historię alternatywną! Życie jak za Reagana.

A stał się tragicznym wypełnieniem losu – w obliczu choroby, na dwa tygodnie przed śmiercią, pozbyła się go własna redakcja, „GW”. I szybko zapomnieli wszyscy. Tam, gdzie barbaria rządem, Bóg w duszę nie zagląda; duszę?

Tutaj nikt już nie uprawia empatii.

Ziele, konopie. Z tego jest hajc.

2 maja 2016
Jacek Pankiewicz

Małgorzata Karolina Piekarska**Maciej Piekarski****Z szuflady ojca***(fragment)*

Od dawna nurtowała mnie ta sprawa. Minęło przecież od tamtego czasu trzydzieści trzy lata. Wielokroć przez ten czas otwierałem szufladę odziedziczonego po ojcu biurka. Wpadała mi w rękę żółta koperta. Znajduje się na niej wykonany ręką Ojca równym, wprawnym pismem wyblakły już dzisiaj nieco napis: „Listy Tchorzyny”. Częstokroć otwierałem kopertę. Leżą w niej częściowo zaczerwienione od grzyba kartki zapisane niewprawnym pismem. Wśród nich jedna z tekstem zapisanym na maszynie, z nadrukiem w języku niemieckim: „Polnisches Hilfskomitee Hauptausschuss”. Niżej pieczętka w czerwonym tuszu i niemiecki podpis.

Wśród listów są też trzy zdjęcia.

Jedno z nich przedstawia maleńkiego chłopczyka z ogoloną główką leżącego w żelaznym łóžeczku. Jego duże oczy zdradzają jakby przerażenie.

Drugie zdjęcie przedstawia tego samego chłopca. Ma już włosy. Są ciemne, spadają mu grzywką na czoło. Buźka uśmiechnięta, a w oczach wesoły blask.

I wreszcie trzecie zdjęcie.

Na tle siatki jakiegoś ogrodu siedzi sztywno na krzeselku wiejska kobieta. W spracowanych dłoniach trzyma torebkę. Po obu stronach kobiety stoją dwaj chłopcy ubrani w nieco przydługie spodenki sięgające niemal do kolan. Ten chłopiec z prawej strony trochę wyższy, ma około dwunastu lat. Ten z lewej wygląda na lat siedem. Obydwaj stoją sztywno wyprostowani, trzymając przed sobą w dłoniach święte obrazki.

W 1976 roku, któregoś majowego wieczoru znów sięgnąłem po kopertę. Wyjąłem listy i zdjęcia. Patrząc na zdjęcia porównywałem zdjęcia kobiety i zdjęcia tego maleńkiego chłopczyka z ogoloną główką w żelaznym łóžeczku.

Wspomnienia o tej kobiecie, o jej dzieciach wróciły jakby to było dziś. Postanowiłem napisać artykuł o Janku. Tego samego wieczora usiadłem przy ojcowym biurku. Rano artykuł był gotów. Zatytułowałem go „Syn dwóch matek” i wysłałem do redakcji „Stolicy”. Ukazał się 20 czerwca 1976 roku.

Musiałem teraz napisać do Janka – wysłać mu „Stolicę”. Nie widzieliśmy się dwanaście lat. Czekałem na wolną sobotę trzeciego lipca. Drugiego lipca naszkicowałem brudnopis listu. Długo go pisałem. Nie zdążyłem wysłać. Trzeciego lipca, gdy po powrocie z miasta włożyłem klucz do zamka, u sąsiadki naprzeciw otworzyły się drzwi.

– Panie Maćku, ma Pan gościa! – Za plecami Pani Hanki dostrzegłem czarną czuprynę Janka.

Długo trwało powitanie. Stojąc w pokoju Pani Hanki, obejmując Janka, trzymany przez niego w ramionach, dostrzegłem leżącą na stole „Stolicę”...

Od TAMTYCH DNI przed trzydziestu trzema laty wiele się zmieniło. Odeszli kolejno: Antek, którego żołnierska mogiła pozostała na jednej z płonących ulic Śródmieścia w 1944, później Dziadek, Ojciec, Babcia Zosia, Babcia Karolcia i wreszcie na ostatku Matka.

Janek nie znalazł mego obecnego adresu. Ocalało jednak mieszkanie z tamtego czasu. Mieszka w nim teraz mój młodszy brat Bronek, którego wówczas nie było jeszcze na świecie. Janek skierował swoje pierwsze kroki właśnie tam, do starego mieszkania.

Rozpoznał stare kąty. Piec, za którym razem z naszą matką układał wówczas w 1943 polana. Pokój, w którym stało jego łóżeczko, korytarz piwniczny, z którego wygnali nas Niemcy drugiego września.

Halina z Małgosią były w Chelmie u teściowej. Mieliśmy dwa dni dla siebie.

Wieczorem w piątek, tego samego dnia, co przyjechał Janek, zatelefonowałem do Haliny. Telefon odebrała Małgosia. Powiedziałem, że przyjechał Jasio. Małgosia przekazała to Halinie.

W niedzielę wyruszyliśmy z Jankiem obejść jeszcze raz stare wojenne kąty. Gdy byliśmy „na szlaku”, wróciła Halina z Małgosią. Zaszła do Pani Hanki dowiedzieć się, co słychać. Rozmawiały o Janku i jego losach. Małgosia, jak zwykle ciekawska, dopytywała się niecierpliwie:

– Mamusi! Jak to było z tym Jasiem!

Zniecierpliwiona Halina odpaliła:

– Dla kogo Jasio to Jasio! Dla ciebie Stryjek Janek! Masz dziesięć lat, umiesz czytać, na biurku u Ojca leży „Stolica”, idź do domu, przeczytaj i nie zawracaj głowy!

Małgosia wyszła. Po kilkunastu minutach wróciła, szlochając i ładując się Halinie na kolana.

Strach przed utratą domu

Nie wiem, czy wiesz, Tato, ale dla dziewięciolatki, którą wówczas byłam, treść artykułu okazała się wstrząsająca. Przecież wojnę oglądałam do tej pory przez pryzmat przygodowego serialu wojennego dla młodzieży pt. „Czterej pancerni i pies”. I nie wydawał mi się on specjalnie okrutny. Owszem, w „Pancernych” była śmierć, ale w walce z bronią w rękę. Był i obóz koncentracyjny, ale wyzwalany. Była nawet pokazana germanizacja, ale wszystko dobrze się kończyło. Przecież chłopiec, bawiąc się blaszaną żabką, wracał do Polski. To, co złe, było tak naprawdę poza serialem, czego wtedy, jako dziewięciolatka zupełnie nie byłam świadoma. Co prawda oboje z Mamą często mówiliście mi, że Niemcy tylko na filmie byli tacy głupi. Ale czy nie chciałam wierzyć? Czy filmy były bardziej sugestywne? Dlatego do momentu lektury Twojego artykułu, z którego spojrzało na mnie inne oblicze wojny, nie czułam tego, czym ona jest. Jawiła się bardziej jak przygoda. To, co było w Twoim artykule, było bardziej konkretne. Jego treść dotyczyła przecież naszej/mojej rodziny. Pokazywała okrutny świat. Tkwiła w nim Twoja Mama, a moja Babcia Janka, którą przecież pamiętałam, jako wesołą kobietę w szarej spódnicy. Pamiętałam, jak mimo usunięcia krtani czytała mi szeptem książki. Cierpliwie znosiła fakt, że ją przedrzeźniałam. A tu nagle dowiadywałam się, że narażała życie. Że po prostu mogło jej nie być. Zaczynałam mieć wyrzuty sumienia, że kiedyś byłam dla niej taka niegrzeczna. Że chodziłam za nią po domu, kręciłam, jak ona, śmiesznie pupą, mówiąc co chwilę „pszy, pszy, pszy”. Potem przychodziła refleksja, że mogło też nie być i Ciebie. A gdyby Ciebie nie było, to co? Nigdy nie poznałbyś Mamy. A wtedy? Na pewno nie byłoby mnie.

Ten lęk z dzieciństwa przypomniał mi się kilkanaście lat temu, gdy koleżanki córka, dziewięcioletnia wówczas Agnieszka, dostała temperatury, bo przez przypadek obejrzała w wieczornych „Wiadomościach” relację z eksmisji z mieszkania w bloku jakiejś samotnej matki z trojką dzieci. Eksmitowana zamieszkała z tymi dziećmi przed blokiem, na trawniku, w namiocie. Dziewięcioletnia Agnieszka nie wiedziała, że tamta matka latami nie płaciła czynszu. Dlatego przestraszyła się, że za moment to samo spotka ją i jej mamę oraz młodszą siostrę. Po prostu zamieszkają w namiocie. Długo zajęło nam tłumaczenie dziewięciolatce, że może być spokojna. Że ją to nie spotka. Nie zamieszka w namiocie na podwórkowym trawniku.

Mnie tego, że boję się na zapas i właściwie bezpodstawnie nikt nie wytłumaczył. Do wyjazdu na Borowinę byłam z tym swoim lękiem sama. Nie

umiałam o nim rozmawiać. Zresztą z kim? Ty byłeś zapracowany. A Mama, Twoja Żona, ciągle żądała, abym była duża. Staralam się więc taka być. Dlatego o tym Twoim artykule nie rozmawiałam z nikim, ale myślałam o nim bez przerwy. Pamiętasz, jak znów miałam kłopoty ze snem? Były one jednak inne niż wtedy, gdy poznałam sztucznego człowieka. Historia z nim nagle wydała mi się banalna. Kim był sztuczny człowiek? Bohaterem jakiegoś filmu. Dziś myślę, że głupiego. Zobaczyłam go przez kilka minut, gdy poszłam po Mamę do naszych sąsiadów. W ich salonie grał telewizor. Trafiłam na scenę, w której pewien pan grał na gitarze. Potem pokłócił się z innym panem i wstał. Odchodził już, gdy ktoś zawołał go po imieniu. Odwrócił się, stracił równowagę i upadł tak nieszczęśliwie, że uderzył głową w ziemię. Głowa otworzyła mu się, ukazując w środku sprężyny. Przeraził mnie do tego stopnia, że nie mogłam w nocy spać. Balam się, że sztuczny człowiek wyjdzie do mnie z kaloryfera. Pamiętasz, że przez wiele lat zawsze, gdy kładłam się spać, musiałam mieć zapalone światło? Wiele nocy spędziłeś przy moim łóżku, czekając, aż zasnę. Czasami śpiewałeś mi piosenki lub opowiadałeś o tym, że kiedyś będziemy mieli psa i pojedziemy z nim pod namiot.

Bez tych Twoich śpiewów i opowieści w ciemnościach sztuczny człowiek przychodził do mnie, otwierał swoją głowę i pokazywał sprężyny. Z czasem przestał się pojawiać. Zdarzały się wieczory, kiedy zasypiałam już bez włączonego światła nocnej lampki. Jednak po tym artykule lęk przed ciemnością powrócił. Tyle że z kaloryfera wychodziło coś gorszego. Nie umiałam tego określić. Było jak setki rąk, jak tupot podkutych butów, jak niemieckie wołanie „schneller”, które znałam z „Pancernych”. To coś odrywało mnie od Was obojga. Izolowało. Dlatego lubiłam, zasypiając, wsłuchiwać się w terkot Twojej maszyny do pisania, dźwięk telewizora i Wasze z Mamą rozmowy. Dziś myślę, że to szczęście, że nie znałam jeszcze wtedy wiersza Marii Gmyz:

*Gdy mnie resztkami łez żegnałaś Mamo
Nie umiałem Ci jeszcze powiedzieć słowa „Kocham”
Nie potrafiłem zapytać dlaczego
I z jakiego powodu stale było zimno
Dlaczego choć truchlało zbolełe małe serce
Siłą wyrwano z twoich rąk mą nadzieję...*

W sumie dobrze, że nie wiedziałam jeszcze wtedy, że los Twojego wojennego Brata, a mojego Stryja Janka nie był wyjątkiem. W Twoim artykule niby to było, ale dziewięćciolatka nawet jak czyta całość, to przyswaja treść

wybiórczo. Suche fakty, liczby, nie docierają do niej tak, jak historia konkretnego człowieka. Dociera do niej fabuła. Dlatego szczegóły wylowiłam z tekstu dopiero po latach.

Twój artykuł nie był jedyny. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pojawiło się sporo publikacji na temat Zagłady Zamojszczyzny i Dzieci Zamojszczyzny. Były momenty, gdy zalegały stosami Twoje biurko. Niektóre przerażały tytułami. Na przykład: „Dzieci polskie oskarżają”. Inne i tytułami i okładką. Na przykład: „Czas niewoli, czas śmierci”. Rozumiałam to w ten sposób, że wtedy innego czasu nie było. Książki bałam się, ale... mimo strachu zajrzałam do niej. Jak i do wielu innych. Bo ciekawość czasem zwycięża strach. W większości natrafiałam na zdjęcie Twojego wojennego Brata, a mojego Stryja. Wprawdzie były tam inne bardziej przerażające, jak potwornie wychudzonych dzieci w oświęcimskim szpitalu, ale obecność fotografii Stryja w tych książkach uświadamiała mi, że ta historia nie jest tylko jego historią, czy historią naszej rodziny. Jest historią Polski.

Wtedy nie wiedziałam, że w Polsce istnieje sześć szkół im. Dzieci Zamojszczyzny. Ty też tego nie wiedziałeś, bo te nazwy nadawano później. Uczniowie tych szkół przechowują pamięć o tej historii swojego regionu. Ale spotkanie z tamtymi Zamojszczakami uświadomiło mi, że być może uczniowie tych szkół imienia Dzieci Zamojszczyzny to jakiś wyjątek?

Czemu reszta nie wie, że tuż po agresji Niemiec na Związek Radziecki przybył do Generalnej Guberni Heinrich Himmler, który zwiedziwszy Lublin i Zamość zlecił utworzenie wokół Zamościa „niemieckiego okręgu osiedleńczego”? Czemu nie wiedzą, że nowi osadnicy mieli rekrutować się przede wszystkim spośród członków SS i ich rodzin? Ten generalny plan hitlerowców przewidywał zniemczenie wielkich obszarów Europy Wschodniej, a więc likwidację narodu polskiego. Zaczęli od Żydów, ale Polacy byli następni w tej upiornej kolejce. Czemu dziś reszta nie wie, że na tereny eksperymentalne, na których postanowiono przeprowadzić pierwsze próby zniemczenia wyznaczono cztery powiaty: zamojski, biłgorajski, tomaszowski i hrubieszowski?

Rzadko kiedy mówi się dziś o tym, o czym Ty wtedy wiedziałeś i o czym pisałeś. Że mieszkańców wsi przewożono do obozów przejściowych, gdzie dokonywano selekcji rasowej. Oddzielano żony od mężów, dzieci od matek. To tego się tak bałam w dzieciństwie. Bałam się, bo bałam się wojny. To Ty, choć nie mam o to pretensji, zaszczepiłeś mi ten strach. Zaszczepiłeś go nie tylko tym artykułem, ale też masą innych rzeczy. Przede wszystkim tym mówieniem, że coś się przyda, jak by była wojna. Nawet w domu po Prababci

Karolci Adamskiej, a Twojej Babci, gdzie teraz mieszkam, nie zgodzili się na rozebranie kuchni węglowej. Pamiętam Twoje słowa:

– Jak będzie wojna i gaz nam wyłączą, to się jakoś ogrzejemy.

Ale nie Ty jeden ten strach we mnie zaszczepiałeś. Twoja przyjaciółka z Powstania Warszawskiego, Ewa Syczewska, która po wojnie została dentystką, miała w swoim gabinecie w domu nożną maszynę dentystyczną. Kiedyś, gdy byłam u niej z wizytą, spytałam:

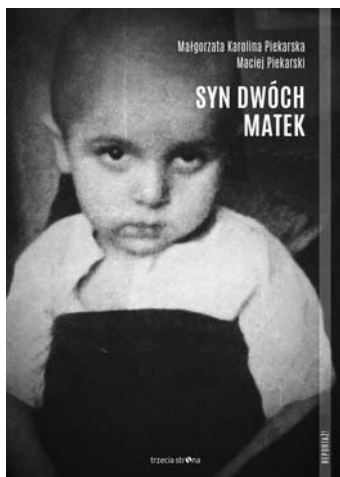
– Ciociu, po co Ci taka maszyna?

– Gdy nie daj Boże wybuchnie wojna, a wyłączą prąd, to ja nadal będę mogła ludziom leczyć zęby.

To ona zresztą powiedziała mi kiedyś, że to, że Twoi rodzice, a moi Dziadkowie, wzięli z sierocińca Twojego wojennego Brata, a mojego Stryja Janka, to właściwie wielkie bohaterstwo. Wtedy zdziwiłam się, ale kolega Twojego starszego Brata, a mojego Stryja Antka, Jurek Sienkiewicz pseudonim „Rudy” powiedział mi kiedyś, że to Ciotka Ewa w czasie okupacji zrobiła kiedyś swojej ciotce, pani Topczewskiej, awanturę. Gdy ciotka Topczewska prezentowała postawę zachowawczą, wówczas zbuntowana nastoletnia Ewa wykrzyczała ponoć:

– U Piekarskich bieda aż piszczy, a obce dziecko wzięli z sierocińca, zaś ciocia taka bogata, a dla obcych nic nie robi i wszystkiego wszystkim żałuje!

Tak więc wtedy, gdy w lipcu 1976 roku zarządziłeś wyjazd na Zamojszczyznę, pojechałam z ochotą. Chciałam zobaczyć, czy dziecko, którego los tak mnie przeraził, że odebrał mi spokój, jest szczęśliwe i bezpieczne.



Małgorzata Karolina Piekarska

Małgorzata Karolina Piekarska,
Maciej Piekarski, *Syn dwóch matek*
Wydawnictwo Trzecia Strona. Wydanie I.
Stron 250. Data premiery: 27.10.2016

Krzysztof Rudziński

Zasnute kłęby robacji

Działo się to w tej schyłkowej, smutnej porze końca wakacji, bez nadziei choćby na „babie lato”, jaką zwykł przynosić później wrzesień ze swoim wyjątkowym, niepowtarzalnym światłem, malującym jesienną dojrzałość wszystkich rzeczy.

Na tych rubieżach sierpniowych przekwitało właśnie ostatnie z ziół lata: *Przywrotnik pospolity*, zwany potocznie „najlepszym przyjacielem kobiet”; znikaly pod płaszczykiem cieplejszych okryć niestety i te ich powaby, którymi przemówiły tak zjawiskowo do mojej chłopięcej duczy, niedawno temu, ich nogi, wysmukłone znacząco szwem pończoch, szczegółem rzecz ujmującym a w samej rzeczy prostym.

Któregoś z tych, pogodnie fałszywych, udających jeszcze letnie, wieczorów, podszytych już nieznacznie odczuwalną podszewką chłodu – bawiliśmy z bratem w ogrodzie niedaleko jego wschodniej bramy, kiedy wujek Miccio przekopujący nieopodal grządkę, przywołał nas do siebie.

Przyciśnięty szpadlem do ziemi leżał tam jakiś sporych rozmiarów – nigdy dotąd przez nas niewidziany – stwór, nie wiadomo rak to czy owad?

Przeglądaliśmy się mu z ciekawością pomieszaną z odrazą.

Nagle, spróbował uciec spod łopaty, by ukryć się w miękkiej, skopanej ziemi.

– *Turkuć podjadek*, straszliwy szkodnik – wyjaśnił nam wujek, rozplatawszy potwora ostrzem szpadła.

Później długo jeszcze dokładnie oglądaliśmy go w świetle latarki, ale mnie, bardziej niż wygląd owada, poruszyła ta jego niezwykła nazwa.

I kiedy kilka dni później w szkole na lekcji przyrody pani Wiernicka, nasza wychowawczyni, wspomniała o świecie owadów – wyrwałem się, że niedawno widziałem *Turkucia podjadka*, fantazując przy tym, który z członów nazwy mógłby być jego imieniem, a który nazwiskiem.

Oczywiście, pani uśmiechając się, powiedziała, że tak nie można stawiać sprawy, bo owady, w przeciwieństwie do ludzi, nie mają przecież imion i nazwisk. W istocie jednak ich nazwy składają się zazwyczaj z dwóch członów i niejednokrotnie brzmią bardzo zabawnie.

Chciałem poznać te nazwy, więc pani wypożyczyła mi kolorowe tablice z wizerunkami owadów, pod warunkiem że coś o nich napiszę i później

przeczytałem w klasie. Dostałem na to miesiąc wraz z obietnicą pomocnych konsultacji, w razie trudności.

Nie było takiej potrzeby, gdyż w bibliotece rodziców, w przedwojennej Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powszechnej, która nie wiadomo jak przetrwała Powstanie – odnalazłem na szczęście wiele materiału do mojej pracy.

Już od samego początku moich twórczych dociekań urzekł mnie poetycki czar emanujący z tych nazw owadów. Poświęcić mu miesiąc życia nie wydawało mi się ceną wygórowaną, wobec tych wszystkich zawołanych treści jakie raczył odsłaniać zaufanemu badaczowi słowa, pod płaszczykiem, czyli najczęściej pod pokrywami skrzydeł swych nosicieli.

– Bo czegoż tam nie było? Co za poetą musiał być ów Adam Rajski, przed którego oczami (wiedziałem to już z lekcji w salce katechetycznej) przepuścił Bóg gromady tych wędrowców, żeby je nazwał, aby były dobre. Co za natchniona wyobraźnia, jaka żywa fantazja i odwaga twórcza, co za znajomość rzeczy, dopatrujące spojrzenie i poczucie humoru. Wszystkie przeszły moją imaginację, dołączając do *Turkucia podjadka*.

Niektóre były jeszcze dość pospolite a nawet swojsko brzmiące, znane z obserwacji własnych jak na przykład *Żuk gnojny* albo nietrudne do wyobrażenia niczym *Kompostowiec świecący* – ulokowany konkretnie w wonnym ciepłku, na ustronnym materiale, gdzie czuł się tak na swoim miejscu, że aż świecił z radości.

Inne znów jak *Włosogłówka ludzka* – bliskie człowiekowi samą dogłębną obecnością, stawaly choćby w pólslowie na wysokości swych ludzkich zadań.

W tej właśnie chwili zasugerował się mojej prywatnej inicjatywie, wszak (zobaczcie jak głęboko wszedłem w powierzoną mi rolę) byłem przecież wnuczkim kapitalisty, czyli dziadka Sylwestra – cokolwiek zakamuflowany tytuł dla mojego robaczego wypracowania: „Zasnute kłęby robacji”; nie będący bynajmniej w pełni owocem mojej indywidualnej, oryginalnej myśli twórczej, ale jak przystało na kolektywnego ducha czasu, inspirującym mnie odkrywczo zapożyczeniem z pewnego znanego wówczas plakatu o zapłutych karłach reakcji.

Czułem, że to podłoże jest praktycznie nie do wykrycia dla specjalnie w tych celach powołanych służb śledczych kuratorium szkolnego. Zresztą minimalną, choć istotną, różnicę pomiędzy akceptowalnym klasowo robaczym, a robaczym charakterem mojej działalności, mogłem zawsze zrzucić na podziemną robotę takiego choćby wroga ustroju jak chochlik drukarski; a w ostateczności na zrzucałą wówczas z imperialistycznych samolotów – *Stonkę ziemniaczaną*, której w końcu mój temat przecież robaczko dotyczył.

W tym momencie dla jeszcze większego zagmatwania i zatarcia śladów, przeszedłem w krok całkiem obojętnych rozważań na temat sposobów poruszania się mych bohaterów, aby nie nadwyrężając zbytnio umysłów ewentualnych mysikrólików z Mysiej, napuścić na niespodziewających się niczego podobnego tabun zgryźliwych *Gryzków*, *Nęków*, *Doskwierów* i *Drwionków* – tak im podobnych.

W ochotniczej rezerwie MOjego odvodu pozostawały jeszcze: *Przylepek wielozerek*, *Pokątnik żłowieszczyk* i *Gieź żółądkowy*.

I chociaż dajmy na to taki *Skoropędek* mógłby bardzo zainspirować niejednego z co smutniejszych z tych panów i prowokować nawet do pościgu odpowiednie ich służby, to już takie jak *Leń marwoy*, czy *Nieskorek* działały uspokajająco i musiały dobrze się kojarzyć takim synom przedwojennych oponentów klasowych mojego dziadka.

Poszedłem jeszcze dalej i dla odwrócenia uwagi tych panów wypuściłem spod pióra kilka do nich pasujących pluskwiaków o dobrze im znanych i inspirujących nazwach, oddających niewątpliwy zakres powierzonych im pieczy zadań, względnie wygląd zewnętrzny.

Bo czyż taki: *Pozmrok odmieniec*, *Wtyk straszny*, *Zmieć* albo *BORczyzniec* mogły nie skłaniać do uległości a nawet współpracy? Albo czy taki: *Prężec*, *Pelzak* lub *Płaszczyniec* nie musiały ich sposobić do większej spolegliwości wobec niezadowolonych z ich pracy przełożonych?

Będąc przy *Wtykach* miałem wielką ochotę, korzystając z nadarzającej się okazji, wprowadzić między nich jako obcego agenta niejakiego *Wtyka amerykańskiego*. Odrzuciłem jednak zaraz tę pokusę, jako szytą zbyt grubymi nićmi – mogliby się kapnąć.

Miałem i coś dla ich pań skłaniającym się ku tym nierządom, ale jak na konspiratora przystało, pseudonimy tych pluskwiaczek na początku pod moim piórem brzmiały pieszczotliwie a nawet niewinnie wyszczuplająco, jak choćby: *Wysmuklinka* czy niewzbudzająca lęku: *Niezdarka trutniowata*.

Dopiero u mucholówek znalazłem dla nich adekwatne kryptonimy służbowe, ukazujące ich ulubione zajęcia, bądź nazywające je po imieniu: *Zmora trupia główka* czy *Zażarka* bądź *Plujka pospolita*, i nadałem im je na wieczną pamiątkę.

Wśród podszywających się pod nich tajnych współpracowników wypatrzyłem: *Wółka zbożowego* i *Konika wąsacza*.

Zwłaszcza pewien z kryptonimów: *Jelonek rogacz* pasował jak ulal do niejednego z nich, którego długie nieobecności w domu usposabiały połowicę do pasowania go na jednego z rycerzy tego właśnie oblicza.

Takie i inne jeszcze rzeczy zaszyfrowałem misternie „w tym temacie” i zadowolony z siebie oddałem pani, która chciała je jednak przejrzeć przed zaprezentowaniem na forum klasy.

Następnego dnia pani zabrała mnie na koniec korytarza, w ustronne miejsce i powiedziała bez ogródek:

– Krzysiu, masz u mnie złote pióro, ale nigdy więcej nie pisz o owadach, bo to zbyt niebezpieczne dla ciebie i innych.

I musiałem jej przyrzec, że zaniecham mych dociekań entomologicznych, albo będę pisał wyłącznie do szuflady.

Przystalem na to drugie, tym bardziej, że miałem już w niej pomysł na podobne unieśmiertelnienie naszego szkolnego sadysty, niejakiego pana Rybaka, nauczyciela matematyki i fizyki, który za byle co tłukł uczniów drewnianym piórnikiem albo liniałem po otwartych dłoniach, aż piekło. Swego imienia, jak i dobrego imienia niestety nie pozostawił po sobie w mojej pamięci, wybijając mi je skutecznie z głowy i niwecząc, w moich oczach, na całe życie.

Dla bezpieczeństwa publicznego mojej osoby, zamyśl mój jako autora musiał przeleżeć w szufladzie do czasu ukończenia przez nas szkoły i dopiero teraz mógł ujrzeć światło dzienne. Nie mogę tylko podać tych wszystkich kryptonimów naszego „bohatera”, pod którymi ukrywałem go w tej szufladzie. Czas zatarł je w miejscach złożenia manuskryptu. Może to i lepiej, ze względu na ich wymowę głęboko skatologiczną.

Zresztą, to pisanie do szuflady, opłaciło mi się sowicie, gdyż, kilka dni później, wychowawczyni przedstawiła mnie pani bibliotekarce jako obdarzonego talentem literackim i ostrym piórem – jak się wyraziła.

Wolałem, co prawda to „złote”, ale cóż – przekonałem się pierwszy raz, jak zmienną jest kobieta. Pocieszyłem się tym ostatecznie, że przecież to „złote” mogło być jednocześnie i „ostre”. I tak już zostało.

Od tego czasu uzyskałem wstęp wolny do tajemnic pokątnych biblioteki szkolnej.

Krzysztof Rudziński

Opowiadania: *Zasnute kłęby robacji*, jak i *Rzecz prosta*, zamieszczona w „Podglądzie” nr 3 są kolejnymi fragmentami pisanej właśnie opowieści, której początek został wydrukowany w „Podglądzie” nr 5.

Ryszard Sługocki

Tropem Alta

Jego kolejna zdobycz, dwudziestodwuletnia Brytyjka Margaret Hulston, była blondynką o zgrabnej kibici i niebieskich oczach z kilkoma piegami koło nosa i ustami wygiętymi w zmysłowy łuk. Poznali się na polu golfowym w Estoril, kiedy jego piłka wpadła do jej dolka, a może było odwrotnie. Tak czy inaczej uroda i wdzięk młodej golfistki zrobiły na nim tak duże wrażenie, że natychmiast podjął starania zmierzające do pogłębienia znajomości, co mu się nadspodziewanie łatwo i szybko udało.

Margaret, w skrócie Meg, oprócz zachęcającej powierzchowności, odznaczała się także, jak wkrótce miał okazję się przekonać, wyjątkowo dużym temperamentem. Kontakt cielesny przeżywała niezwykle emocjonalnie. Przy każdym orgazmie jęczała tak głośno, że zagłuszała szum fal bijących o skalisty brzeg i pisk mew, unoszących się nad małym domkiem wynajmowanym przez Alta na odludnej plaży. Z okien domu rozciągał się zachwycający widok na bezmiar Oceanu Atlantyckiego, sprzyjający romantycznym nastrojom.

Alt jako realista doszedł do wniosku, że Meg powinno się zakładać na usta tłumik, podobny do tego, jaki miał w swoim motocyklu. Dodatkowo, podczas stosunku, często mdlała. Gdy po raz pierwszy się to zdarzyło, Alt się przestraszył, ale ona, gdy po chwili odzyskała przytomność, oświadczyła, żeby się tym nie przejmował i wyraziła natychmiastową chęć do dalszych pieszczot. Alt pochlebiał sobie, że to jego umiejętności sprawiają ją w stan tak wielkiej ekscytacji. Meg wyjaśniła mu, że zdarzało się jej to poprzednio, także po raz pierwszy przy utracie cnoty. Sprawca (kierowca jej ojca) tak przełknął się jej omdleniem, że uchylił się mimo zachęt od bisowania i wkrótce potem zwolnił się z pracy.

Podczas kilkutygodniowego trwania ich gorącego romansu Meg zdawała się zatracać w miłosnym upojeniu. Po części udzieliło się to Altowi i to tak dalece, że poświęcał jej coraz więcej czasu, zaniedbując swoje obowiązki. Dziewczyna wydawała się całkowicie i szczerze w nim zakochana, ślepa na wszystko inne. Jemu podobiała się otwartość, z jaką opowiadała o swoim życiu i wyznawała intymne sekrety, które go podniecały. Nie pytała nigdy swego kochanka, dlaczego przebywa w Portugalii i czym się tu zajmuje. Zdawała się tym wcale nie interesować. Natomiast, co bardzo mu odpowiadało,

dbala, podobnie jak on, o dyskrecję, o to, by ich związek nie został ujawniony, głównie ze względu na dzielącą ich różnicę wieku. Meg twierdziła, że tak jest lepiej z uwagi na jej wuja, który wraz z nią przybył do Portugalii na wypoczynek i opiekował się młodą siostrzenicą, zaś Alt, jako człowiek żonaty, nie chciał, by go podejrzewano o romans z młodą Brytyjką.

Mimo oczarowania kochanką nie opuściła go jednak całkiem trzeźwość umysłu. Przypomniał sobie ostrzeżenia podczas szkolenia w Abwehrze, że jeśli coś udaje się zbyt łatwo i jest zbyt przyjemne, to może to być niepokojący sygnał. Przyszło mu więc do głowy, że łatwość i szybkość, z jaką nawiązał romans z Meg, może nie być wyłącznie wynikiem zauroczenia jego osobą. Wydawało mu się to mało prawdopodobne, ale na wszelki wypadek postanowił to sprawdzić...

Podczas kolejnego spotkania dał więc z siebie wszystko i gdy dziewczyna zapadła w swój zwykły stupor, szybko sprawdził wszystkie zakamarki jej odzieży oraz zawartość torebki i... oniemiał. Znalazł mały kalendarzyk, w którym oprócz zaznaczonych gwiazdkami dni menstruacji przeczytał początek czegoś, co można było uznać za szkic do raportu, zaczynający się od słów: „ustaliłam ponad wszelką wątpliwość, że Heinrich von St... jest niemieckim szpiegiem i członkiem partii hitlerowskiej, o czym świadczy złota odznaka NSDAP z numerem kolejnym 666, którą znalazłam w jego kurtce...”.

Zacisnął szczęki aż do bólu. Przypomniał sobie poprzedni wieczór, kiedy podczas wycieczki do pałacu w Sintrze zrobiło się w górzystej okolicy chłodno i on po dżentelmeńsku okrył ją swoją kurtką. W tej kurtce poszła do toalety. Tak długo nie wracała, że zaniepokoił się jej nieobecnością. To pewnie wtedy zauważyła nieznaczne zgrubienie w rogu kurtki i znalazła odznakę. Musiała w tym celu odpruć kawalek podszewki, a później zaszyć. Tylko na Boga ojca – skąd miała igłę z nitką? I to w odpowiednim kolorze? Jak to się stało, że odbierając od niej kurtkę niczego nie zauważył?

Diabeł go podkusił, żeby zabrać ze sobą złotą odznakę NSDAP, przyznaną mu przez Hitlera. Był pewien, że nikt jej nie znajdzie, zaszytej pod guzikiem skórzanej kurtki motocyklowej. Nie spodziewał się, że ktoś może wymacać przez skórę niewielkie, dodatkowe zgrubienie. Kurtki nikomu nie pożyczał. Ale właśnie w przypadku Meg zaniechał na moment ostrożności. Trzeba to było szybko naprawić.

Raport, którego szkic znalazł w torebce Meg, nie mógł być zakończony i wysłany do adresata, którym, w co nie wątpił, był brytyjski kontrwywiad. Oznaczało to bowiem jego pełną demaskację, przerwanie subtelnych nici, które plół jak pajak, i utratę twarzy wobec swoich mocodawców. W żadnym

wypadku nie mógł do tego dopuścić. Zarzucał sobie gorzko, że tak łatwo dał się podejść dziewczynie, którą uważał za atrakcyjną kochankę.

Nie ulegało wątpliwości, że po tym jak Meg udało się odkryć jego prawdziwą tożsamość, nie ma chwili do stracenia. Musiał działać natychmiast, żeby Meg nie miała czasu na dokończenie i wysłanie raportu. Nie ulegało wątpliwości, że słodka trzpiotka i namiętna kochanka jest wytrawnym i doświadczonym brytyjskim agentem, prawdopodobnie przysłanym specjalnie po to, aby go rozpracować. A on dał się przylapać jak dziecko w przedszkolu, siusiąjąc ukradkiem do piaskownicy!

Zastanawiając się nad tym, jak wybrnąć z sytuacji, przypatrywał się dziewczynie, z którą od kilku miesięcy łączył go gorący romans, a która lekko pochrapując, pogrążona była w słodkim śnie w mocno zmierzwionej pościeli, po intensywnej serii intymnych doznań, do których się wydatnie przyczynił. Teraz jednak patrzył na nią zimnym wzrokiem, jako na obiekt do natychmiastowej likwidacji. Nie mógł dopuścić, by po przebudzeniu pozostała zbyt długo przy życiu, by nawet wyszła żywa z pokoju w małym uroczym hoteliku otoczonym pięknym ogrodem, z którego roztaczał się zapierający dech w piersi widok na falujący ocean. Hotel nosił romantyczną nazwę „Siedem Czerwonych Róż”. Zwykle w nim spędzać upojne noce zakochane pary, często świeżo po ślubie, a także węzłem małżeńskim niepołączone, gdyż kierownictwo hotelu nie zadawało zbędnych pytań i nie wymagało w recepcji żadnych dokumentów, zadowolając się opłaconą z góry należnością za pobyt. Przyjechał tu z Meg na swoim głośno warczącym motocyklu marki Zündapp i tylko przy użyciu tego samego środka lokomocji mógł odjechać. Ale jak to zrobić z trupem na siodelku?

Do likwidacji wrogów stosował dwa sposoby: głośny i cichy. Przy głośnym używał pistoletu z tłumikiem, strzelając w głowę lub serce. Wachlarz środków cichych miał znacznie szerszy. Posługiwał się sprawnie nożem, a także innymi ostrymi lub twardymi przedmiotami codziennego użytku, nie wykluczając zwykłego młotka. Używał także środków chemicznych – trucizn dających efekt natychmiastowy, jak cyjanek, ale gdy nie trzeba było się spieszyć, stosował środki dające pożądaný rezultat w określonym czasie i niepozostawiające śladów w organizmie. Gdy nie miał akurat niczego sposobnego pod ręką, posługiwał się własną dłonią, uderzając w skroń lub w krtań ofiary, jak w przypadku Brinkmajera, co powodowało natychmiastowy zgon.

Niestety żadnego z tych sposobów, których nauczył się w Abwehrze i które znacznie udoskonalił, nie mógł użyć ze względu na okoliczności i miejsce, w którym się znajdował. Nie mógł skorzystać z pistoletu nawet

z najlepszym tłumikiem. Ktoś przez hotelowe drzwi mógłby usłyszeć odgłos strzałów. No i nie mógł tu na miejscu pozostawić śladów krwi, w ogóle żadnych śladów. Przez chwilę zastanawiał się, czy Meg nie udusić, zanim się obudzi, a ciało wrzucić do Boca do Inferno. Przedtem jednak musiałby ją jakoś niepostrzeżenie wynieść z hotelu i tam zawieźć.

W przypadku znalezienia zwłok w hotelu znalazłby się natychmiast w kręgu podejrzanych, bo fagas z recepcji mógł zapamiętać jego twarz. Na pewno przeprowadzono by drobiazgowe śledztwo po ustaleniu, że zgon dziewczyny nie nastąpił z przyczyn naturalnych. Nie mógł też wykluczyć, że ktoś ze wspólnych znajomych mógł się domyślać, że łączyło go ze zmarłą coś więcej niż znajomość z kortu tenisowego.

Nagle go olśniło. Cabo de Roca! Kraniec Europy! Szczyt nadmorskiej skały wznosił się tam na wysokość ponad stu metrów i od strony morza kończył stromą ścianą, o której podnóże były spienione fale Atlantyku. Miejsce było odludne, a o tej porze nikogo nie powinno tam być. Wiedząc, jak załatwić sprawę, odetchnął i się uspokoił.

* * *

Agent Hulk z sekcji zagranicznej brytyjskiego wywiadu wybudził się z lekkiego półsnu, poprzedzającego pełną świadomość, z uczuciem, że nie musi się już wysilać i spieszyć, bo osiągnął swój cel, a przy tym doznał nie mało przyjemności. Agent Hulk był bowiem kobietą, bardzo piękną kobietą.

– Zimny drań, ale jaki wspaniały kochanek – pomyślała Meg, przypatrując się spod przymrużonych powiek postaci mężczyzny stojącego na tle okna.

Alt nie okazał po sobie żadnych emocji i gdy Meg otworzyła oczy, powitał ją serdecznym uśmiechem.

– Wiesz, kochanie, na zakończenie naszego tak milego dzisiejszego spotkania chciałem ci coś wyjątkowego pokazać – powiedział. – Proponuję wycieczkę do Cabo de Roca. To najbardziej na zachód wysunięty skrawek Europy. O każdej porze dnia i nocy jest wart odwiedzin, ale szczególnie teraz podczas pełni księżyca. Mamy właśnie pełnię i wyjątkowo czyste niebo, warto skorzystać z okazji i to zobaczyć – zachęcał.

Meg stwierdziła, że jest nieco zmęczona, ale on mocno nalegał, więc się zgodziła.

I tak dowiedziałam się, czego chciałam, o tym hitlerowcu. Nie szkodzi jeszcze trochę poudawać romantyczkę, zanim go unieszkodliwię – pomyślała. Miała już nawet plan, jak to zrobić. Właściwie dwa plany. Albo zlikwiduje

go na miejscu, albo spróbuje zwabić tam, skąd będzie można go porwać i przetransportować do Londynu. Uśmiechnęła się więc promiennie i kiwnęła zgrabną główką na znak zgody.

Do Cabo de Roca jechali stromą, wąską drogą z licznymi zakrętami. Motocykl z wysiłkiem piał się w górę, głośno terkocząc. Na miejsce dotarli tuż przed północą. Widok ze szczytu rzeczywiście był urzekający. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem niby mleczna kula i jego odbłask odbijał się od czarnej powierzchni morza świetlistą smugą. Alt poprowadził Meg ścieżką tuż przy krawędzi klifu, wzdłuż której stały tabliczki z napisem w wielu językach, ostrzegającym, by z niej nie schodzić, bo to grozi upadkiem. Kiedy stanęli przy końcu ścieżki w najwyższym miejscu klifu, Alt mocno objął Meg ramieniem i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek, po czym nagłym ruchem odepchnął od siebie. Przeleciała przez krawędź z wyrazem niebotycznego zdziwienia na twarzy. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Zresztą gdyby nawet krzyknęła, szum fal zagłuszyłby jej głos.

Nie miał wątpliwości, że upadek z niemal stu metrów załatwił sprawę definitywnie. Fale bijące o skalisty brzeg sprawia, że wkrótce z ciała dziewczyny nie zostanie ani jednej calej kosteczki. Obciągnął skórzaną kurtkę, kopnął rozrusznik motocykla i odjechał w ciemność z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Wuj Meg wcześniej opuścił Portugalię, nie było więc nikogo, kogo by zaniepokoiło nagle zniknięcie pięknej panny Hulston. Mogła przecież, równie niespodziewanie jak się pojawiła w Cascais, wrócić do mglistej ojczyzny albo udać się w podróż gdzieś na antypody. Dopiero po jakimś czasie rozpoczęto poszukiwania, które nie dały rezultatu. W żadnym momencie nie łączono jej zniknięcia z osobą Alta.

On jednak czuł się trochę nieswojo. Dopiero po jakimś czasie odzyskał równowagę ducha i przestał myśleć o dziewczynie, którą cenil jako namiętną kochankę. Teraz był przekonany, że będzie mógł w spokoju nadal wykonywać swoje obowiązki i wieść słodkie życie w Portugalii.

Podczas niemal dwuletniego pobytu udało mu się sporo wywęszyć i znacznie wzmocnić sympatię brytyjskich rozmówców do Adolfa Hitlera i III Rzeszy. Był już blisko skaptowania kilku agentów wpływu spośród spędzających tu urlopy brytyjskich parlamentarzystów i lobbystów, choć wymagało to jeszcze trochę czasu. Dlatego był mocno niezadowolony, kiedy nagle otrzymał wiadomość z centrali, że jego misja w Portugalii została zakończona.

Uważał, że odwołanie przyszło w najbardziej niesprzyjającym momencie. Nie lubił zostawiać spraw niedokończonych. Uważał, że tylko on doprowadzi

je do pomyślnego finału, a jego ewentualny następca na pewno je spaprze. Był także niezadowolony ze względów osobistych. Nie chciał stąd wyjeżdżać, bo czuł się w Portugalii jak ryba w wodzie. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że jego życie wisiało na włosku. Wywiad brytyjski nie miał wątpliwości, jaki los spotkał jego agenta o pseudonimie „Hulk”, chociaż ciała Meg nie znaleziono. Admiral Drexler podjął decyzję, aby dyskretnie sprzątnąć grafa von Starzensky’ego. Zanim jednak specjalna ekipa Intelligence Service pojawiła się w Portugalii, obiekt do likwidacji zniknął.

Ryszard Sługocki

Jan Strękowski

Miasto ze sklejki, metalu, trocin...*

Musimy zatrzymać się na chwilę przy drugim, obok Janusza Witwickiego, bohaterze książki. To Lwów (...)

Leży to miasto w Ziemi Czerwieńskiej, zwanej też Grodami Czerwieńskimi, które u zarania państwowości polskiej należały do Państwa Polskiego. Potem, po zajęciu przez Jarosława Mądrego, zostały na jakiś czas odebrane Rusinom przez Chrobrego, by w 1030 roku znów stać się częścią Rusi Kijowskiej, a potem księstwa halicko-włodzimierskiego (...) Można tylko dodać, że założone przez księcia (potem króla) Daniłę miasto, leżało na górze zwanej Wysokim Zamkiem, i że wtedy już powstały pierwsze świątynie, istniejące do dziś, św. Jana Chrzciciela (dziś rodzaj muzeum, w którym można zobaczyć m.in. fragmenty panoram miasta Lwowa wykonane przez Ihora Kaczora, wielkiego znawcę starego Lwowa, ukraińskiego wielbiciela i naśladowcę Janusza Witwickiego) oraz Matki Boskiej Śnieżnej (...)

Kazimierz przeniósł miasto niżej, na południe, nad rzeczkę Peltew, na bagna (jak twierdzą dziś znawcy, dlatego pękają domy na lwowskiej Starówce – obniżył się poziom wody, a zbudowane na dębowych palach budowle nie lubią suszy). Powstały zamki Wysoki i Niski, potem obwarowania. Miasto upodobali sobie polscy królowie, Władysław Jagiello, Władysław IV, Jan III Sobieski, który pochodził z pobliskiego Oleska.

Jak piszą Ryszard Chanas i Janusz Czerwiński: *Już z końcem XIV w. Lwów posiadał bruki, wodociągi i kanalizacje, a także łaźnie publiczne, szpitale, przytulnię itp. W 1445 r. zakończono wiele lat trwające prace przy wznoszeniu murów obronnych, dzięki czemu Lwów stał się jednym z najbardziej warownych miast na wschodnich kresach.*

Lwów miał sławę miasta niezdobytego. W 1497 roku, po śmierci Jana Olbrachta, która nastąpiła na skutek zdrady hospodara wołoskiego Stefana Wielkiego, temu ostatniemu nie udało się zdobyć Lwowa, kilkakrotnie też potem bez powodzenia próbowali tego Turcy i Moldawianie, w 1524 roku miasto wytrzymało oblężenie tatarskie, podobnie w 1620, w 1648 roku nie zdołał zająć go Chmielnicki. Czasem uciekano się do okupu, częściej do walki. Dopiero Karol XII, król Szwecji zdołał wejść zbrojnie do Lwowa w 1704 roku.

Prawie od początku swego istnienia Lwów spełniał ważne funkcje strategiczne i obronne królestwa i należał do najsilniej umocnionych miast Polski – piszą Chanas i Czerwinski. – Początkowo miasto otoczone było ze wszystkich stron jedynie wałem ziemnym z ostrokołem oraz fosami, a od zachodu pogłębionym korytem Peltwi. Około 1380 r. po wewnętrznej stronie wału zaczęły wyrastać kamienne mury miejskie zwieńczone blankami, z obiegającym je drewnianym krytym gankiem, z wieżami i basztami, łącznej długości ok. 1700 m. W 1418 r. rozpoczęto budowę drugiego, zewnętrznego, niższego pasa murów, dostosowanych już do użycia broni palnej. W murach tych istniały dwie podwójne bramy z mostami zjazdowymi, przerzuconymi przez fosę: od północy Brama Krakowska i od południa Brama Halicka, obie na osi przebiegającego przez miasto traktu handlowego z Węgier i Krakowa do Halicza i nad Morze Czarne. Z czasem powstały dodatkowe wyjścia z miasta: jedna furta, zwana później Jeznicką (prowadziła do klasztoru Jezuitów), druga Bosacka (wiodła do klasztoru Karmelitów Bosych). W system fortyfikacji włączony był Niski Zamek.

Był Mur Wysoki i Mur Niski, baszty, bastiony. Pozostałością po tych fortyfikacjach są m.in. Arsenal Miejski i Królewski oraz Baszta Prochowa, gdzie Witwicki planował umieszczenie swej Panoramy Plastycznej Dawnego Lwowa.

No i powstał taki Lwów, jaki zachował się w dużej mierze do naszych czasów. Ze wspaniałymi zabytkami sztuki renesansu, baroku, manieryzmu. Lwów wspaniałych kościołów, klasztorów, świątyń wielu wyznań, z pięknym ratuszem zwieńczonym renesansową wieżą (zawaliła się), piękną, górującą nad miastem wieżą Korniaкта.

W 1658 roku ustawa sejmowa podniosła Lwów do stanu szlacheckiego, podobnie jak wcześniej Wilno i Kraków. Miasto miało więc swoich posłów, uczestniczo w elekcjach, mogło też posiadać dobra ziemskie.

Niestety, I Rzeczpospolita straciła je już w I rozbiórce Polski w 1772 roku, kiedy to do miasta weszły wojska austriackie i zaprowadzono inne porządki. Lwów stał się stolicą dziwnego królestwa Galicji i Lodomerii, a jego obwarowania i fortyfikacje prawie w całości zburzono. Stało się to w 1777 roku, a dzięki temu powstały promenady lwowskie: Wały Gubernatorskie (dziś Podwalna) i Hetmańskie (dziś Prospekt Swobody).

To sucha opowieść, pora więc dodać do tego opisu miasta Lwowa trochę serca i emocji. Takowe daje powstała podczas dramatycznych lat I wojny światowej *Księga pamiątkowa i adresowa wygnańców wojennych z Galicji i Bukowiny, 1914/1915* (takimi wygnańcami byli wówczas też Witwicy):

Wśród innych zupełnie warunków jako strażnica kresowa wzrastał Lwów, a rzucony na wschodnie rubieżę, pełnił zaszczytną misję szerzenia kultury europejskiej

na wysuniętych placówkach. U znanych traktów handlowych powstawszy u stóp Wysokiego zamku, jaki straż czujną nad miastem trzymał, rozwijał się z latami co raz bardziej i wznosił wśród swych murów również szereg pomników, świadczących o zapobiegliwości i ofiarności lwowskiego mieszczaństwa, gdy w grze była sprawa rozwoju ukochanego grodu. Dzięki hojności królewskiej poczęła wyrastać ponad mieszczańskie dworki wspaniała katedra, dźwigały się z posad inne zabytki, powstające sumptem zasobnych mieszczan. Gdy czas w zawrotnem kole chyżył podążając lotem coraz większą sumę lat poza sobą pozostawiał, powstawały w mieście rozliczne instytucje, które na polu kulturalnem zapewniły sobie pierwsze miejsce w szeregu bratnich, pokrewnych organizacji. Obok starej księżnicy uniwersyteckiej otworzyły wrota swej naukowej świątyni na ścieżaj przed rzeszą badaczy. Zakład naukowy im. Ossolińskich, powołany do życia ofiarnością Józefa Maksymiliana hr. Ossolińskiego, dalej bogate Muzeum Lubomirskich z gabinetem sztychów, monet i galerią obrazów, dalej Muzeum przyrodnicze im. Dzieduszyckich i szereg innych instytucji kulturalnych.

To realnie istniejące miasto. Możemy tam pojechać, zobaczyć gmachy, o których mowa powyżej (większość stoi), wejść do nich, obejrzeć te same obrazy (często wiszą na tych samych ścianach i w tych samych miejscach), zajrzeć do książek, do których zaglądali lwowianie przed laty, choć zmieniły się tabliczki z nazwami instytucji, a te z nazwami ulic nie ułatwiają orientacji (cyrlica).

Ale można też zwiedzać Lwów inaczej. I to Lwów właśnie z 1772 roku, czyli ten, do którego jak do raju trafiła pewnie dusza twórcy Panoramy Plastycznej Dawnego Lwowa.

(...)

A tak wyglądało to miasto w opisie Janusza Witwickiego:

Za chwilę znajdziemy się w rynku, przy studni pod Neptunem u stóp dawnego ratusza. Możemy się śmiało rozglądać dookoła: Tu przegięż, to postrach złoczyńców – tu kramiki, to przynęta dla dzieci – tu stara katedra, wśród zabytkowych kamienic co niektórych jakże znanych nam dobrze, w sąsiedztwie z jany wieży Krawców na Bramie Halickiej. Różne oświetlenia dnia i blasków wieczornych przechodzą przed oczyma, zmieniając barwy, sylwety i nastroje (...) O krok już siedzimy pod „Furdygarnią” (Corpsdegarde) na Zamku Niskim. Przed nami, pod brzoźką ze studni drewnianej dziewczyna wodę niesie do kuchni Zamkowej. Szeroki ganek na potężnych konsolach oparty, biegnie od Pokoi Wielkich po Kościółek Zamkowy św. Katarzyny, gdzie na witrażach przedziwnego rysunku kryje się tajemna historia lwowskiej królowny. Dalej dansker i Archiwum – i Dworek Burgrabski i Wieża Sądowa i Parafia Franciszkańska i kilka chałup dworskich zabudowań ciągnie się aż po Więzienia Kryminalnych przy Bramie Zamkowej. Za Bramą znów budynek drewniany Grodzkiej Kancelarii na tle Wieży Złotników obok

Wozowni i Maszterni, gdzie przed stajnią karoca zamkowa na szorach stoi paradna. Światelka wieczorem tu i ówdzie migocą – witraże w całej pełni nasyconemi czarują barwami tęczy. Zachwycone oczy. Dopóki błądy świt i pierwsze blaski słońca nie zmieniają znowu obrazu. Znow inne miejsce w zaułku Blacharskiej ulicy wśród znanych do dzisiaj zabytków; U stóp Dominikańskiej kopuły szereg domów zmartwychwstałych – a dopiero przed laty 30 rozebranych do szczytu. Dzwonnica stara drewniana przy murze na pół rozwalonym; jakiś wiejski charakter nadaje tej części Dominikańskiego Placu. (O Nieśmiertelności mojego miasta)

Czy poczuliśmy się jak w prawdziwym mieście? Na prawdziwych ulicach? Taki Lwów budował Janusz Witwicki ze swymi współpracownikami przez wiele, wiele lat. W II Rzeczpospolitej, pod pierwszymi sowietami, pod okupacją niemiecką, pod drugimi sowietami...

Tym Lwowem potrafił Witwicki zauroczyć wszystkich.

Choć było to miasto w pewnym sensie na niby, miasto sztuczne, budowane ze sklejek, metalu, trocin, folii aluminiowej, pozostało jak miasto prawdziwe w pamięci tych, którzy je wówczas zobaczyli.

Jan Strękowski

* Fragment książki *Sześć tapczanów Lwowa*.

Zrealizowano w ramach
stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Dorota Suwalska

Maleńka pani detektyw *

Dziś Nika spóźniła się na spotkanie.

Wyglądała na zmęczoną i niewyspaną. Okazało się, że wczoraj, po wizycie u pani Smolińskiej strasznie rozbolała ją głowa. Sięgała już po lek przeciwbólowy, gdy przypomniła sobie jeden z fragmentów obejzranego wczoraj filmu. A konkretnie scenę, w której rozpięty na krzyżu Chrystus odmawia wypicia wody zmieszanej z mirrą.

– I wtedy pojawiła się we mnie taka myśl – tłumaczyła Nika – nie wiadomo skąd, jakby to ktoś inny pomyślał w mojej głowie: Aby się odrodzić trzeba przejść przez cierpienie bez znieczulenia. I wiesz co? Nie wzięłam tej tabletki. Leżałam w łóżku i skręcałam się z bólu. Miałam wrażenie, że zaraz rozsadzi mi czaszkę. Nagle – Nika zamilkła, a jej twarz zbłądła. Siedziała tak przez chwilę jakby śniąc na jawie.

– Co jest, Nika?

Obróciła do mnie twarz o nieobecnym wyrazie.

– Nagle usłyszałam w swojej głowie... dziecięcy płacz. Płacz, który odbijał się od ścian czaszki i nie potrafił wydostać na zewnątrz. Zrozumiałam, że muszę pójść za nim. Odnaleźć płaczące dziecko. Znaleźć je wewnątrz swojej głowy. I rzeczywiście – żrenice Niki zamieniły się w punkciki nie większe od lebka szpilki – płacz zaprowadził mnie do maleńkiego ciała. Sztynwego i zziębniętego. Żywe, a jakby martwe. Wzięłam je na ręce – głos Niki był cichy i matowy, zdawało się, że mówienie sprawia jej trudność – i przytuliłam do siebie, lecz nie przywróciło to maleństwu ciepła i miękkości. Wtedy, nie wiem czemu, przyszło mi do głowy, że ciepła kąpiel może mu pomóc. Zanurzyłam niemowlę w wannie jak w macicy, a potem otuliłam miękkim, ciepłym ręcznikiem, ale... – Nika znów



Ryc. Dorota Suwalska

zamilkła, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie – ale wtedy stało się coś dziwnego. Małeństwo jeszcze bardziej zbladło, a jego źrenice znieruchomiały. Odrzuciłam rącznik. Zaczęłam rozcierać i masować zziębnięte ciało, tulić je do siebie. To jednak nie na wiele się zdało. A jednak... ból w głowie zelzał. Nie ustąpił, stał się jednak na tyle znośny, że pozwolił mi zasnąć.

Ta krótka opowieść bardzo Nikę wyczerpała. Siedziała jakiś czas, ciężko oddychając, a potem delikatnie ułożyła głowę na moim ramieniu. Nagle ogarnęło mnie uczucie, że powierzono mojej opiece coś niezwykle kruchego i cennego. Małeńka pani detektyw, którą trzeba bronić przed złym światem. Cóż za absurd!

A potem mój umysł zaczął produkować setki, tysiące myśli i pytań. Hipoteza gonila hipotezę. A może jednak sny na jawie i wewnętrzne obrazy produkowane przez nadaktywną wyobraźnię Niki mają jakiś trudny do odszyfrowania sens? Jak jednak przełożyć je na język faktów? Co oznacza zamknięty w czaszce krzyk dziecka? Że porywacz zmusił je do milczenia? A może uwięziono je w piwnicy o murach tak grubych, że żadne dźwięki nie są w stanie się z niej wydostać? I jeszcze to niemowlę! Zupełnie odrętwiałe. Czy to oznacza, że dziecko nie żyje? Nawet nie chcę myśleć w ten sposób. Zresztą „znaleziony” w głowie Niki niemowlak żył, ale mój Boże!, był tak przerażony... zmartwiał z przerażenia. Nie tyle martwy, co zmartwiał. Nie wspominając o tym, że porwane dziecko jest dużo starsze. A może dzieciak doświadczył jakiejś traumy w przeszłości i to porwanie jest jakąś dziwną konsekwencją tamtych wydarzeń?

I co ma do tego zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, prababcia i proszki od bólu głowy? Co prawda można powiedzieć, że proszki od bólu głowy to niemal podstawowe pożywienie prababci. Polyka je w strasznych ilościach. Ale jaki to ma związek z naszym śledztwem? Przecież prababcia nie porwała dzieciaka? O co w tym wszystkim chodzi?

Zbieram od Niki jej tajemnicze poszlaki i próbuję ułożyć w jakąś, choć z grubsza logiczną całość. I za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już, już... coś mam, już do czegoś dochodzę... nagle wszystko się rozsypuje. Zupełnie jakby ktoś specjalnie ploszył moje myśli. Kiedy wreszcie zlecą się z wszystkich stron, jak zanecone karmą gołębie, natychmiast pojawia się ktoś, kto wskakuje w sam środek stada, wymachuje rękami, krzyczy, podskakuje i w ogóle robi wszystko, by nie pozwolić im połączyć się w całość. I znów pustka. I jeszcze mniej wiem. I zapominam nawet to, co chwilę wcześniej wydawało się oczywiste. Zupełnie jakby w mojej głowie mieszkał ktoś, komu strasznie zależy, by to stado nigdy nie pojawiło się przede mną w całości,

by obraz, który już, już... objawia się przede mną, był mi dostępny co najwyżej w strzępkach, wyrwanych z kontekstu fragmentach, które mogą budzić niepokój, lecz z pewnością niczego nie wyjaśniają.

Czasem mam wrażenie, że tym kimś jest Nika.

Lecz kiedy jej mówię:

– W porządku. Możemy współpracować. Ale niech każde zajmie się swoją działką. Zbieraj te swoje wglądy, intuicje... i na tym poprzestań. Wystarczy, że mi je przekażesz. Ja zajmę się resztą. Pozbieram to wszystko do kupy. Porównam. Zanalizuję. I spróbuję wyciągnąć wnioski. Sama wiesz, że logiczne myślenie nie jest twoją mocną stroną.

Ona nieodmiennie odpowiada:

– To raczej ty się nie wtrącaj do tego, co do ciebie nie należy. Patrz i słuchaj. Obserwuj. Spisuj wszystko, o czym opowiadam. Ja zajmę się resztą. Będę dążyć temat tak długo, dopóki wszystko nie ułoży się w jedną nielogiczną całość.

I tak to wygląda. Prowadzimy akademickie dyskusje na temat roli intuicji i logiki w prowadzeniu śledztwa. Oglądamy zdjęcia. Chodzimy w odwiedzinę, głównie Nika. Tymczasem w miasteczku narasta zniecierpliwienie. Widać to na każdym kroku. Te milczące, ponure spojrzenia, uwagi wymieniane szeptem za naszymi plecami.

To musi się źle skończyć.

Dorota Suwalska

* Fragment rozpisanej w formie blogu powieści *Osobisty detektyw*,
adres: <http://osobisty-detektyw.blogspot.com>

Przekład Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Karel Hlaváček

Podmorskie dzikie knieje nawet nie zadrżały

Podmorskie dzikie knieje nawet nie zadrżały,
po bezdrożach jedynie błdził powiew Technienia,
brzmiał z zatopionych grodów głos dzwonów nieśmiały,
w mroku brzeg zdał się niczym Obiecana Ziemia.

W niepokalanej bieli lilie przyklękały
do modlitwy szeptanej przemokłymi wargi,
w czas pasterki delfinów szereg oniemiały
czuwał wśród fal u ognisk i konał bez skargi.

Dopiero gdy On wstąpił na brzeg późno z rana,
w orszaku swych zastępów i sztandarów chwały,
przez sen słyszałem – knieje ugięły kolana.

U przylądków Tajemnic i w morskiej otchłani...
W ogrodach koralowych, co lekko kraśniały,
czarne, stłoczone cienie niecierpliwie drżały...

Karel Hlaváček (1874-1898), czeski poeta, krytyk sztuki i grafik.

Przekłady Danuty Ćirlić-Straszyńskiej

Stevan TontiĆ

z tomu Codzienny koniec świata

Objawienie

Lipiec, 1968.

Wyszedłszy o północy z miłosnego gniazda,
Unoszony triumfalnie eksplodującym miłosnym szczęściem,
Ruszyłem przez plac pod przepysznymi koronami
Rozkwitłych, pachnących lip
Do swego sublokatorskiego pokoju.

Gwiazdziste niebo nade mną,
Prawo miłosne we mnie.

Gdy tak szedłem z podniesioną głową,
Rozgwieżdżona otchłań w górze
Pociągnęła mnie i wstrząsnęła –
Przeżyłem nagle objawienie:

Nad tymi drzewami, nade mną,
Nad tym miastem i tym niebem,
Poza majestatem samej Natury,
Krystalicznie jasnego Wszechświata,
Absolutnie nie istnieje Absolut,
Naczelny Wódz ani Pan Bóg.

Można być wolnym i szczęśliwym!

(Utopia w której krył się nakaz
Buntu z dawnych studenckich dni
Wobec absolutyzmu wszelkiego Zwierzchnictwa).

Do swojej izby wróciłem oszołomiony,

Czasem tylko dotykając stopami gruntu.

Dzisiaj, z doświadczeniem końca świata,
Nogi mi się kończą jak podcięte.

I tylko z rzadka bezwładnie wpadam
W bezradny gwiazdzisty krater.

Za blisko, za daleko

Jeżeli Bóg jest, jakimś cudem, za blisko,
Niebacznie zstąpiwszy do spragnionych serc
Pozbawionych nadziei, poszkodowanych ludzkich stworzeń,
Jego zbyt silna obecność wywoła, jeśli nie pęknięcie
Zbyt wąskich naczyń, wewnętrzne krwotoki,
To taki zachwyt perspektywą zbawienia, takie święte szaleństwo,
Że najgorliwsi dadzą o sobie znać wezwaniem
Do uroczystego samozniszczenia nędznego rodzaju ludzkiego –
Bo jeśli już istnieje On, to po co wszystko poza tym?

Jeśli bóg jest za daleko, nieuchwytny, nierozpoznawalny,
Albo w jakimś może decydującym momencie wycofa się
Ze sfer niepodległych Jego władzy,
Życie stanie się porywające w błyskach fleszów,
A także ikon nowych władców,
Pełne koncertów gwiazd folku, festiwali pornosów,
Występów cyrków na terenach opuszczonych przez Boga,
Zgiełku wieców na cześć uwolnienia od Sądu Ostatecznego.
Tyle że omamiony sławą i nieśmiertelnością
Sprawiedliwość bierze w swoje ręce najgorliwszy bezbożnik
I ścina głowy tych którzy mu odmawiają boskich akredytyw.

Codzienny koniec świata

Kiedy po mnóstwie nieudanych
Lub tylko połowicznie zrealizowanych prób
Totalnego i ostatecznego końca świata.
Sytuacja stała się kompromitująca,
Prawie bezwyjściowa,
Współcześni planiści i wykonawcy
Z pomocą najlepszych specjalistów
Rozwinęli i w szczegółach udoskonalili program
Codziennego niepostrzegalnego końca świata –
I wszystko w tym spektaklu poszło jako po maśle.

Nikt końca świata nie bierze na poważnie,
Bo nikogo nie wstrząsa siła potężnych bóstw
Groźących ludziom zdjętym strachem
Ani burza słów à la Hitler, z piorunami.

I kto by się jeszcze dręczył myślą o tym
Poza skazanymi na śmierć i samobójczymi zamachowcami?
Ale oni też o tym tylko szepczą.

Tak ten świat, choć w dziwacznym stanie
Permanentnego końca,
Który stał się strawny i akceptowalny,
Nadal istnieje – zabawny spektakl
Z dobrze opłacanymi aktorami
I super-reżyserem z wojskowo-technicznym wykształceniem.

Cóż, klasyczny koniec świata przepadł,
Ale niektórzy jeszcze mocno wierzą
Wraz z prorokami z małych narodów
(U których każdy kto umarł jest święty)
Że został tylko odłożony do kosmicznego wstrząsu.
Wtedy, po sprawiedliwym wyroku wątpliwości miną
I ten cyrk zniknie za spuszczoną kurtyną.

Głos, słuch, zbawienie

Było sporo bluźnierców (dziś jest ich coraz mniej),
Którzy twierdzili, że Stwórcą człowieka
Sam siebie neguje chronicznym złem
Tego stworzenia

Najrzadziej pojawiają się ci
Którzy w tej rzekomej negacji
Słyszą prawdziwym pozornie absurdalny
Głos Boga, z oddalenia.

Może jedynie oni
Z tak wyostrzonym słuchem
Odnajdą tajne przejście
Do pośmiertnego zbawienia.

Jeszcze by się dało pożyć na tej ziemi

Jeszcze by się dało pożyć na tej ziemi,
Gdyby jaskółki śpiewały co rano,
Gdyby twój język także był śpiewny
I grzesznika jawnie nie oczerniano.

Jeszcze by się dało pożyć na ziemi,
Gdzie dojrzewają winogrona i wino się toczy,
Chlebem pachnie, w domu kobieta czeka
I na słabego patrzą łaskawe oczy.

Jeszcze by się dało pożyć na ziemi,
Gdyby za próg wpuszczano ściganych ze świata,
I gdybyś nie chciał, przeklęty z urodzenia,
Zabić swojego Abła, brata.

Po latach przymusowej rozłąki

Wydaje mi się, że twoja
Miłość do mnie
Szczyt osiągnęła w latach
Twego wygnania, kochany,
Gdy byłeś dla mnie niedostępny,
A nam tutaj
Nadal głód zagrażał
I tych silnych szykany.

Tak, kochana. Tam się wyrwałem
Z tej zraty
Myśląc jedynie o tobie,
Pieszcząc cię w każdym moim śnie.
A teraz, gdy z łaski Bożej jesteśmy
Znowu razem, proszę cię, zrozum –
Ten kto poznał jak jest na szczycie,
Winien także wytrzymać na dnie.

Ścięcie wiązu

Dokładnie przed dwudziestu laty
(Jakby się wczoraj działo)
Wielki wiąz na naszym placu
Ścięło i na opał obojętnie porąbało
Dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Śledziliśmy pracę piły i siekiery
Ukryci za frankami, z boku.
A naszego protestu zabrakło
Ze strachu przed lufami karabinów
Które nas miały na oku.

Tak nasz wiąz upadł.
Jeszcze mnie dziś za nim serce boli.

Wkrótce po odejściu tych drwali
Mrok zgęstniał i szybko narastał –
Mogło się zacząć ścinanie
Niepożądanych mieszkańców miasta.

Przesłanie tajemniczego odłamka

Z bogatego arsenału pocisków
Akredytowanych do mieszkań płaudowania
Wyróżniłbym odłamek jednego
Który uparcie węszył
W moich papierach i książkach

Pytałem sam siebie bredząc: nos sędziego śledczego
Czy szpicel misji pokojowej?

Dreńczył mnie problem tzw. sprawiedliwej wojny,
Żądzę zabijania, zemsty i przebaczenia,
A stały brak Boskiej litości
Nawet zawziętych ateistów wtrącał
W stan głębokiego przygnębienia.

W spokojniejszych chwilach sięgałem po książkę
Prawo, nie zemsta Szymona Wiesenthala,
Aby znaleźć jakąś odpowiedź.

Zwykły dzień

Nareszcie świt.
Chłodzi się powiew świeży.
Umyty jak trzeba,
Wypileś swoją kawkę,
Rzuciłeś okiem na ławkę,
I niechętnie wróciłeś
Za biurko „do pracy”
Na którym nic nie leży.

Liczysz drobne monety
 I swoje dni na ziemi,
 A będziesz liczył barany,
 Kiedy w mrok się zapadnie
 Ta kwarantanna.
 I znowu całą noc
 Rzucasz się na sienniku,
 Ty, niedorżnięty
 Kogut na śmietniku.

Nieznany głos

Cora częściej odzywa się ze mnie
 Jakiś nieznany, obcy głos
 Słowami świętych i heretyckich pism,
 Mądrymi lub pozarozumowo mrocznymi maksymami
 Ze swego podziemnego legowiska.
 (Wyraźnie unika patetycznych sloganów z prasy).
 Rzadziej wypływa jakąś zapomnianą melodią,
 Smutną oczywiście, a nieco weselsza
 Mogłaby mnie przecież poderwać jeszcze trochę.

Pojawia się nie tylko w chwilach samotności
 Aby rozbić śmiertelną ciszę
 (Dowodząc – komu? – że jeszcze żyjemy),
 Także w miejscach publicznych,
 Aż ludzie oglądają się za mną,
 Dziwakiem, który nie wie, gdzie się znajduje,
 Bo stracił wymaganą równowagę ducha.

Najgorsze, że lubi wypaczać
 (Niby jakiś mrukliwy krytyk)
 Sens tego co myślę i mówię,
 Usiłując mnie publicznie zdemaskować
 Gdy się tylko nadarzy sprzyjająca okazja.
 Dawniej burczał przeciw wykroczeniom państwa
 I ponurym perspektywom narodu,

Teraz uczepił się mojej skromnej osoby.
Naprawdę mam już wyżej uszu
Tego nielegalnego, podziemnego sublokatora.

Malutka apokaliptyczna ewangelia

Żyjesz po to, by zapisać losem wygnańca
Choćby najmniejszą ewangelię nie tylko na święta.
Nie doczekasz się aureoli ani wieńca
Bo wkrótce nić twojego życia zostanie przecięta.

Przegl. Danuta Cirlić-Straszyńska

* * *

Najmniejsza apokryficzna ewangelia

Wiersze Stevana Tonticia (ur. 1946) najpierw ukazały się w przekładzie Juliana Kornhausera w jego antologii młodej poezji serbskiej *Tragarze zdań* (1982). Czas wojny w Bośni przyniósł „otwarte spojrzenie w Cyklopowe oko zła”, czyli tom *Sarajewski rękopis* (1995) w przekładzie Juliana Kornhausera i Danuty Cirlić-Straszyńskiej; zaraz potem pojawił się Tontić w antologii Juliana Kornhausera *Lament nad Sarajewem* (1996), a w roku 2008 w dwutomowej antologii poezji serbskiej, wydanej przez Grzegorza Łatuszyńskiego.

Od tej pory minęło siedem lat, poeta ma już w dorobku kilkanaście tomików, tom prozy, dwa tomy esejów i *Dzieła wybrane* (Sarajewo 2009). Najnowszy zbiór poezji *Svakodnevni smak svijeta (Codzienny koniec świata)* to kolejny „uczciwy komunikat z serca Apokalipsy”. Na okładce tego belgradzkiego wydania są w górnej części pięknie rozkwitłe drzewa, a w dolnej – atomowy grzyb jak wielki bukiet piekielnych kwiatów.

Rodzinny dom Tonticia w bośniackiej wsi Grdanovci został zburzony podczas wojny, poeta, oderwany od rodziny, osiem lat przebywał na uchodźstwie w Niemczech, tłumacząc poezję niemiecką; w 2001 r. wrócił do

Sarajewa, a wreszcie w 2014 zamieszkał w Nowym Sadzie. Jego wiersze to nadal gorzka poezja tułacza, według którego „jeszcze by się dało pożyć na ziemi”, gdyby nie przekleństwo zbrodni Kainowej, gdyby „za próg wpuszczono ściganych” i nie oczerniano publicznie grzeszników. Bo w tak dusznym klimacie po prostu nie da się żyć.

W wierszach Stevana Tonticia, niedysiejszego absolwenta Wydziału Filozofii uniwersytetu sarajewskiego, powracają motywy wadzenia się z Bogiem – bo jest o co się wadzić, zdaje się mówić poeta, lecz ostatecznie dochodzi do wniosku, że świat bez Boga byłby jeszcze gorszy. A przecież dzisiejszą rzeczywistość nawet w wierszu o miłości do ukochanej żony określa jako dno. Nadal nie opuszczają go reminiscencje wojenne, prześladowanie ludzi „niepożądanych”, motyw pnia i siekiery, ostrzału, rzezi. Uchodźstwo i tułaczka pozostawiły w jego twórczości trwałe, niezatarte ślady. Poeta broni się ironią i autoironią: „Nieznany głos” – to jego własny, tłumiony głos protestu; „Zwykły dzień” – za biurkiem do pracy – „na którym nic nie leży”. Obraz pustego biurka wydaje się równie smutny jak widok zburzonego rodzinnego domu.

Stevan Tontić to nadal twórca rozpoznawalny, szczery do bólu, jakby współczesny serbski gęślarz. Jego apokryficzna ewangelia cierpienia daje czytelnikowi rzadką okazję do głębszej refleksji nad losem tułaczy niewinnie wykorzenionych.

Danuta Cirlić-Straszńska

Serbska

Biblioteka Polska Literatura

Belgradzkie wydawnictwo „Alma” jako pierwszą książkę w serii „Biblioteka Polska Literatura” opublikowało zbiór wierszy **Grzegorza Łatuszyńskiego** *Bonžur, Madam de Pompadur*. Na czwartej stronie tej publikacji dr **Milutin Đuričković** pisze: *Już na pierwszy rzut oka można zauważyć określone reminiscencje i wpływy, względnie cytaty i elementy metatekstualne, które częściowo przenikają tę złożoną i niezwykłą poezję. Mianowicie, wiele jego wierszy powstało na obszarach byłej Jugosławii, a inspirację dla autora stanowiła jej historyczna przeszłość, tradycja, folklor, a także współczesna chwila społeczno-polityczna. Wszystko to wpłynęło na różne retrospekcje i wspomnienia (Atos, Zgietke), jak i dedykacje dla Crnjanskiego, Raičkovića i innych... Poza szeregiem wyrównanych wierszy na antologicznym poziomie, swoją niezwykłością i pięknem metaforycznym wyróżniają się wśród innych następujące tytuły: „Do dziś się zmagam”, „Tulacz y los”, „Gaszę telewizor” itd. Łatuszyński jest poetą o dojrzałym profilu, o silnej, zindywidualizowanej wyrazistości, bogatej symbolice i mocnych opisach, które są zgodne z nowoczesną poetyką i współczesnymi tokami poezji światowej.*

Bonžur, Madam de Pompadur, Wydawnictwo „Alma”, Belgrad 2016. Format A5, str. 142. ISBN 978-86-7974-429-6. Recenzenci: Prof. dr Nina Živančević, Miraš Martinović, Dr Milutin Đuričković, za wydawcę Dr Đorđe Ostašević.



Grzegorza Łatuszyńskiego wybór i przekłady z Radomira Andricia

Ukazał się wybór wierszy wybitnego serbskiego poety, **Radomira Andricia**, wieloletniego prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Serbskich, którego poezję w *Posłowniu* **Wojciech Kaliszewski** charakteryzuje następująco: *Radomir Andrić świat widzi w rozbiegach, odbiera jego nagłe skurcze, słyszy płacz. Na te sygnały nastawiona jest wrażliwość jego zmysłów. To za ich sprawą w wierszach z tomu „Na błyszczącym ostrzu” spisany jest katalog win i błędów współczesnego świata. Dzięki takim słowom i zwrotom udaje się poecie budować rzecz ywiste relacje między bohaterem a światem. Odczytać dobro i piękno – zdaje się mówić Andrić – można nie poprzez zamykanie oczu, poszukiwanie spokoju i harmonii, ale poprzez odważne spojrzenie i dotknięcie tego, co jest. Tylko w ten sposób urealnia się wymyślona kiedyś przez Greków, rozumiejących znaczenie i wartość cnót, funkcja katharsis.*

Radomir Andrić, *Na błyszczącym ostrzu*.
Wybór i przekład wierszy: Grzegorz Łatuszyński. Posłowie: Wojciech Kaliszewski.
Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Warszawa
2016, Format S6, str. 170



Przekłady Grzegorza Łatuszyńskiego

Jovanka Stojčinović Nikolić

Zapach perfum

Namoczyłam do prania
Najpiękniejszą koszulę
Kupioną na Knez Mihajlovej

Smutna jestem jak i ten dzień
Jak i ten tydzień
Jak i ta brudna woda
Co zbierze zapach
Jego perfum
Z mojej koszuli

Ciemna strona stołu

Siedzieli za stołem w kawiarni

Poprzez dym i
Śączącą się już szarówkę
Szukali ognia w piersi

Było widać że nie wybaczą już
jedno drugiemu spojrzeń wolnych od poezji

On trzy razy wstawał...
Wychodził...
I wracał na zew
Wewnętrzznego głosu
Którego echo
Rozchodziło się gdzieś w głębi serca

Kiedy wracając z trudem
 Podniósł wzrok
 Nie było już nic
 Poza szansą
 By sięgnąć
 Po ciemnej stronie stołu

Słowa

Słońce między nami
 Spłynęło między słowa
 Które mi towarzyszą przez jesień i zimę

Przeciskają się przez dal
 Od jednego do drugiego bicia zegara
 Od deszczu do deszczu

By między dwoma ślepyimi światłami
 Przenieść mnie
 Z gwiazdy na gwiazdę

Tak się podczas tej drogi umęczą
 Że je ponownie jak ogolone kwiaty
 Zbieram na chłodnej polanie
 I pielęgnuję by okrzepli na przyszłość

Malarz nadziei

Przyjacielowi, Pero Tomiciowi

Zamarznięte słońce
 Z wstydliwą rzeźkością
 Podaje mu błogosławieństwo ognia
 Na dłoniach

On pędzlem

Karmi żółty kwiat
Co się rodzi na kamieniu

Potem rysuje sforę psów
Taszczącą
W zębach luty

Żadnego psa
Nie posłałby na śmierć
Z wyjątkiem tego co patrząc na jego rysunek
Wciąż szczeka

Takie czasy nastały

Kto tu kogo Pokona
Wyprowadzi w pole
W noc gwiazdzistą oszuka

Kto tu kogo Z okna
Z pracy
Z życia
Głodem usunie

Kto tu kogo Z głębokości
Z ciszy
Z wysokości
Spod kreski
Na szczyt mgły wyniesie

Kto tu kogo W zapomnieniu
W ruchu
W powietrzu
Na szczycie góry
Z miłości pozostawi

Kto tu kogo Z podwórza
Z ukrycia

Z łóżka
Na języku Pośród Słowa ukrzyżuje

Kto tu kogo Wśród ciemności
Na ostrze noża
Mimoходом
Na ścieżce
Przed myśliwymi nadzieje

Kto Kolego Swój swojego

Jovanka Stojčinović Nikolić – poetka z Republiki Serbskiej, ur. w 1952 r. w Ritešiću k. Doboju (Bośnia i Hercegowina). Zadebiutowała w 1975 r. tomikiem wierszy „Błądząca gwiazda”, opublikowała kilkanaście tomików poetyckich. Jej wiersze znalazły się w wielu antologiach. Tłumaczone były na rosyjski, włoski, niemiecki, rumuński, bułgarski, macedoński, angielski, armeński, słoweński i ukraiński. Uzyskała szereg prestiżowych nagród poetyckich. Od kilku lat jest prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Republiki Serbskiej.

Dragan Dragojlović

Droga do celu

Uciekałem stąd pragnąc wrócić,
długo byłem twarzą w twarz z samym sobą,
nic mnie nie prowadziło we właściwym kierunku,
choć każde dnia
pokonywałem dale niezmierzone
by dojść do celu.
Do jakiego celu? Znanego? Dającego się opisać?

Czy poddać się w końcu
znaczy: wyrzec się wszystkiego innego,

czy też pogodzić się z niemożliwością
wyartykułowania i zrozumienia
różnic w powtarzalności
niezliczonych obrazów świata,

w których cel się zatracą
a świat się gubi.

Zlatiborska gwiazda

Idę do ciebie
przez dalekie dni
i stracone lata,
uczniowskimi ulicami
w zlatiborskim słońcu.
po serpentynach zmęczonego serca
i obojętnego kraju rodzinnego,
budzę się przed świtem, idę do ciebie
aleją starszą
od mojej młodości,
idę i powtarzam twoje imię,
zabieram je ptakom i świerszczom,
nocom i dniom,
idę przez zapomniane i znane
okolice
idę do ciebie w blasku pełni księżycowej,
idę pod ciemną kopułą nieba,
idę wśród bólu i twojego uśmiechu,
do ciebie idę
przez katakumby nadziei i czasu,
poprzez strony świata, które się nie stykają
kryjąc drogi po których błądziłaś,
idę pod gwiazdą, co opromienia dawne, stracone
i Zlatibor,
na którym cię kiedyś kochałem.

Beznadzieja

Może zamiast postaci należało na obrazie
 naszkicować kwadraty, koła,
 znane i nieznane figury geometryczne,
 znaki zapytania,
 interpunkcję nienapisanego wiersza,
 studium psychologiczne pustki,
 w którym proste linie różnego koloru
 i szerokości
 biegną znikąd donikąd
 żebyśmy się mogli po nich
 swobodnie poruszać,
 nie wspominając o abstrakcji,
 tym bardziej o bezsensie,
 gdyż każdy ślad koloru, podobnie jak słowo,
 może kryć w sobie
 niezliczone znaczenia
 na płótnie noszącym tytuł *Beznadzieja*.

Podróż

Ten obraz nie prowadzi
 przez zapomniane okolice,
 na nim widać
 przemyślane spotkanie
 ręki i barwy
 w poszukiwaniu dróg śmierci,
 które odciskają się w naszej duszy
 jak w kamieniu.

Dragan Dragojlović – urodzony w Pilicy k. Bajinej Bašty (Serbia) w 1941 r. Szkołę średnią ukończył w Užicu, a magisterium uzyskał na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu Belgradzkiego. Zadebiutował jako poeta w 1974 roku. Opublikował ponad dwadzieścia tomików poetyckich. Jest laureatem wielu nagród poetyckich, tłumaczony na albański, macedoński, słoweński, rumuński, angielski, portugalski, niemiecki,

szwedzki, grecki, hinduski, litewski, białoruski, polski, prezentowany jest też w wielu antologiach krajowych i zagranicznych, m. in. w Antologii poezji serbskiej XX wieku Grzegorza Łatuszyńskiego pt. *Wszystkie chwile są tu i nie być nie przestaje*. Poezja jego jest filozoficzna, często gnośologiczna i zawsze zabarwiona transcendentnie.

Jovanka Vukanović

Na pół drogi

Nie odchodź nigdy daleko od swojego domu,
od tych, którzy witali cię przy urodzeniu.
Nie oddalaj się od kraju,
który przedeptałeś własnymi nogami,
gdyż ten drugi
prędzej czy później przygniecie ci palce.
Nieważne, z czyjej winy.

Może nie będziesz płakać,
ale zapragniesz
urodzić się jeszcze raz
i kiedy wrócisz tam, skąd odszedłeś,
będziesz dzieckiem dla samego siebie
i tylko nauki czułości będziesz pobierał.
Ale tam
już nikogo nie będzie.
Ni żywy, ni martwy
pozostaniesz na pół drogi.

Wtedy właśnie, kiedy cię nie ma

Kiedy się wszystkie ceremonie zakończą,
kiedy zajrzą we wszystkie kąty,
żeby mogli być zupełnie spokojni...
Kiedy twoje obuwie usuną z korytarza,

kiedy przestaną dobijać się telefonem
 żeby złożyć ci życzenia noworoczne.
 I kiedy nie będą już ci proponowali,
 żebyś mówił o czyjejs książce.
 Kiedy się grono przyjaciół uszczupli
 do tych, których zaniedbywałeś...
 Kiedy pomyślisz akurat, że jesteś wolny
 i że nikomu już nie zawadzasz,
 komuś z nich pojawisz się we śnie.
 I będziecie rozmawiać.

Jego życie coraz bardziej zacznie przypominać twoje.
 Zgodzi się z tobą w tym, w czym się z nikim nie zgadzał.
 Tylko śmierci nigdy ci nie wybaczy.
 Gdyż czuje, że byś go, choć nierzeczywisty,
 mógł z łatwością pociągnąć za sobą.

To, czego brakuje

Tyle mamy książek
 i tyle pamiętamy stosów,
 gruzowisk i placów budowy,
 tyle łez i śmiechu,
 zdrowia i chorób.
 Dróg i bezdroży
 zagród i pustkowi.
 Co jeszcze przy tym wszystkim
 dodać można do życia?

Czy jest coś,
 co nie będzie podobne
 jak dzień do dnia i wieczór do wieczoru?

Jeśli byście próbowali,
 bądźcie ostrożni.

Każde dodawanie

mogłoby zamknąć
tę jedyną szczelinę
co jest dla nas wyjściem,
kiedy drepczemy w miejscu,
przywołując dniami i nocami
tych, co odeszli.

Tylko chwilę wcześniej

Obdarowywaliście mnie,
zabieraliście mi.
Kryliście przede mną,
zaczynaliście beze mnie,
kontaktowaliście się ze mną...
Szczuliście mnie na najbliższych,
potem uciszaliście.
I przemilczaliście i podszeptowaliście
tego samego dnia.
Godziliście we mnie boleśnie
i rano, i o zmierzchu.
Przywoływaliście w słońcu
i przy księżycu,
i pocieszaliście.

Rozpisywaliście w tabelach,
kreśliliście i skreślaliście,
i układaliście
jak na zajęciach praktycznych.

Wszystko to zabrałabym ze sobą,
złotą wstążką bym przewiązała,
by zwrócić w podzięce,
gdybym odeszła chwilę wcześniej.

Tam,
czekając na was,
nie byłabym sama,

tak jak jestem tutaj,
kiedy jedno po drugim
wykradacie się z moich oczu.

Gdzie by sięść

Tam
nikt mnie już nie szuka.
Tu
nikt mnie nie zna.
W górze
nie wszystko, co świeci, jest słońcem (mówi się).
Boże,
gdzie by przysiąść,
żeby odpocząć po tak długiej drodze?

Jovanka Vukanović – poetka czarnogórska, urodzona w 1948 roku w Plavnie koło Kninu (Czarnogóra), studia filologiczne (język francuski i literatura jugosłowiańska) ukończyła na Uniwersytecie w Zadarze (Chorwacja). Jako poetka zadebiutowała w 1974 roku tomikiem wierszy *Kto mnie pyta o mój dom*. Opublikowała kilka zbiorów poezji i dwie książki eseistyczne. Poniższe przekłady są z wydanego w 2012 roku tomiku wierszy, noszącego desperacki tytuł: *Odejsć*.

Przełożył i noty o autorach podał: Grzegorz Łatuszyński

BIESIADY LITERACKIE

W KAŻDY TRZECI CZWARTEK MIESIĄCA O GODZ. 18.30

Prowadzą:

Wacław Holewiński
Marek Ławrynowicz
Piotr Müldner-Nieckowski
Małgorzata Karolina Piekarska

Goście, z którymi rozmawiamy:

pisarze, wydawcy, redaktorzy, reżyserzy, językoznawcy
muzycy, plastycy, historycy – twórcy i krzewiciele kultury

Stały felieton:

Piotr Wojciechowski

Zawsze rekomendacje trzech ważnych książek. Trzy ważne wiersze ważnego poety

DOM LITERATURY

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

Wejście obok schodów ruchomych przy Placu Zamkowym. Piętro I

STAJNIA LITERACKA

Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w ramach **Warszawskiej Szkoły Pisania** zaprasza wszystkich poetów, prozaików, dramatopisarzy, którzy zaczynają swoją przygodę z literaturą, a przede wszystkim członków **Stajni Literackiej** na

comiesięczne, wtorkowe spotkania warsztatowe.

Godzina 16.

Członkiem Stajni Literackiej SPP może zostać każdy, kto przyjdzie na spotkanie, zgłosi akces i poda swoje dane personalne z adresem e-mail.

Opiekun Stajni: **Piotr Müldner-Nieckowski**
www.spp.warszawa.pl, stajnia@spp.warszawa.pl



Co jest pisane.
Druga antologia
Stajni Literackiej SPP.
Oddział Warszawski SPP,
Warszawa 2016



Jerzy Ficowski (1924-2006). Mural Piotra Młodożeńca. Warszawa Żoliborz, ul. Stanisława Dygata 3, róg pl. Czesława Niemena i ul. Powązkowskiej

Fot. Piotr Müldner-Nieckowski